

Czasem trzeba odważyć się na szaleństwo,
by wreszcie być szczęśliwym

RICHARD PAUL

EVANS

TAJEMNICA
POD JEMIOŁĄ

znak *litera
nova*

RICHARD PAUL
EVANS

Tajemnica pod ziemią



tłumaczenie
Hanna de Broekere

znak *litera*
nova

Kraków 2018

*Dla Trish Todd
z wdzięcznością za Twoją bezgraniczną cierpliwość.
Praca z Tobą to przyjemność.*

Prolog

Aria skrzywiła się, biorąc do ręki nadgryzioną sajonkę, którą ktoś wcisnął w kryształową dekorację na środku stołu.

– W swoim domu też byś to zrobił? – mruknęła pod nosem i wrzuciła sajonkę do miski, do której wkładała brudne naczynia.

Restauracja, w której pracowała, czasami obsługiwała przyjęcia weselne i w tak małym mieście jak Midway Aria zawsze знаła kogoś z gości – zwykle pannę młodą lub pana młodego, jeśli nie oboje. Tym razem panna młoda, Charise, była bratanicą szefa Arii.

Panna młoda wyglądała pięknie w wykończonej koronką sukience z atlasu w kolorze kości słoniowej. Pięknie i radośnie. Ciekawe, jak długo potrwa jej radość? – pomyślała Aria i od razu skarciła się za to pytanie.

Przypomniała sobie dzień swojego ślubu i piękną sukienkę, którą musiała sprzedać trzy miesiące temu, gdy zabrakło jej na czynsz po naprawie alternatora w jeepie. Choć ślub był skromny, nawet jak na małomiasteczkowe standardy, Aria też była szczęśliwa. Było to widać na zdjęciach. Nie obyło się jednak bez przykrych chwil. Wade, jej narzeczony, był despotyczny i wybuchowy. Nakrzyczał na nią zaledwie pół godziny przed ceremonią ślubną, bo zaprosiła na wesele kogoś, kogo nie lubił. Poza tym dużo wypił i wprawił w zakłopotanie tych kilka osób, które brały udział w przyjęciu. Wystraszyła się, że popełnia błąd, ale strach szybko minął, gdy pomyślała, co by ją czekało, gdyby nie wyszła za mąż: wstyd, samotność i mieszkanie z matką.

Strach, niestety, okazał się uzasadniony. Kilka lat po ślubie Wade zostawił ją – samą i bez grosza w zbudowanym w szwajcarskim stylu miasteczku na zachodzie, daleko od jej domu w Minnesocie. Teraz sprzątała bałagan po weselu kogoś innego, a potem czekał ją samotny powrót do pustego domu. Próbowwała zignorować przykre pytania, które rozbrzmiewały jej w głowie. Gdyby nie dotarła do domu, czy ktoś by się przejął? Czy tak miała spędzić resztę życia? I najważniejsza kwestia: czy pozna jeszcze jakiegoś mężczyznę?

Rozdział 1

Niezależnie czy się do tego przyznajemy, czy nie, większość z nas żyje jakby na autopilocie. Codziennie budzimy się o tej samej godzinie, udajemy się do tego samego miejsca pracy lub miejsca kultu, rozmawiamy z tymi samymi ludźmi, jadamy w tych samych restauracjach, a nawet oglądamy te same programy telewizyjne. Nie krytykuję tego. Rutyna to stabilizacja, a stabilizacja jest niezbędnym warunkiem przetrwania. Nie bez powodu rolnicy wysiewają te same zboża w tym samym czasie. Kiedy mądrość nie podpowiada zmiany, mądrze jest niczego nie zmieniać.

Czasami jednak koleje losu zmuszają nas do porzucenia tego, co znane i bezpieczne. Czujemy się wtedy jak na skraju przepaści. Boimy się, odwlekamy więc skok w nieznaną, bo przecież nikt nie chce rzucić się w czeluść na oślep. Nikt. Dopiero gdy cierpienie staje się nie do zniesienia, zamykamy oczy i skaczemy.

Jest to opowieść o moim skoku – o jednej z najdziwniejszych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu: odszukałem kobietę, której nie znałem, w miasteczku, o którym wcześniej nie słyszałem, wyłącznie z powodu czegoś, co ta kobieta opublikowała w internecie.

Słyszałem kiedyś, że samotne życie jest powodem jednego z największych ludzkich cierpień. Myślę, że to prawda. Ludzie są istotami społecznymi. Jednak prawdziwym problemem nie jest życie w pojedynkę, lecz samotność. Różnica pomiędzy samotnym życiem a samotnością polega na tym, że pierwsze istnieje w świecie fizycznym, a drugie w sercu. Człowiek może być sam, ale wcale nie musi być samotny, i na odwrót. Moja praca zawiodła mnie do kilku z najludniejszych miast świata, w których widziałem i wyczuwałem samotność. Widziałem ją w chłodzie między nieznanymi potracającymi się na zatłoczonych trotuarach. Słyszałem ją w tysiącach pospieszonych rozmów. Obecnie mamy więcej sposobów komunikowania się z innymi ludźmi, ale łączy nas z nimi coraz mniej więzi.

Samotność nie jest mi obca. Znam ją z dzieciństwa. Wyczuwałem ją u mamy i ojca. Nigdy się nie rozwiedli. Myślę, że zostali razem, bo nie chcieli być sami, czuli się jednak strasznie samotni. Oraz strasznie nieszczęśliwi. Gdy skończyłem szesnaście lat, obiecałem sobie, że jeśli kiedyś się ożenię, moje małżeństwo będzie inne. Ach, te przemyślnie plany[1].

*

Nazywam się Alex Bartlett. Bartlett jak nazwa odmiany gruszy[2]. Gdybym miał wskazać moment, w którym zaczęła się ta historia, byłaby to pora przedświąteczna w zeszłym roku.

Mieszkam i pracuję w Daytona Beach w stanie Floryda, mieście znanym dzięki szybkim samochodom oraz gładkim plażom. Wykonuję jedno z tych nieromantycznych zajęć dla firmy, o której nigdy nie słyszeliście, robiąc coś, o czym nigdy nie pomyśleliście i nigdy byście nie pomyśleli, gdybym wam o tym nie powiedział. Moja firma nazywa się Traffix i sprzedaje systemy kontroli ruchu drogowego. Naszymi odbiorcami są wydziały komunikacji. Ujmując rzecz najprościej, produkt, który sprzedaję, liczy pojazdy na autostradzie i przesyła analizy natężenia ruchu. Jeśli widzieliście kiedyś tablice elektryczne wyświetlające, ile minut zajmie wam dojazd do lotniska, tych obliczeń prawdopodobnie dokonano dzięki oprogramowaniu mojej firmy. Nie projektuję go. Jedyne je sprzedaję.

Mój okręg sprzedaży obejmuje północny zachód kraju, to znaczy Karolinę Północną, Oregon i stan Waszyngton. Ponieważ mieszkam na Wschodnim Wybrzeżu, spędzałem mnóstwo czasu w podróży, czasami nawet kilka tygodni. Nie znosiłem samotności podczas

wyjazdów i oddalenia od domu. Moja żona, Jill, też tego nie znosiła. Ale tylko na początku. Po kilku latach przyzwyczała się do tej sytuacji i zaczęła żyć własnym życiem. Każdy mój kolejny powrót do domu wydawał się coraz trudniejszy. Po pięciu latach Jill było wszystko jedno, czy jestem, czy mnie nie ma. Zacząłem się czuć się samotny również we własnym domu.

Przekonany, że moja nieobecność szkodzi naszemu małżeństwu, zdecydowałem się na rzadsze podróże i obniżenie zarobków. Gdy jednak zacząłem spędzać więcej czasu w domu, zauważyłem zmiany, których się nie spodziewałem. Jill się zmieniła. Była inna. Przestała się interesować nami – albo tylko mną. Stała się skryta.

Potem zaczęła wyjeżdżać z grupą kobiet, które poznała w internecie. A przynajmniej tak mi powiedziała. Któregoś dnia, pod nieobecność Jill, zająłem się praniem i w jej dzinsach znalazłem złożoną kartkę z odręczną wiadomością.

Moja droga,

każdy dzień naszej rozłąki to dla mnie wieczność. Jesteś tak daleko. Przepraszam, że tym razem nie mogłem z tobą wyjechać. Nawet nie chce myśleć, że mogę Ciebie stracić. Jusz nie mogę się doczekać twojego powrotu. Znowu będziemy się upajać swojom miłościom.

Twój Clark

Przeszył mnie paraliżujący strach. Zrobiło mi się niedobrze. Poczułem, że robię się czerwony na twarzy, a dłonie zaczynają mi drżeć. Ten idiota nawet nie umiał pisać poprawnie. Ale, idiota czy nie, miał moją żonę. Gdy ochłonąłem na tyle, żeby móc mówić, zadzwoniłem do Jill.

– Kim jest Clark? – wypaliłem.

Długa cisza.

– Clark? Nie rozumiem...

– Kto to jest?

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– W twoich dzinsach znalazłem kartkę od niego.

Zawahała się, po czym odparła:

– A, tak. To kochanek Katherine. Dała mi tę kartkę, kiedy przyleciałyśmy z Phoenix, żeby jej mąż jej nie znalazł. To nic ważnego. To znaczy dla Katherine to jest ważne, poprosiła, żebym przechowała tę kartkę, ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Szybko przeanalizowałem jej słowa. To, że na kartce nie było imienia Jill, nie pozwalało mi zakwestionować jej wyjaśnienia, brzmiało jednak nieprawdopodobnie.

– Zdradzasz mnie? – zapytałem.

– A dlaczego miałabym cię zdradzać?

– Katherine zdradza.

– Owszem. I nie powiem, że ją za to potępiam. Zamierza się z nim rozwieść od jakichś dwóch lat i tylko czeka na właściwy moment. Jej mąż się denerwuje, bo ma niedługo sprzedać kilka nieruchomości, i Katherine nie chce dokładać mu do tego jeszcze rozwodu.

– Jaka troskliwa – zadrwiłem.

– Nie robi tego dla niego – powiedziała Jill, najwyraźniej nie wyczuwając mojego szyderstwa. – Jeśli dojdzie do sprzedaży, ona dostanie znacznie więcej przy rozwodzie. Skąd ci przyszło do głowy, że cię zdradzam?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Ostatnio często wyjeżdżasz – odparłem.

– Do niedawna ty też często wyjeżdżałeś. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mnie zdradzasz.

Przyznaję, że nie wiedziałem, czy powinno mi być głupio dlatego, że w nią zwątpiłem, czy dlatego, że jej uwierzyłem. Powoli wypuściłem powietrze z płuc.

– W porządku. Uważaj na siebie. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też. Cześć.

Po jej powrocie byliśmy razem tylko pięć dni, po czym wyjechałem w interesach do Tacomy. Kiedy wróciłem tydzień później, zastałem pusty dom i kartkę na kuchennym stole.

Drogi Alexie,

nadszedł czas, żebym rozwinęła skrzydła i poleciała. Nie mogę dłużej tkwić w tej pozłacanej klatce jak smutny, samotny ptak. Wzdrygam się na myśl, że kiedyś mogłabym żałować, że nie spróbowałam zmienić czegoś w swoim życiu.

To nie Twoja wina, Alexie. Wiem, że nie miałeś zamiaru mnie unieszczęśliwić. Jesteś poczciwym człowiekiem. Powodem jest moja natura, ludzka tęsknota, żeby latać. Muszę być wolna, a wolność jest niemożliwa w pozbawionym miłości małżeństwie. Życzę Ci, żebyś Ty też zaznał wolności i miłości.

Pozdrawiam

Jill

PS Wyjęłam pieniądze z naszych kont oszczędnościowego i emerytalnego.

Musiała być „wolna”? Przecież jej nie krępowałam, mogła robić, co chciała, gdzie chciała i kiedy chciała. Zabolało mnie, że nie rozumiem, że nie wiem, o co jej chodzi. Zrozumiałe było tylko to, że nie chce być ze mną.

Kilka tygodni później w internecie pojawiły się zdjęcia mojej byłej żony z innym mężczyzną. Jill nie podróżowała „z dziewczynami”, jak twierdziła. Na jednym ze zdjęć Clark obejmował ją ramieniem. Wyglądał jak skrzyżowaniem młodego Toma Sellecka z mandrylem[3]. Poczuję się jak idiota, że nie dostrzegłem jej sekretów i wierzyłem w jej kłamstwa. To właśnie one zabrały mnie bardziej niż zdrada. Każdy może poczuć się oczarowany inną osobą, ale kłamstwa były dowodem na to, że Jill mnie nie kochała. Od dawna. Może nigdy.

Przysięgłem sobie, że już nigdy nie pozwolę, żebyś ktoś mnie okłamywał.

Po odejściu Jill byłem równie samotny jak podczas małżeństwa, tylko że teraz oficjalnie. Niektórym z nas, może większości, dobrze wychodzi ściąganie na siebie tego, czego nie chcemy. Wyglądało na to, że jestem skazany na życie w samotności.

[1] Aluzja do fragmentu wiersza Roberta Burnsa *Do myszy* (w tłum. S. Barańczaka): „Przemysłne plany i myszy, i ludzi / w gruzy się walą”. Za: „Zeszyty Literackie” 1991, z. 36, s. 55–56 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] W Polsce ta odmiana znana jest jako Bonkreta Williama.

[3] Mandryl – małpa z rodziny makakowatych występująca w centralnej Afryce; charakteryzuje się długimi kończynami, nieowłosioną twarzą i niebieskimi policzkami.

Rozdział 2

Był piątkowy wieczór tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Nadal siedziałem w pracy. Połowa biurowego oświetlenia została wyłączona i od kilku godzin w budynku nie widziałem nikogo poza stróżami. Nie musiałem zostawać po godzinach, po prostu nie miałem dokąd pójść, a powrót do pustego mieszkania był ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę.

Tuż po ósmej usłyszałem szuranie zbliżających się kroków. Uniosłem wzrok i zobaczyłem Nate'a, jednego z moich współpracowników, wspierającego się na lasce. Podał mi red bulla.

– Masz, stary. Kolacja dla cierpiącego na bezsenność.

Otworzyłem puszkę.

– Dzięki.

– Jak leci?

– Leci.

Pracowaliśmy w dziale sprzedaży od trzech i pół roku i w tym czasie Nate stał się bardziej moim przyjacielem niż kolegą z pracy. Zawsze uważałem, że nie wygląda jak typowy handlowiec. Mógł przerażać swoją posturą i aparycją – był „groźny”, jak określił go kiedyś jeden z naszych szefów. Nate był łysy jak kolano i miał długą blond brodę, która rozdzielała się jak język węża. Jego masywne ramiona były pokryte tatuażami. Potrafił wycisnąć na ławce ponad dwieście kilogramów – mniej więcej dwa i pół razy więcej, niż wynosi moja waga.

Przed przyjściem do Traffixu Nate był żołnierzem marines. Gdybyście go o to zapytali, odpowiedziałby, że nadal nim jest. Raz marine, na zawsze marine. Między Pustynną Tarczą a Pustynną Burzą brał udział w wielu walkach i widział wiele złych rzeczy. Ciągłe cierpiał na zespół stresu pourazowego. Pewnej nocy jego żonę obudził jakiś hałas – to Nate czołgał się po podłodze, próbując uniknąć ostrzału wroga.

Odszedł z marines po tym, jak po raz drugi został ofiarą wybuchu miny pułapki. Stracił wtedy wszystkie zęby, doznał urazu kręgosłupa i miał zaburzenia równowagi. Jednak nawet tak poważnie okaleczony nadal był jedną z najtwardszych osób, jakie znałem.

Nate znał wiele dobrych historyjek, a przez dobre rozumienie takie, których słucha się z zainteresowaniem, ale rzadko je opowiadał i tylko nielicznym osobom, do których miał zaufanie. Kiedy jednak już się otwierał, opowieści płynęły jedna za drugą, jakby tylko czekały, żeby wyjść na świat.

Kiedyś, jakiś rok po odejściu z marines, Nate poszedł na wystawę broni i przystanął przy jednym ze stoisk, żeby przyjrzeć się sztucerowi myśliwskiemu.

– Na jelenie? – zapytał.

Wystawca uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Oczywiście. Nigdy pan nie polował?

Nate'owi nie drgnął nawet mięsień. Spojrzał tamtemu w oczy i odpowiedział cicho:

– Nie na zwierzynę.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny.

*

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytałem.

– Miałem zamiar zapytać cię o to samo – odparł Nate. Przyciągnął krzesło z boku naprzeciw mnie i usiadł, stawiając łaskę między nogami. – Przyjechałem prosto z lotniska.

Chciałem wprowadzić sprzedaż do systemu, zanim pojadę do domu.

– Gdzie byłeś?

– W St. Louis. Nareszcie dopiąłem umowę.

– Szacun.

– Dzięki. Premia pójdzie na zaliczkę na prezent gwiazdkowy, jaki sobie robię w tym roku.

Na mojego nowego pikapa. Chyba że Ashley mi go zabierze. – Uśmiechnął się nieznacznie. –

A ty jaką masz wymówkę?

– Nie mam dokąd pójść.

– Jadłeś kolację?

– Nie.

Wstał.

– Chodźmy na męskie żarcie. Czyli piwo. – Kiedy zamykałem komputer, dodał: – Dzwonię do Dale’a, żeby do nas dołączył.

Dale też był przedstawicielem handlowym Traffixu. Jego region obejmował przeciwną do mojej część Stanów: Wschodnie Wybrzeże i Nową Anglię. Był ode mnie niższy o co najmniej piętnaście centymetrów i trochę przypominał Michaela Keatona z czasów, gdy aktor nosił okulary w drucianych oprawkach.

Dale był również samozwańczym rozbawiaczem, bez którego nie istniałaby żadna męska paczka. Czasami dziwnie się zachowywał. Jego towarzystwo bywało męczące, ale był porządnym człowiekiem i zawsze poprawiał wszystkim humor.

Pojechałem z Nate’em do naszej ulubionej knajpy, Pod Opryskliwą Dziewką. Przychodziliśmy tu od lat, jeszcze w czasach, gdy lokal miał inne kierownictwo oraz inną nazwę – Rozlewnia. Nowa nazwa lepiej pasowała do nowej właścicielki.

Gdy weszliśmy, Dale już siedział przy stoliku. Ponieważ zaczynał się weekend, w lokalu panował ścisk, a hałas był tylko trochę mniejszy niż na pokazie pił łańcuchowych. Przed Dale’em stały trzy kufle piwa. Z jednego upito jedną czwartą.

– Ahoj, kompani! – zawołał do nas Dale niczym pirat. – Wychylcie ze mną szklanicę rumu.

– Czemu tak gadasz? – zapytał Nate, siadając.

– Do stu kartaczy, nie wiesz, jaki dziś dzień?

– Dzień gadania jak idiota?

– Nie, ty śmierzący łajbiarzu. Międzynarodowy Dzień Mówienia Jak Pirat.

Nate pociągnął łyk i powiedział:

– Nie ma czegoś takiego.

– Się bardzo mylisz, majtku niedomyty.

– Skończ już – powiedział Nate.

Dale zwrócił się do mnie:

– Co się takowego dzieje, szcurze lądowy? Nate rzekł, że coś pilnego.

– Sfinalizował St. Louis.

– Ooo! – wykrzyknął Dale. – Jest zatem powód, żeby świętować!

Nate pogroził mu palcem.

– Jeśli nadal będziesz tak gadać, przysięgam, że wyrwę ci język i cię nim uduszę.

Dale, który był mniej więcej o połowę niższy, a przynajmniej o połowę lżejszy od Nate’a, odchrząknął.

– W porządku – powiedział swoim zwykłym głosem. – Jak sobie życzysz.

– Dziękuję – odparł Nate. – Nie przyszliśmy tu, żeby oblewać moją sprzedaż.

Przyszliśmy, żeby pogadać o problemie Alexa z kobietami.

Dale odstawił kufel.
– Aha! Ta paskudna dziewczka.
Nate znowu pogroził mu palcem, a Dale uniósł ręce na znak kapitulacji.
– W porządku, ty i twoje napakowane sterydami bicepsy wygrywacie. – Ponownie zwrócił się do mnie: – Nate ma rację, stary. Musisz o niej zapomnieć. Minął rok.
– Jedenaście miesięcy.
– No to prawie – skwitował Nate. – Najwyższy czas, żebyś przestał opłakiwać zgon swojego małżeństwa. Czas, żebyś wziął się w garść.
– Wołałbym wziąć w garść pistolet i strzelić sobie w łeb.
Dale zerknął na Nate'a.
– Niedobrze.
Nate pociągnął duży łyk piwa, po czym pochylił się w moją stronę.
– Zadam ci pytanie. Gdyby Jill zadzwoniła dziś wieczorem i zapytała, czy może wrócić, zgodziłbyś się?
Po chwili zastanowienia odparłem:
– Tak. Pewnie bym się zgodził.
Nate pokręcił głową.
– Tego się obawiałem.
– Co jest złego w wybaczeniu? – zapytałem.
– Błądzić to rzecz ludzka, wybaczyć boska. Marines nie robią ani jednego, ani drugiego. – Upił piwa i ciągnął: – Jill wyssała z ciebie życie na długo, zanim cię zdradziła. Czemu szukasz szczęścia tam, gdzie je straciłeś?
– Zgubionych rzeczy zawsze szukamy tam, gdzie się zawieruszyły. Kluczy, portfeli, okularów.
– Racja – potwierdził Dale.
Nate zmarszczył czoło.
– Ciesz się, że nie mieliście dzieci. Jill by ich użyła jako żywych tarczy.
– Nie jest taka podła.
– Od kiedy to nie jest taka podła?
Nate miał rację.
– To jak mam się wziąć w garść?
– Spal mosty, zatop łódzie. Przekrocz Rubikon.
Wtrącił się Dale.
– Tłumacząc z żargonu marines: zostaw przeszłość za sobą i zacznij żyć przyszłością. Czas, żebyś sobie kogoś znalazł. Jesteś przystojnym facetem, operatywnym i byстрыm. Na świecie są tabuny kobiet, które z radością by się z tobą umówiły.
– Taa, dobijają się do moich drzwi – zakpiłem.
– Dobijałyby się, gdyby wiedziały, że jesteś do wzięcia – powiedział Nate. – Bo to jest tak: pytasz kogoś na parkingu, czy jego samochód jest na sprzedaż, dopiero kiedy zobaczysz ogłoszenie na szybie jego auta. Wniosek: musisz zamieścić ogłoszenie.
– Mam nosić tabliczkę z napisem: „Wolny”?
– To była przenośnia – odparł Nate.
– Mógłby nosić T-shirt – zaproponował Dale. – „Do wzięcia”.
– Mógłbym wymienić przynajmniej pół tuzina kobiet w Traffixie – ciągnął Nate – które byłyby zainteresowane.
– Tylko czy powinienem umawiać się z koleżanką z pracy?
– Zdecydowanie nie. Chciałem ci tylko uświadomić, że jest wiele możliwości. Okazje

tylko czekają.

Corinne, nasza kelnerka, przyniosła tacę z małymi cheeseburgerami, skrzydełkami z kurczaka z sosem buffalo oraz dip szpinakowo-karczochowy do chipsów z tortilli.

– Proszę, moje skarby.

– Przystań, moja dorodna ślicznotko! – zawołał Dale. – I pokaż się nam od rufy.

Corinne pokręciła głową.

– A temu co dolega?

– Świątuje Dzień Mówienia Jak Pirat – wyjaśniłem.

– To pewnie dlatego wszyscy w kuchni tak gadają. – Zwróciła się do mnie: – Gdzie byłeś, jak cię nie było, złotko?

– Ukrywałem się.

– Zwykle faceci, jak chcą się ukryć, to przychodzą tutaj.

– Problem z kobietą – wyjaśnił Nate.

– Najczęstszy powód szukania kryjówki. – Uśmiechnęła się do mnie. – Jeszcze jednego drinka?

– Przydałaby mu się beczka – powiedział Nate.

– Donoś nam trunku, dziewczko! – zawołał Dale. – I nie kantuj przy rachunku.

Corinne pokręciła głową i znowu spojrzała na mnie.

– Dla twojej wiadomości, jestem do wzięcia. – Puściła do mnie oko i poszła do kuchni.

– Sam widzisz – powiedział Nate. – Okazuje tylko czekają.

– To ciągle świeża rana – powiedziałem. – Nie szukam okazji.

– Nie brakuje ci czegoś ciepłego i miękkiego, jak się obudzisz rano? – zapytał Dale. – Tak szczerze, nie czujesz się samotny?

Powoli upiłem piwa, po czym pokiwałem głową.

– Pewnie, że tak. Czasami tęsknota rozkłada mnie jak grypa.

Obaj popatrzyli na mnie ze współczuciem.

– Twoja sytuacja sama się nie zmieni – stwierdził Nate. – Ty musisz coś zmienić. Jak chcesz coś znaleźć, to gdzie szukasz?

– Zależy co.

– Cokolwiek. Nowy zestaw stereo. Książkę.

– Pewnie zajrzałbym do internetu.

– Bingo. Właśnie tam zaczniesz.

– Uważasz, że powinienem spróbować randek internetowych?

– Przynajmniej na początku – powiedział Nate.

– Słyszałem o nich dużo złego.

– O wszystkich randkach da się powiedzieć coś złego. Wielkie rzeczy! Musisz tylko oddzielić kąkol od pszenicy[4].

– Co to jest kąkol? – zapytał Dale.

– Taki chwast – odpowiedział Nate. – Nie czytasz Biblii?

Dale pokręcił głową.

– Najwyraźniej za rzadko. – Zwrócił się do mnie: – Wiem, że to nie zabrzmiało wesoło, ale czasami trzeba przejść przez piekło, żeby znaleźć się w niebie. Znasz Wally'ego z technologicznego? Taki niski, źle ostrzyżony gość?

– Z sumiastym wąsem, z którym wygląda jak mors?

– Właśnie ten – potwierdził Dale, dotykając swojego nosa, jakbyśmy bawili się w szarady mimiczne. – No więc trzy lata temu był mężem despotycznej i leniwej jędy. Urabiał sobie ręce po łokcie, żeby tylko starczyło na rachunki, a ona siedziała w domu, kupowała tandetną biżuterię

w telemarkecie i jadła czekoladę, rozumiesz? – Nie czekał, aż odpowiem. – Ale na tym nie koniec. Jej oświecone przyjaciółki przekonały ją, że jest domową niewolnicą, więc postanowiła się „wymancypować”, uniezależnić od Wally’ego, co w praktyce oznaczało, że oficjalnie nie musiała nic robić oprócz realizowania jego czeków i wydawania jego pieniędzy. Codziennie po pracy facet wracał do domu, robił obiad, zmywał naczynia, kładł dzieci do łóżek, a potem sam szedł spać, żeby następnego dnia zacząć wszystko od początku. To był totalnie chory układ, ale Wally jest bojaźliwy i spokojny i robił wszystko bez słowa skargi. To trwało ponad rok. Aż pewnego dnia ta jędza powiedziała mu, że jest nudny i brzydki i ona chce rozwodu. Wally błagał ją, żeby została ze względu na dzieci, ale nie chciała słuchać. Wyczyściła ich konto oszczędnościowe i wyjechała ze swoimi kumpelkami oraz z facetem, z którym się po kryjomu spotykała.

– Brzmi znajomo – mruknąłem.

– Zbyt znajomo – powiedział Nate.

– Doszło do rozwodu – ciągnął Dale – przez który najbardziej ucierpiały dzieci. Zaczęły się wdawać w bójkę, zostały wyrzucone ze szkoły, tego typu rzeczy. Wally robił, co mógł, żeby być dla nich ojcem i matką, bo jego była nigdy nie miała czasu, żeby się widywać z dziećmi. Jakies trzy miesiące po rozwodzie do Wally’ego podszedł Marco, też z technologii, i zapytał: „Jesteś rozwiedziony?”. Wally na to: „Jestem, a co?”. Marco powiedział, że z Meksyku przyjeżdża siostra jego żony i chociaż nie mówi za dobrze po angielsku, jest bardzo miła, ładna i niezamężna. I zaprosił Wally’ego do siebie. Wally zapytał: „Dlaczego ja?”. A Marco: „A dlaczego nie ty? Jesteś miłym facetem”. Więc Wally zjawił się w domu Marca i co się okazało? Że szwagierka Marca nie jest ładna, tylko piękna. Oszałamiająco piękna. Na skali od jednego do pięciu wyciąga pięćdziesiąt, a Wally w swojej najwyższej formie – cztery. Miłość musi być ślepa, bo Martina, tak ma na imię, była oczarowana. Słabo mówiła po angielsku, ale rozmawiali językiem miłości. Zaczęli się spotykać. Któregoś wieczoru Martina zapytała, czy mogą zostać w domu. Ugotowała dla Wally’ego prawdziwe meksykańskie danie, a po kolacji poprosiła, żeby odpoczął w salonie. Przyniosła mu coś zimnego do picia, włączyła telewizor, a potem – uwaga! – uklękła i zaczęła masować mu stopy. Wally nie wiedział, jak się zachować. Pół roku później wzięli ślub. Pewnego dnia Martina zaczęła płakać. Wally zapytał, co się stało. „Mój kochany – powiedziała Martina – jesteś taki przystojny. Chciałoby cię mieć wiele pięknych kobiet. Boję się, że kiedyś jakaś przyjdzie i mi cię zabierze”. Wally odpowiedział: „Żadna mnie nie zabierze. Oprócz ciebie żadna nie uważa mnie za przystojnego”. Na to Martina: „Jesteś też skromny. Nigdy nie będę umiała cię zatrzymać”.

– Karma – podsumował Dale, energicznie odchylając się na oparcie krzesła. – Czasami droga do nieba prowadzi przez piekło. Karma może działać wolno, ale w końcu dopina swego.

– Gdzie usłyszałeś tę historię? – zapytałem.

– Od Marca. Martina przyniosła Wally’emu lunch do pracy i zapytałem, kim jest ta ślicznotka.

Nate zwrócił się do mnie, unosząc kufel.

– Dale ma rację, stary. Niebo czeka. Musisz się tylko zareklamować. Wiesz, co mówi nam Stuart na zebraniach: „Nic nie sprzedaje się samo”.

Napiłem się i zapytałem:

– Więc internet, tak?

Dale pokiwał głową.

– Tam można znaleźć wszystko, czego tylko dusza zapragnie.

– Spróbuj – dodał Nate. – Każdy może znaleźć portal randkowy dla siebie.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– W porządku.
Nate popatrzył na mnie z powagą.
– W porządku, tak zrobię, czy w porządku, powiedzieliście swoje, teraz dajcie mi spokój?
– To pierwsze – odparłem. – Spróbuję.
– Nie próbuj – powiedział zmienionym głosem Dale. – Rób albo nie rób, nie ma próbowania[5].
– Mówisz jak Yoda – zauważyłem.
– Bo go naśladowałem.
– Wolę cię jako pirata.
– Tak jest, kapitanie. Daj nam powód do dumy – powiedział Dale. – Rozwiń żagle!
– Rozwiń żagle! – powtórzył Nate.
– Rozwinę żagle – obiecałem.
Wszyscy wychyliliśmy kufle.
[4] Mt 13,24–30.

[5] Słowa te wypowiada Yoda do Luke’a Skywalker’a w *Imperium kontratakuje* (dialogi na podstawie tłum. E. Gałązki-Salamon i B. Robaczewskiej).

Rozdział 3

Wyszliśmy z pubu po jedenastej, po telefonie Michelle, żony Dale'a, która chciała się dowiedzieć, gdzie on jest. Z tego, co mówił Dale, zorientowaliśmy się, że Michelle nie jest zadowolona.

– Zostawiłeś Michelle samą w piątek wieczorem i nie powiedziałeś jej, gdzie idziesz? – zapytał Nate, gdy Dale skończył rozmawiać.

– Wyleciało mi z głowy.

– Rób tak dalej, a niedługo sam będziesz szukał portali randkowych – ostrzegł go Nate.

– Oj tam, urządzi mi kilka cichych dni, z czego się tylko ucieszę. Któregoś dnia poprosiła mnie, żebym jej podał balsam do ust, i przez pomyłkę dałem jej superglue. Nadal się do mnie nie odzywa.

Roześmiałem się.

– Dobrze – stwierdził Nate.

Zapłaciłem rachunek, odwoziłem Nate'a do jego samochodu i pojechałem do siebie. Mimo że było już po północy, włączyłem telewizor. Obejrzałem ostatnie dwadzieścia minut *Obywatela Kane'a*, a potem zacząłem przełączać kanały.

Już miałem wyłączyć telewizor, gdy pojawiła się reklama portalu randkowego – krótki film pokazujący szczęśliwe, zakochane pary patrzące sobie z uwielbieniem w oczy. Pomyślałem, że to musi być znak. Wziąłem głęboki oddech i wstałem z kanapy.

– No dobra. Do dzieła.

Podszedłem do komputera i wyszukałem reklamowany portal randkowy. Na stronie głównej zobaczyłem zdjęcie atrakcyjnej, śmiejącej się pary. Dotykali się policzkami i mieli błogo zamknięte oczy.

MIŁOŚĆ CZY SAMOTNOŚĆ?

Możesz wybrać dzięki eRandce.

Nagle pojawiło się okienko:

Powiedz nam, czy jesteś:

- a. mężczyznę szukającym kobiety;
- b. kobietą szukającą mężczyzny;
- c. mężczyznę szukającym mężczyzny;
- d. kobietą szukającą kobiety;
- e. inna możliwość.

Inna? Zaznaczyłem „a”, następnie wprowadziłem swój kod pocztowy i nazwę kraju. Okienko zniknęło i ukazały się dwa słowa:

Zaczynamy, ogierze.

Interesujący początek. Ciekawe, jak zwracali się do kobiet.

Zacząłem odpowiadać na pytania. Było ich mnóstwo. Nie miałem pojęcia, że rejestracja na portalu randkowym będzie podobna do egzaminu na koniec liceum, ale portal chwalił się potwierdzoną trafnością doboru, więc jeśli na końcu tego żmudnego procesu rejestracji czekała miłość, warto było się pomęczyć.

Odpowiedziałem na podstawowe pytania najszybciej, jak potrafiłem. Płeć, wiek, miasto,

stan cywilny: wolny czy rozwiedziony. W jednym z punktów program zapytał, ile razy byłem żonaty. Miałem do wyboru odpowiedzi od „nigdy” do „więcej niż pięć”. Kto chciałby związać się z osobą, która ma za sobą więcej niż pięć małżeństw? Pewnie ktoś, kto sam ma ich tyle na koncie. Takie osoby powinny dostać kartę częstożeństwa.

W następnej części poproszono, żebym ocenił swój charakter w skali od jednego do pięciu. Czy jestem ciepły? Bystry? Wrażliwy? Hojny? Wszędzie zaznaczyłem cztery, ale program mnie skarcił.

Zwolnij. Wiemy, że jesteś podekscytowany, ale udzielasz zbyt wielu identycznych odpowiedzi. Nie spiesz się i starannie przemyśl każdą odpowiedź. Stawką jest twoje przyszłe szczęście.

Bardzo wysoka stawka. Zmieniłem kilka czwórek na trójki lub piątki, nie dlatego, że uznałem, że odpowiedzi będą precyzyjniejsze, ale po to, żeby zadowolić program. Po dziesięciu minutach kliknąłem na KONIEC. Portal pogratulował mi wytrwałości, po czym na ekranie pojawił się pasek postępu, z którego wynikało, że wypełniłem dziesięć procent ankiety.

– Dziesięć procent? – mruknąłem do siebie. Zanosilo się na długie posiedzenie.

Trzecia część również dotyczyła osobowości. Poproszono mnie, żebym wybrał przymiotniki, które mnie opisują:

Zadowolony

Szczery

Żywotny

Mądry

Apodyktyczny

Agresywny

Zawzięty

Romantyczny

Czy ludzie odpowiadają naprawdę szczerze w takich ankietach? Czy ktoś wybiera osobę, która przyznaje, że jest apodyktyczna, agresywna albo zawzięta?

Jak dotąd program nie zapytał, czy jestem notowany albo czy kiedykolwiek byłem oskarżony o poważne przestępstwo. Może zrobi to w dalszej części.

Pojawiały się kolejne pytania. Ankieta była nieznośnie długa. Czasami zadawano te same pytania w inny sposób; pewnie po to, żeby zdemaskować kłamców. Wiele z nich powinienem był zadać swojej bylej żonie, zanim się z nią ożeniłem. Jednak Jill, która się ze mną rozwiodła, nie była tą Jill, którą poślubiłem. Jeśli się nad tym zastanowić, ślub jest jak skok do długiej rzeki w nadziei, że nurt poniesie nas do miejsca, gdzie zaznamy szczęścia.

Możliwe jednak, że Jill by wtedy skłamała; była w tym dobra.

Po ukończeniu piątej części pasek postępu pokazał, że jestem dopiero w połowie. Było wpół do drugiej w nocy i najchętniej przerwałbym wypełnianie ankiety, ale właściwie nie miałem wyjścia, bo nie chciałem zmarnować dotychczasowego wysiłku. Przypomniałem sobie, jak bardzo dokucza mi samotność oraz że wypilem red bulla i kilka piw. Nie było odwrotu.

W dziewiątej części zapytano mnie, jak zarabiam na życie. Napisałem „konsultant”, co zasadniczo było prawdą, ale przede wszystkim wyglądało lepiej niż „handlowiec”. Mimo to poczułem się niezbyt komfortowo.

W następnej części poproszono, żeby ocenił swój wygląd i zamieścił swoje zdjęcie. To chyba znamienne, że nie miałem żadnych zdjęć, na których nie byłoby również Jill. Nie jestem fanem selfie, ale zrobiłem sobie fotkę i zamieściłem na stronie.

Z doświadczenia wiem, że większość kobiet uważa mnie za atrakcyjnego, ale nie jestem próżny i selfie, które sobie zrobiłem, powinno o tym świadczyć, obniżając moją pozycję

w rankingu męskiej urody. Przynajmniej nikt nie mógł mnie oskarżyć, że wyphotoshopowałem swoje zdjęcie profilowe. Zgodnie z moim zawodowym hasłem: obiecuj mniej, dostarcz więcej.

Kiedy nareszcie dotarłem do końca ankiety, poproszono mnie, żebym wybrał pakiet usług, który chciałbym kupić. Wyjąłem kartę kredytową i zapłaciłem za dziewięćdziesiąt dni złotego pakietu, najdroższego, jaki był w ofercie.

Okej, mam to za sobą, pomyślałem. Pułapka zastawiona.

*

Czasami najdonioślejsze wydarzenia w naszym życiu zaczynają się od błahego czynu, nad którym się nie zastanawiamy – rzucony przez nas kamyk wywołuje potężną lawinę. Nie wiem, co mnie napadło, może powodem było wypite piwo lub późna pora, ale pod wpływem nagłego impulsu wpisałem do wyszukiwarki słowo „samotny” i zacząłem przeglądać strony, głównie z tekstami piosenek, aż trafiłem na link do postu zatytułowanego *Czy jest tam kto?*.

Kliknąłem i wszedłem na bloga. Na górze strony widniały inicjały LBH i sylwetka kobiety, ale twarz była nierozpoznawalna.

Czy jest tam kto?

Drogi Wszechświecie,

jestem dzisiaj taka samotna, że aż sprawia mi to ból. Jest tam kto? Słyszysz mnie ktoś? Podobno internet jest jak ciemny korytarz: możesz krzyczeć, ale nie masz pewności, czy ktoś cię usłyszy.

Pytanie egzystencjalne dnia. Jeśli napiszesz coś na blogu i nikt tego nie czyta, to czy wydałeś jakiś dźwięk?

Ech...

LBH

Spojrzałem na pasek nawigacyjny w poszukiwaniu profilu użytkownika albo zakładki *O mnie*, ale niczego takiego nie było. Kimkolwiek była ta kobieta, nie była szczególnie zainteresowana tym, żeby ją zidentyfikować. Podała tylko inicjały LBH.

Przewinąłem stronę i zacząłem czytać poprzednie wpisy na blogu, od najnowszych do pierwszego.

Drogi Wszechświecie,

dziś rano po wyjściu z samochodu spojrzałam w górę i zobaczyłam wznoszący się pomarańczowy balon. Wiedziałam, że spóźnię się do pracy, ale musiałam przystanąć i patrzeć, jak balon robi się coraz mniejszy i w końcu znika wśród chmur. Czułam, że potrzebuje widza, kogoś, kto powie: Widziałem, jak odpływałeś. Widziałem, jak znikasz.

Chciałabym, żebyś ktoś zrobił to samo dla mnie.

LBH

Drogi Wszechświecie,

na temat samotności wypowiadało się wiele wybitnych umysłów. W *Na wschód od Edenu* John Steinbeck napisał: „Wszystkie wielkie i cenne rzeczy mają ją w sobie”[6]. Matka Teresa powiedziała, że najstraszniejszym ubóstwem jest samotność i uczucie, że jest się niekochanym. Norman Cousins napisał, że odwiecznym dążeniem istoty ludzkiej jest zniszczyć swoją samotność.

Nie wiem, czy wnoszę coś tymi swoimi krótkimi postami, ale myśl, że może ktoś je czyta, sprawia, że czuję się trochę mniej samotna. Jeśli czytasz te słowa, dziękuję ci. Jeśli nie, nie mów mi tego.

LBH

Drogi Wszechświecie,

dlaczego wstydzimy się samotności? Najnowsze badania pokazują, że nie jesteśmy samotni w swojej samotności. Aż czterdzieści procent osób dorosłych określa się jako samotnych. Mimo to ludzie bardzo się starają z tym nie zdradzić. Niedawno przeczytałam wywiad z wybitnym naukowcem zajmującym się samotnością. Opowiadał o tym, jak czytał swoją książkę publicznie (poradnik ze słowem „samotny” w tytule) i nagle bardzo się zmieszał. A jeśli ludzie pomyślą, że jest samotny? Jego reakcja bardzo mnie zdziwiła. Jak to możliwe, że ktoś, kto zajmował się samotnością naukowo i dzięki temu wiedział, jak jest powszechna, tak bardzo obawiał się, że zostanie uznany za samotnego?

Mam swoją teorię. Najprawdopodobniej boimy się, że jako samotni będziemy uważani za mniej atrakcyjnych, mniej wartych uczucia i zaangażowania. W efekcie stajemy się jeszcze bardziej samotni.

To ironiczne, ale ja też nie jestem samotna w swojej samotności. Może dlatego piszę swoje posty anonimowo. Chcemy być uważani za wartych miłości. Nie chcemy być samotni. Dlatego kryjemy się ze swoją samotnością, przez co jesteśmy... niestety... bardziej samotni.

LBH

Drogi Wszechświecie,

okej, oto fakt, który dotyczy Ciebie, Drogi Czytelniku. Wiedziałeś, że ilość czasu, który spędzasz w internecie, jest odwrotnie proporcjonalna do Twojego ogólnego szczęścia i więzi z innymi ludźmi? Mówiąc inaczej, im więcej czasu spędzasz w internecie, tym bardziej jesteś nieszczęśliwy i wyizolowany. Wiem, że to zła wiadomość zarówno dla Ciebie, jak i dla mnie, bo oboje jesteśmy teraz online. Czy jednak zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego spędzamy tu tak dużo czasu? Dlaczego dorosły człowiek sprawdza swoje profile w mediach społecznościowych średnio co najmniej siedemnaście razy dziennie?

Myślę, że – choć fakty wskazują na coś innego – próbujemy nawiązywać więzi. Problem tylko w tym, że nie wiemy jak albo nie potrafimy przestać przebywać w necie. Wiem, że rozwiązania dla swojej samotności nie znajduję na ekranie komputera. A mimo to jestem tu. Piszę. Szkoda, że nie wiem, czy ktoś to czyta.

LBH

Drogi Wszechświecie,

dziś wieczorem spróbuję czegoś nowego. Słyszałam, jak w radiu mówiła o tym psychiatra. Powiedziała, że spisanie swoich uczuć może nam nie tylko pomóc zrozumieć siebie samych, ale też uwolnić nas od cierpienia. Tak więc zaczynam eksperyment. Od dziś będę opisywać życie samotnej kobiety. Kobiety, która rozpaczliwie chce kochać i być kochaną. Nie wiem, czy ktoś to przeczyta poza mną i Bogiem, ale ufam tej lekarce. Przynajmniej na razie. Albo to, albo prozac.

LBH

Kimkolwiek była ta kobieta, ujęła mnie wrażliwością. I szczerością. Jest jakaś różnica? Dodałem bloga do folderu *Ulubione*, po czym poszedłem spać. Słowa autorki mocno zapadły mi w pamięć. „Czy jest tam ktoś? Słyszysz mnie ktoś?”. Idealnie dobrała słowa. Chciałem jej odpisać: „Wiem, co czujesz”. Albo po prostu: „Słyszę Cię. Gdzie jesteś?”.

Z głową pełną takich myśli nareszcie zasnąłem.

[6] J. Steinbeck, *Na wschód od Edenu*, tłum. B. Zieliński, Wrocław 2000.

Rozdział 4

Następnego dnia była sobota. Pospałem dłużej i obudziłem się po dziewiątej. Nadal myślałem o blogu. Wstałem i włączyłem komputer. LBH zamieściła nowy post.

Drogi Wszechświecie,
dzisiaj w nocy przeczytałam artykuł, w którym dziennikarz zapytał naukowca, czy ten wierzy w istnienie życia na innych planetach. Naukowiec odparł: „Jedyną rzeczą bardziej przerażającą niż prawdopodobieństwo, że istnieje życie pozaziemskie, jest pewność, że ono nie istnieje i jesteśmy samotni we wszechświecie”.

Właśnie tak się czuję od bardzo dawna.

LBH

W nocy? Czytałem jej posty do drugiej nad ranem. Więc albo nie śpi w nocy, albo mieszka w innej strefie czasowej. Gdzieś na zachodzie. Może w moim regionie sprzedażowym? W Oregonie? Waszyngtonie? Kalifornii?

Gdy tak się głowiłem, na ekranie pojawiło się powiadomienie.

Alex, mamy dla Ciebie kilka kandydatek!

Poniżej znajdowały się zdjęcia sześciu kobiet. Gdybym się zastanawiał, dlaczego ludzie naginają fakty w swoich ankietach, teraz dostałbym odpowiedź. Panie wyglądały na dziesięć do piętnastu lat starsze ode mnie. Jedna wyglądała jak moja zmarła ciotka.

Wszystkie też opisały się jako wysportowane i sprawne, ale nie byłem w stanie wyobrazić sobie żadnej z nich, jak przebiega kilka metrów, nie upadając po drodze. Może przez „wysportowaną” rozumiały oglądanie golfa ze swojej kanapy.

Gdy zalogowałem się na portalu randkowym, zobaczyłem, że wszystkie panie już do mnie napisały. Nie spodobała mi się żadna z nich. Poczuję wyrzuty sumienia. Niechętnie przyznajemy, że wygląd zewnętrzny odgrywa dużą rolę, ale to prawda. Zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Taka jest ludzka natura. Przeprowadzono kiedyś badanie, które pokazało, że atrakcyjne osoby dostają krótsze wyroki. Nasze poglądy są kształtowane już we wczesnym wieku. Kopciuszek jest ładny, a jej przyrodnie siostry brzydkie, żebyśmy automatycznie sercem byli po stronie Kopciuszka. Z tego samego powodu książkę ze *Śpiącej królowny* jest przystojny.

Ponownie wszedłem na bloga tajemniczej LBH.

Rozdział 5

W poniedziałek dwudziestego pierwszego spotkałem się z Nate'em i Dale'em na lunchu. Każdy z nas przyjechał z innego miejsca. Padało i Nate przemókł do suchej nitki. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Pada – powiedziałem.

Nate spiorunował mnie wzrokiem.

– Naprawdę?

– Kiedy pada – zaczął Dale – moja żona staje przy oknie i ma taką smutną minę. – Zrobił pauzę i dodał: – Chyba powinienem wpuścić ją do domu.

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze cię nie rzuciła.

– Dzięki mojemu poczuciu humoru. Kobiety uwielbiają dowcipy.

– Jasne. Michelle wyszła za mąż dla żartu – skwitował Nate.

– To było okrutne – stwierdził Dale. – Skoro o żartach mowa. Proszę. – Położył przede mną naklejkę na zderzak. – Kupiłem ją na lotnisku Newark. Przypomniała mi o tobie.

Pani Gramatyko, przestań pytać o moją byłą. To już czas przeszły.

– Dziękuję – rzuciłem.

– Drobiazg. Jak polowanie?

– Wydaje mi się, że na portalach randkowych ludzie kłamią.

Dale się roześmiał.

– Wszyscy kłamią. Jeden z moich znajomych poznał babkę w necie. Rozmawiali ze sobą kilka tygodni i w końcu postanowili się spotkać w realu. Gdy przyszedł na randkę, nie poznał jej. Miała włosy na brodzie i przybrała ponad czterdzieści kilo, odkąd zrobiła zdjęcie, które zamieściła na portalu. Gdy ją zapytał, dlaczego go okłamała, odpowiedziała: „Przyszedłbyś, gdybyś wiedział, jak wyglądam naprawdę?”. To tak, jakbym powiedział klientowi: „Kupiłby pan nasz produkt, gdyby pan wiedział, że w rzeczywistości liczy chmury zamiast samochodów?”.

– Poczyszczające – zadrwiłem.

– Taka jest ludzka natura – stwierdził Nate. – Wszyscy kłamią, gdy muszą opisać samych siebie. Czasami nawet nie zdają sobie z tego sprawy.

– To dlaczego namawialiście mnie do skorzystania z portalu?

– Bo byłeś nie do zniesienia, stary. I musiałeś od czegoś zacząć.

– Popatrz na to – powiedział Dale, wyciągając do mnie swój iPhone. – Ten artykuł potwierdza moje słowa. Tu jest napisane, że przeważająca część użytkowników portali randkowych kłamię. Mężczyźni najczęściej zawyżają swój wzrost, kobiety obniżają swoją wagę. Jedni i drudzy kłamią na temat swojej sylwetki. Prawie osiemdziesiąt procent podaje, że są wysportowani i sprawni, znacznie więcej, niż wynosi średnia dla całego narodu.

– Już się zdążyłem o tym przekonać – powiedziałem.

– Poza tym – ciągnął Dale – kobiety częściej kłamią na temat swojego wieku, zaokrąglając do pięciu w dół, a mężczyźni podają nieprawdziwe dane na temat swojego zawodu i dochodów, przyznając sobie hojnie podwyżki. – Spojrzał na mnie. – Skłamałeś?

– Napisałem, że jestem konsultantem, a nie że handlowcem.

– To nie kłamstwo – ocenił Dale. – To sprzedaż.

– A jaka to różnica? – zapytałem.

– Zawsze powinieneś zaokrąglić w górę – poradził Nate. – A jak oceniłeś swój wygląd?
– Na osiem.
– Cholera! – wykrzyknął Dale. – Szykuje się porażka.
– Właśnie na tym polega problem z tobą – stwierdził Nate. – W realnym świecie, takim bez sobowtórów Clooneya i Pitta, masz mocne dziewięć, prawie dziesięć. Gdybyś sprzedawał nasze oprogramowanie tak, jak sprzedajesz siebie, byłbyś już bez pracy.
Dale pokiwał głową na znak, że przyznaje mu rację.
– Sprzedajesz się poniżej swojej wartości. Dużo poniżej. Kobiety na tych portalach podciągają pięć do ośmiu. A ty zaokrąglasz dziesięć do ośmiu. To pięciopunktowa przepaść.
– Jesteś handlowcem – powiedział Nate. – Powinieneś świetnie dać sobie z tym radę.
– Nie liczy się reklama – odparłem – tylko produkt.
– Sam wiesz najlepiej, że to nieprawda – powiedział Dale. – Dobrą reklamą sprzedasz zły produkt, ale złą nie sprzedasz nawet guzika.
– Musisz poprawić swoją reklamę – stwierdził Nate. – *Pronto*. Portal pozwala ci edytować swój profil?
– Nie wiem, czy warto.
– Więc pierwszego dnia połowów wyrzuciłeś złowione ryby. Super.
– Trafiała się jakaś interesująca babka? – zapytał Dale.
– Jak najbardziej. Ale nie na tym portalu. Ma swojego bloga.
– Blogerka – stwierdził Nate.
– Jak wygląda? – zapytał Dale.
– Nie mam pojęcia.
– Co chcesz przez to powiedzieć?
– To, co powiedziałem. Na blogu nie ma jej zdjęcia. Tylko zarys postaci.
– Czyli celowo ukryła twarz?
– Tak.
Na moment zapadała cisza.
– Według mnie to czerwona flaga wielkości Teksasu. Piękni ludzie zawsze zamieszczają swoje zdjęcia.
– Raczej próżni – skwitowałem.
– Próżni czy nie, w tej sprawie zgadzam się z Dale’em – powiedział Nate.
– Jest piękna.
– Skąd wiesz? – zapytał Nate.
– Czytałem jej bloga.
Obaj popatrzyli na mnie, jakbym się najadł psychotropów. Nate pokręcił głową.
– Wspaniale, stary. Cieszę się, naprawdę. Fajnie, że wygląd nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. To ci gwarantuje więcej ofert.
– Nie powiedziałem, że wygląd nie ma dla mnie znaczenia – odparłem. – Ale wygląd to nie wszystko. Jill była piękna na zewnątrz. Tym razem chcę kogoś, kto jest piękny również wewnątrz.
Nate odchylił się na oparcie krzesła, splatając palce na karku.
– Nie martw się. To dopiero pierwszy tydzień. Uwierz w program.
– I swoją blogerkę?
– Jesteś handlowcem. A ona jest nową klientką. Nieważne skąd.
Dale spojrział na zegarek.
– Spadam, chłopaki. Do czwartku muszę skończyć robotę papierkową dotyczącą sprzedaży w Newark. *Ciao, ragazzi!*

Po jego odejściu Nate zapytał mnie:
– Co robisz w Święto Dziękczynienia?
– Nie wiem. Pewnie będę oglądał mecze z odmrożonym obiadem z indyka.
– Łamiesz mi serce. Może przyjdiesz do nas? Ashley dobrze gotuje, a ja upiekę indyka na głębokim tłuszczu. Będzie super.
– Czy przez super rozumiesz katastrofalnie?
– Katastrofą jest samotne jedzenie odmrożonego indyka w Święto Dziękczynienia.
– Ashley nie będzie miała nic przeciwko?
– To był jej pomysł. Zrobiło jej się ciebie żal.
– Stałem się godny pożałowania.
– Zgadza się, stary. – Dał mi kuksańca w ramię. – Ale to minie.
– Kiedy?
– Nie wiem. To zależy od Boga.
– Miałem na myśli świąteczny obiad.
Uśmiechnął się rozbawiony.
– Aha. O trzeciej. Tak myślę. Dam ci znać. Idziesz już?
– Chcę skończyć lunch – odparłem.
– Za dużo gadasz – stwierdził, wstając. – Do zobaczenia w centrali. – Wsparł się na lasce i kuśtykając, wyszedł na deszcz.
*

Wieczorem dostałem dwie kolejne propozycje z portalu randkowego. Jedna z kobiet bardzo przypominała Jill. Po chwili uświadomiłem sobie, że to rzeczywiście ona. Kusiło mnie, żeby przeczytać, co napisała o sobie, ale się powstrzymałem. Najwidoczniej nie wyszło jej z Clarkiem. Nie zmartwiło mnie, że zobaczyłem na portalu była żonę. Bardziej przejąłem się tym, że ona mogła zobaczyć tam mnie. Dlaczego poczułem się upokorzony?

Zamknąłem stronę i wszedłem na bloga LBH. Ucieszyłem się, widząc, że jest nowy wpis. Drogi Wszechświecie,
wczoraj wieczorem znalazłam kolejną pracę na temat samotności. Ty, będąc uosobieniem rozsądku, mógłbyś zapytać: Jaki typ człowieka pisze pracę naukową na temat samotności? Już ci odpowiadam. Ten sam typ, który czyta te prace nocami – osoba samotna. Zaczynam wierzyć, że jest nas więcej.

Wyniki tej pracy pokazują, że chroniczna samotność wpływa na nasz organizm tak samo negatywnie jak wypalanie dwóch paczek papierosów dziennie. Oczywiście nie w ten sam sposób. Chodzi o stopień zagrożenia zdrowia i życia. Na tym nie koniec złych wiadomości. Samotni ludzie gorzej reagują na szczepionki przeciw grypie niż niesamotnicy (wymyśliłam to słowo; edytor zaznaczył je czerwoną falistą linią), samotność obniża też odporność naszego organizmu. Mówiąc inaczej, gdy jesteś samotny, nawet twoje ciało nie chce być z tobą, więc próbuje się zniszczyć.

Może dlatego czuję, że coś mnie bierze. Szkoda, że nie ma przy mnie nikogo, kto by mnie natarł maścią mentolową i zapakował do łóżka. No ale gdybym miała kogoś takiego, to byłby ze mną w łóżku. Albo przyniósłby mi gorącej herbaty z miodem i cytryną. Poczulałabym się jak w niebie. Z drugiej jednak strony, gdybym miała kogoś, kto by mnie tak kochał, nie byłabym samotna. I nie byłabym chora.

Ale czasami bym udawała, że jestem.

LBH

Kimkolwiek była, desperacko pragnąłem ją poznać.

Rozdział 6

N azajutrz Dale'a nie było w mieście, więc na sushi poszedłem tylko z Nate'em.

– Jakieś nowe klientki? – zapytał Nate, po czym wsunął do ust maki. Chyba moje losy na portalu randkowym interesowały go bardziej ode mnie.

– Kilka. Wśród nich Jill.

– Próbowali cię wyswatać z Jill?

– Owszem, przez co zaczynam wątpić w ich wiarygodność.

– Świat jest mały, chłopie. Ale może to nie jest pomyłka. Może Jill podświadomie nadal cię kocha i szuka kogoś takiego jak ty.

– Jasne – zadrwiłem, choć jakaś pokręcona część mojej duszy chciała w to uwierzyć.

– Jakieś inne fajne babki?

Pokręciłem głową.

– Raczej nie. Jedna ma siedmioro dzieci.

– Wow. Dziwne, że o tym napisała. Takie nowiny ujawnia się na czwartej randce. Może nawet na piątej.

– Była po prostu szczerą. Wydawała się sympatyczna.

– Siedmioro dzieci? Sympatyczna? Powiedziałbym, że zdesperowana.

Rozłupałem strąk edamame.

– No tak, dla mnie byłaby to zbyt radykalna zmiana stylu życia.

– A co z tą twoją blogerką? Tą LOL[7]?

Pokręciłem głową.

– LBH – sprostowałem. – Zamieściła kolejny wpis.

– Dała jakieś wskazówki co do swojej tożsamości?

– Nie. Nadal tylko inicjały.

– To życzę powodzenia – powiedział. – Aha, powiedziałem Ashley, że przyjdiesz do nas na Święto Dziękczynienia, i bardzo się ucieszyła.

– Dzięki. Ja też się cieszę.

– Nawet jak indyk się nie uda, przynajmniej nie będziesz siedział sam.

Wieczorem zrobiłem sobie na kolację smoothie proteinowe, przez godzinę oglądałem telewizję, a potem, co stało się już moim zwyczajem, sprawdziłem, co na blogu. Był nowy wpis. A właściwie dwa.

Drogi Wszechświecie,

dziś wieczorem myślałam o czymś, co powiedział mi ojciec, gdy byłam mała. Mój ojciec był Niemcem; miał charakterystyczny akcent i inne cechy, które kojarzą się z Niemcami. Otóż powiedział mi: kiedy będziesz szukała mężczyzny dla siebie, czekaj na tego, który przyniesie ci szarotkę alpejską. Zapytałam go, co to jest ta szarotka alpejska, a on odparł, że to biały drobny kwiatek górski ze Starego Świata. Byłam ciekawa, dlaczego właśnie szarotkę, a ojciec odpowiedział, że ta roślina rośnie wysoko w górach na skalistym terenie. Mężczyzna musi się wykazać wielką wiarą, poświęceniem i odwagą, i w ten sposób udowadnia swoją miłość.

Nigdy tego nie zapomniałam. Brakuje mi ojca. Był bardzo dobrym człowiekiem. Gdzie są tacy mężczyźni? Gdzie jest mój mężczyzna z szarotką alpejską?

LBH

Również i te słowa były piękne. Czy byłem mężczyzną, który przyniósłby swojej

ukochanej szarotkę alpejską? Uważałem, że tak. Miałem taką nadzieję. Przeczytałem post jeszcze raz, zanim przeszedłem do następnego.

Wpis zamieszczono godzinę przed tym, który przeczytałem jako pierwszy.

Drogi Wszechświecie,

świetnie (piszę to z sarkazmem). Natrafiłam na więcej przygnębiających badań naukowych. Wyniki jednego z nich pokazywały, że z powodu samotności ludzie stają się zimni. Nie w przenośni, ale dosłownie. Obniża się temperatura ich skóry. To zakrawa na okrutną ironię, że najzimniejsi ludzie nie mają nikogo, kto by ich ogrzał.

Jest bardzo zimno. Ciągłe pada śnieg, przykrywając wszystko cichą, zimną kołderką. Pobielone góry wyglądają ślicznie. Pan od prognozy mówił, że nocą może spaść nawet metr śniegu. Pusto na dworze. Pusto w moim sercu.

Dziś wieczorem jest mi bardzo zimno. Szkoda, że nie mam nikogo, kto by mnie przytulił.

LBH

„Szkoda, że nie mam nikogo, kto by mnie przytulił”. Och, jak zapragnąłem przytulić LBH! Czy to normalne, że miałem takie pragnienie w stosunku do kogoś, kogo nie znałem? Chciałem przynieść jej szarotkę alpejską.

Nagle uświadomiłem sobie, że dostałem od LBH pierwszą wskazówkę. Góry i śnieg. Może udałoby mi się ją zlokalizować na podstawie mapy pogodowej? Warto spróbować. Śnieg padał w dziewiętnastu stanach. Mogłem więc wykluczyć wszystkie miasta bez gór, w których nie padał śnieg, co zawęziło obszar poszukiwań do stu milionów osób. Drobnostka.

– No dalej, LBH – powiedziałem na głos. – Daj mi coś więcej.

[7] Żart językowy Nate’a. LOL to w jęz. ang. skrót od *laughed out loud* lub od *lots of laughter* i obie formy w wolnym przekładzie znaczą „kupa śmiechu”.

Rozdział 7

">N ie mam dobrych skojarzeń ze Świętem Dziękczynienia. Na pewno znacie opowieści o spotykających się przy świątecznym stole rodzinach, które skaczą sobie do gardeł. Moja rodzina do takich należała. Gdy wspominam czasy, kiedy byłem w domu i żyli moi dziadkowie, widzę moich rodziców obrzucających się obelgami przy świątecznym stole. W końcu mama ciskała w ojca czymś mokrym i milkła obrażona. Ojciec wybiegał z domu do najbliższego baru, zostawiając przy stole dziadków i mnie. Siedzieliśmy w milczeniu, aż babcia, której sposób na konflikty polegał na tym, że udawała, że ich nie ma, zadawała mi jakieś neutralne pytanie, na przykład: „Co tam w szkole?”.

Nie znosiłem tego dnia.

*

Obudziłem się w nie najlepszej kondycji (objaw psychosomatyczny?), więc postanowiłem jeszcze nie wstawać. Gdy już nie byłem stanie dłużej leżeć, przez jakiś czas oglądałem parady Macy's, a potem, pod wpływem impulsu, zajrzałem na bloga. Był nowy wpis.

Drogi Wszechświecie,

wiem, że zwykle nie zamieszczam dwóch wpisów jednego wieczoru, ale nie mogłam spać. I znalazłam więcej doniesień naukowych. (Wiesz, jak je lubię). Pewien magazyn neuronaukowy opublikował ostatnio teorię, że samotność stała się mechanizmem służącym naszemu przetrwaniu. Podstawowe założenie jest następujące: aby przetrwać jako gatunek, ludzie musieli nauczyć się łączyć w grupy i tworzyć społeczności, których członkowie pomagali sobie wzajemnie. Więź społeczna była tak ważna dla naszego przetrwania, że nasze mózgi wytworzyły biomechaniczną funkcję, która wywoływała u nas ból (inaczej zwany uczuciem samotności), gdy traciliśmy kontakt z innymi. Dlatego przeżywamy samotność w ten sam sposób, w jaki przeżywamy inne fizjologiczne odczucia, takie jak zmęczenie lub głód – jak coś, co popycha nas do działania. Tak więc w teorii samotność jest dobra dla naszego gatunku. Dobra dla wszystkich, zła dla jednostki.

LBH

Wzięłam głęboki oddech. Absolutna racja, pomyślałam. Wyłączyłam komputer i poszedłem pod prysznic. Byłem ciekaw, jak LBH spędza Święto Dziękczynienia.

*

Przyjechałem do Nate'a tuż przed piętnastą. Otworzył mi drzwi, zanim zdążyłem nacisnąć dzwonek.

– Alex, brachu. Witamy.

Objęliśmy się po męsku. Dom wypełniały dźwięki bożonarodzeniowych utworów Mitcha Millera oraz aromaty świątecznych ciast.

– Mam nadzieję, że jesteś głodny. Ashley przeszła samą siebie.

– Urodziłem się głodny. I chętnie przeciążę żołądek, żeby tylko zrobić Ashley przyjemność.

Nate poklepał mnie po plecach, co, nawiasem mówiąc, zabolalo jak zawsze.

– To mi się podoba. Zawsze gotów, żeby się poświęcić dla drużyny.

– Jak ci się udał indyk?

– Wspaniale – odparł. – Właśnie wyjąłem go z piekarnika.
– Mówiłeś, że upieczesz na głębokim tłuszczu.
– Zgadza się, ale Ashley się sprzeciwiła. Naczytała się o głupcach, którzy puścili swoje domy z dymem w Święto Dziękczynienia.
– Czemu się sprzeciwiłam? – zapytała Ashley, wychodząc z kuchni.
– Smażeniu indyka na głębokim tłuszczu.
– No chyba. Wyobrazasz to sobie? – Pocałowała mnie w policzek. – Cześć, Alex.
– Cześć, śliczna. – Była przeciwieństwem Nate’a. Subtelna, piękna i bardzo drobna, ważyła niecałe czterdzieści pięć kilogramów. Obawiałem się, że któregoś dnia Nate ją zmiażdży, przewracając się w łóżku na drugi bok. – Apetyczne zapachy – dodałem.
– Dziękuję. Kiedy Nate zapytał, czy może cię zaprosić, trochę zmieniłam menu. Powiedział, że bardzo lubisz tartę z pekanami. Więc ją dla ciebie upiekłam.
– Ashley, wyjdiesz za mnie?
Pokręciła głową.
– Nie, jeden mężczyzna mi wystarczy. Ale dostaniesz resztki tarty do domu.
– Przynajmniej jest nagroda pocieszenia – stwierdziłem.
Ashley uśmiechnęła się, po czym powiedziała do Nate’a:
– Czekam tylko na bułki. Siadamy do stołu za jakieś dziesięć minut. Nie oddalajcie się.
Nate zwrócił się do mnie:
– Chodź, stary, popatrzmy, jak Dolphinsi wykańczają Pittsburgh.
Poszedłem za Nate’em do jego pokoju, gdzie telewizor już był włączony. Toczyła się czwarta kwarta. Dolphinsi prowadzili dzięki przyłożeniu.
– Jak ci mija dzień? – zapytał Nate.
– W porządku.
– Jakieś postępy w randkach internetowych?
– Ciągle o to pytasz. Postawiłeś na to kasę?
– Możliwe.
– Założyliście się Dale’em, czy znajdę kogoś w necie?
– Nie. Założyliśmy się, czy się ożenisz, czy nie, z babką poznaną w necie.
– Brak mi słów.
Nate milczał przez chwilę, po czym dodał:
– Dale obstawił dziesięć do jednego. Byłbym głupi, gdybym przepuścił taką okazję.
– To się nazywa mieć wiarę.
– Do twojej wiadomości: postawiłem stówę, że się ożenisz. Nie zrób mi zawodu.
*

Kilka minut później Ashley nas zawołała. We troje usiedliśmy przy stole w jadalni, na którym jedzenia było znacznie więcej, niż mogłyby zjeść trzy osoby. Nawet gdy jedna z nich była posturą Nate’a.

– Zmówię modlitwę – zaczął Nate. – Jesteśmy wdzięczni za nasz wspaniały kraj oraz naszą wspaniałą flagę i prosimy o łaski dla tych, którzy są dzisiaj w niebezpieczeństwie, daleko od swoich rodzin, broniąc naszej wolności. Jesteśmy wdzięczni za dostatek, a zwłaszcza za dzisiejszy posiłek. Jesteśmy wdzięczni za przyjaciół i prosimy cię, żebyś pomógł samotnemu Alexowi znaleźć miłą kobietę, która osłodzi mu samotność. Może nawet tę jego tajemniczą blogerkę. Amen.

Spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Zawsze możesz na mnie liczyć.
Ashley podała mi koszyczek z bułkami i zapytała:

- Co to za tajemnicza blogerka?
- Alex regularnie podgląda pewną kobietę w internecie – wyjaśnił Nate.
- Naprawdę? – zdziwiła się Ashley.
- Nate przesadza – odparłem.
- To dobrze, bo zabrzmiało strasznie.
- Dzięki – powiedziałem do Nate’a. – Wyszedłem na niebezpiecznego faceta. A także godnego pożałowania.
- Jedno nie wyklucza drugiego.
- O co chodzi z tym internetowym stalkingiem? – zapytała Ashley. – Opowieści Nate’a bywają zwariowane, ale zawsze jest w nich ziarno prawdy. To może być tylko jeden procent, ale zawsze jest.
- Dlatego że nie potrafię wymyślić czegoś z niczego – powiedział Nate. – Po prostu brak mi wyobraźni.
- Tego nie powiedziałam. Co to za tajemnicza kobieta i co ma z nią wspólnego mój mąż?
- Nate namówił mnie, żebym zarejestrował się na portalu randkowym. Serfując, natrafiłem na bloga, który mnie zainteresował. Pisze go pewna kobieta.
- Jakaś znana blogerka?
- Nie. Zupełnie nieznana.
- Napisałeś do niej?
- Zrobiłbym to, gdyby zamieściła dane kontaktowe.
- To znaczy, że nie chce, żeby się z nią kontaktować. – Ashley zwróciła się do Nate’a: – Naprawdę doradziłeś mu portal randkowy?
- A dlaczego nie?
- Powinieneś wiedzieć dlaczego nie. Po tym, co przeszłam.
- Chyba kryje się za tym jakaś historia – powiedziałem.

Ashley popatrzyła na mnie, potrząsając głową.

- Nie zgadłbyś jaka.
- Mówisz o tym optyku – stwierdził Nate.
- Optyku? – powtórzyłem.

Ashley pokiwała głową.

- Jakieś dwa miesiące przed poznaniem Nate’a nawiązałam internetową znajomość z optometrystą. Nie był szczególnie przystojny, ale miał fach i wydawał się dość sympatyczny. Poza tym był stąd, więc się umówiliśmy. Podczas kolacji powiedział, w którym sklepie optycznym pracuje, a ja, całkiem przypadkiem, byłam tam kilka tygodni wcześniej. Powiedziałam, że widziałam bardzo fajne okulary, i żałowałam, że ich nie kupiłam. Po kolacji facet powiedział: „Jestem tam kierownikiem. Jeśli naprawdę chcesz te okulary, mogę ci je sprzedać, powiedzmy, za mniej niż połowę ceny”. Okulary bardzo mi się podobały i pomyślałam, że to świetna propozycja, więc pojechaliśmy do sklepu. Powinnam była zdać sobie sprawę, że coś jest nie tak, kiedy weszliśmy tylnymi drzwiami i facet powiedział, żebym zachowywała się cicho i nie patrzyła w stronę kamer monitoringu. Zapytałam dlaczego, ale mruknął coś o regulaminie firmy i dodał: „Nie martw się”. Właśnie wtedy powinnam była zacząć się martwić. Zaprowadził mnie do gabloty z okularami i poszedł na zaplecze. Żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, że uruchomiliśmy cichy alarm. Wzięłam okulary i poszłam go poszukać. Znalazłam go w jednym z gabinetów. Siedział na krześle zupełnie nagi. Zaczęłam gorączkowo myśleć, jak stamtąd uciec, kiedy ktoś krzyknął: „Stać! Ręce do góry”. To byli policjanci z wycelowanymi

w nas pistoletami. Wystraszyłam się, bo pomyślałam, że zostanę zastrzelona albo pójdę do więzienia, no i jeszcze ten zupełnie nagi świr. Kiedy przestałam płakać i wyjaśniłam całą sytuację, policjanci się uśmieśli i puścili mnie wolno. Jeden z nich odwiózł mnie do domu. Z moim niedoszłym chłopakiem była inna sprawa. Kazali mu się ubrać, potem zakuli go w kajdanki i zabrali na posterunek. Kiedy wyprowadzali go ze sklepu, krzyknął do mnie: „Zadzwoń!”. – Spojrzała na Nate’a. – Dlatego nie powinieneś nikomu doradzać portali randkowych.

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Nate nigdy mi o tym nie opowiadał.

– To nie było ważne – odparł Nate. – Prawdopodobieństwo, że Alex trafi na nagiego specjalistę od okularów, jest równe zero.

*

Po obiedzie razem z Nate’em pozmywaliśmy naczynia, a Ashley zadzwoniła do swojej matki w Oklahomie. Potem we troje przeszliśmy do salonu zjeść tartę i pogadać. Pół godziny później Ashley przeprosiła nas i poszła się przespać. Po dziesięciu minutach Nate opuścił mnie, żeby dołączyć do żony. Wziąłem resztę tarty z pekanami i pojechałem do domu. Kolejne Święto Dziękczynienia pogrzebane.

Rozdział 8

W weekend po Święcie Dziękczynienia pamiętam jak przez mgłę. Moje złe samopoczucie, które dało o sobie znać w świąteczny poranek, nie minęło; najwyraźniej złapałem jakąś infekcję. Czułem się tak źle, że następny dzień spędziłem głównie w łóżku albo pod gorącym prysznicem. Jill zawsze nabijała się z mojej „męskiej grypy”, jak ją nazywała, ale ona żartuje nawet z kataru.

Nic nie traciłem, zostając w domu – przynajmniej nic, na czym by mi zależało. W pierwszych latach małżeństwa Jill wyciągała mnie z łóżka przed wschodem słońca i jechaliśmy na Black Friday. Dziwne, ale się nie sprzeciwiałem. A przecież szczerze tego nie znosiłem. Chyba właśnie podczas świątecznych zakupów różnice pomiędzy naszymi charakterami ujawniały się najbardziej. W kotłującym się sklepowym tłumie Jill czuła się jak ryba w wodzie, napawając się dźwiękami, zakupami i przepychankami, natomiast dla mnie ten szaleńczy pęd i lawirowanie wśród kanciastych wózków był sklepową wersją biegu byków ulicami Pampeluny.

Po trzech latach posłusznego towarzyszenia żonie w końcu przyznałem się, że nie lubię tych wypraw. Ku mojemu zaskoczeniu Jill przyznała się, że wolałaby robić zakupy z koleżankami niż ze mną. Okazało się, że oboje robiliśmy coś, na co nie mieliśmy ochoty, tylko dlatego, że myśleliśmy, że ta druga osoba tego chce – taka wypaczona wersja *Mirry, kadzidla i złota*[8]. Od tamtej chwili Jill szalała na zakupach, a ja zostawałem w łóżku. Problem został rozwiązany.

*

Tego roku, w odróżnieniu od Nate’a i Dale’a, nie miałem dla kogo robić zakupów. Choć czułem się zraniony przez Jill, zatęskniłem za nią. Czy pojechała na zakupy? Oczywiście, że tak. Przecież miała pieniądze z naszego konta emerytalnego.

Pomyślałem, żeby pomimo choroby pojechać samemu, dla podtrzymania tradycji, jednak nie byłem w stanie – nie tyle z powodu przeziębienia, ile z obawy o stan duszy. Pewnie to zakrawa na ironię, ale tak już jest, że nigdzie nie czujemy się tak samotni jak w tłumie ludzi, z którymi nic nas nie łączy.

Już chciałem spisać na straty kolejne święto, ale wieczorem zajrzałem do internetu. Wszystko zmienił najnowszy wpis LBH.

Drogi Wszechświecie,
kolejne samotnie spędzone Święto Dziękczynienia. Dlaczego najboleśniej odczuwamy swoją samotność podczas świąt? I choć samotna, mam wiele powodów do wdzięczności. Jestem zdrowa. Nie jestem bogata, ale mam dach nad głową. Liczę, że to, co piszę o samotności, nie sprawia wrażenia, że jestem niewdzięczna. Czasami czuję się jak mięczak. Nie piszę po to, żeby się skarżyć, ale żeby sobie z tym poradzić.

Jutro wszyscy masowo ruszą do sklepów. Wielu pojedzie do większych miast. Wszędzie będą tłumy, dlatego zostaję w domu. To dziwne, ale najbardziej samotna czuję się w tłumie. Ironia losu.

Co roku we wrześniu w naszym miasteczku odbywają się Dni Szwajcarii. Imprezy są organizowane w parku nieopodal mojego domu. Patrząc ze swojego okna na te tłumy ludzi i zastanawiam się, skąd oni się biorą. Ludzie muszą mieć swoje miejsce. Zawsze musieli być częścią plemienia. Dzisiaj naszym plemieniem jest rodzina, klub albo wspólnota religijna. A co się dzieje, kiedy przestajemy być ich częścią? Przypuszczam, że w czasach prehistorycznych

wypędzenie z plemienia lub wykluczenie ze wspólnoty religijnej, oddalenie od rodziny i kochanych osób oznaczało zgubę. Wypędzenie z plemienia jest formą egzekucji.

LBH

Dni Szwajcarii? Gdzie je urządzą? Nareszcie dostałem solidną wskazówkę. Wpisałem „dni Szwajcarii” do wyszukiwarki Google. Pojawiły się trzy wyniki, nazwy trzech różnych miast: Berne w Indianie, Midway w Utah i Santa Clara w Utah. Nigdy nie słyszałem o żadnym z tych miejsc.

Zacząłem szukać informacji w internecie. Wszystkie trzy miasta były małe, około czterotysięczne – mniej więcej pięć procent wielkości Daytona Beach. To dobrze. Im mniej osób, tym łatwiej znaleźć tę poszukiwaną.

Berne w Indianie leży niecałe sześćdziesiąt kilometrów na południe od Fort Wayne. Zostało założone w 1852 roku przez przybyłych ze Szwajcarii mennonitów, którzy nazwali swój nowy dom na cześć stolicy Szwajcarii. Sądząc po zdjęciach w necie, miasto niezbyt przypominało szwajcarskie Berno.

Santa Clara znajduje się w południowym Utah blisko granicy z Arizoną i pod koniec XIX wieku była zamieszkała głównie przez nawróconych mormonów ze Szwajcarii. Miasto leży na pustyni i jest w większości płaskie, choć na zdjęciach, które oglądałem, było widać w oddali góry.

Z tych trzech miast Midway najbardziej przypominało Szwajcarię geograficznie i architektonicznie. Porośnięty bujną roślinnością, górzysty teren najpierw odkryli traperzy, a później zasiedlili mormońscy imigranci ze Szwajcarii. Wiele współczesnych budynków, łącznie z tym, który według mnie był ratuszem, zostało zaprojektowanych w stylu szwajcarskim. Miasto było też znane z licznych naturalnych gorących źródeł.

Z poprzedniego wpisu na blogu wynikało, że miasto, w którym mieszka LBH, jest otoczone górami i zaśnieżone. Wokół wszystkich trzech miast znajdowały się góry lub wzgórza, ale tylko w dwóch odnotowywano większe opady śniegu: Midway i Berne. W Berne rocznie spadało prawie siedemdziesiąt centymetrów, natomiast w Midway ponad dwa i pół metra. Choć Santa Clara też leżała w Utah, znajdowała się prawie pięćset kilometrów na południe od Midway i rocznie spadało tam zaledwie kilka centymetrów śniegu. LBH napisała, że spodziewa się metra w jedną noc, co wykluczało Santa Clarę i było mało prawdopodobne dla Berne.

Następnie sprawdziłem, kiedy każde z tych miast organizuje Dni Szwajcarii. Berne pod koniec lipca, Santa Clara i Midway – we wrześniu. Tylko jedno z tych miast spełniało wszystkie warunki. LBH mieszkała w Midway w Utah.

Gdziekolwiek to, cholera, było.

[8] Tytuł opowiadania O’Henry’ego (tłum. K. Piotrowski).

Rozdział 9

">Moi klienci byli biurokratami na szczeblach miast, hrabstw i stanów, dlatego pod koniec roku sprzedaż naszych systemów gwałtownie wzrastała. Urzędnicy uwijali się, żeby wydać roczny budżet, z obawy, że dotacja na kolejny rok fiskalny może zostać zmniejszona. Ta gorączkowa tendencja kończyła się pod koniec drugiego tygodnia grudnia tak nagle, jakby ktoś zakręcił kurek. Dlatego zarząd Traffixu organizował firmową imprezę wieczorem w drugą sobotę grudnia. I dlatego po tym dniu właściwie nic już się nie działo.

Choć przerwa świąteczna w naszej firmie oficjalnie zaczynała się 22 grudnia, zawieszaliśmy działalność już w drugiej połowie miesiąca. Tego roku po raz pierwszy nie cieszyłem się z wolnego. Jeśli Święto Dziękczynienia uznać za jakiś wskaźnik, to grudzień nie zapowiadał się dobrze. Mimo wszystko powinien być lepszy niż w poprzednim roku. Właśnie wtedy opuściła mnie Jill.

*

LBH opublikowała wpisy w piątek, sobotę i niedzielę po Święcie Dziękczynienia.

Drogi Wszechświecie,

wczoraj wieczorem rozwiązałam test na samotność. Jak zwykle późnym wieczorem przeszukiwałam internet i natrafiłam na test z magazynu psychologicznego zatytułowany *Jak bardzo jesteś samotna/samotny?*. Mimo że już znałam odpowiedź, odpowiedziałam na wszystkie pytania, między innymi: „Jak często czujesz, że nie masz z kim porozmawiać?” albo „Jak często czujesz się przytłoczona/przytłoczony samotnością?”. Wszędzie wybierałam odpowiedź CZĘSTO z wyjątkiem „Jak często czekasz, że ktoś zadzwoni albo napisze?”. Tutaj zaznaczyłam NIGDY. Nikt nie myśli o mnie tak bardzo, żeby do mnie zadzwonić albo napisać. Nic dziwnego, że zostałam podsumowana jako „Skrajnie samotna”. Nie musiałam rozwiązywać testu, żeby się o tym dowiedzieć.

LBH

Drogi Wszechświecie,

kilka moich ostatnich wpisów było dość ponurych, dlatego chciałabym poprawić nastrój dowcipami o samotności:

Pytanie: Dlaczego grabarz poszedł sam na tańce?

Odpowiedź: Bo zrobił to bez żadnej zwłoki.

Okropny, wiem. Niewart, żeby się znaleźć nawet na opakowaniu gumy balonowej. To może ten?

Pewien człowiek desperacko chciał być sam, więc wybudował dom na szczycie góry. Któregoś dnia usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, zobaczył ślimaka.

Mężczyzna rozłóścił się, że jego samotność została zakłócona, podniósł więc ślimaka i rzucił go najdalej, jak potrafił.

Rok później znowu rozległo się pukanie do drzwi. Mężczyzna otworzył i zobaczył tego samego ślimaka.

Po co to zrobiłeś? – zapytał ślimak.

Ja wpuściłabym tego ślimaka do domu.

LBH

Drogi Wszechświecie,

jeden z obrazów Edwarda Hoppera nosi tytuł *Nocne marki*. Jest bardzo znany. Pewnie go widziałeś. Przedstawia miejską restaurację w nocy (temat, który jest mi szczególnie bliski). Przez okno widać mężczyznę i kobietę siedzących po jednej stronie kontuaru, drugiego mężczyznę siedzącego naprzeciwko nich oraz trzeciego pracującego za barem.

W obrazie zawsze uderzała mnie dojmująca samotność. Może dlatego, że jako widz jestem na zewnątrz i mogę tylko zaglądać do środka. Ale nawet ludzie wewnątrz restauracji też wyglądają na samotnych. Kiedy zapytano o to Hoppera, odpowiedział: „Chyba nieświadomie malowałem samotność w wielkim mieście”.

To smutne, ale samotność nie mieszka tylko w wielkich miastach. Można ją spotkać również w małych. Można ją spotkać wszędzie, gdzie są ludzie.

Ostatnie zdanie wydaje się okrutną ironią.

LBH

W poniedziałek rano poleciałem do Seattle na spotkanie z urzędnikami tamtejszego wydziału kontroli ruchu, a dwa dni później do Portland do wydziału transportu stanu Oregon. Spotkania były udane, choć klienci z Seattle postanowili odłożyć wdrożenie naszego produktu do nowego roku, co spowodowało przesunięcie części mojej premii z końca grudnia na początek stycznia. Nie przejąłem się. Jestem samotny, ale przynajmniej powodzi mi się finansowo.

W drodze z Portland miałem przesiadkę na lotnisku w Salt Lake City. Kiedy podchodziliśmy do lądowania, patrzyłem przez okno. Salt Lake City i przedmieścia były białe jak płótno. Jakby ktoś wziął ogromny pojemnik i spryskał wszystko białym sprejem. Otaczające miasto Góry Skaliste zawsze wyglądały majestatycznie, ale zimą wypiętrzały się jeszcze bardziej niczym olbrzymie zwały odgarniętego na pobocze śniegu.

Patrząc na góry, nie mogłem też nie pomyśleć o tym, że znajduję się blisko LBH. Midway leżało po wschodniej stronie pasma górskiego, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Możliwe, że widziałem to miasto z góry i nie wiedziałem o tym. A LBH była gdzieś w dole. Od Święta Dziękczynienia nie napisała nic na blogu. Dlaczego? Zdałem sobie sprawę, że się o nią martwię. Dziwne, że martwiłem się o kogoś, kogo nie znam.

Wróciłem do domu w czwartek wieczorem. W porównaniu z miejscami, w których byłem w poprzednim tygodniu, w Daytona Beach było ciepło, ale ludzie chodzili w płaszczach.

Przed snem włączyłem komputer i wszedłem na bloga LBH, mając nadzieję, choć nie spodziewając się, że coś napisała. Napisała.

Drogi Wszechświecie,

to mój ostatni wpis. Jeśli jesteś czytelnikiem mojej pisaniny, wykorzystam tę okazję, żeby się pożegnać. Miałam nadzieję, że blog pomoże mi złagodzić uczucie samotności, ale nie pomógł. Nic nie pomogło. Jestem zmęczona tym ciągłym cierpieniem. Chyba czas wrócić do domu. Dla mnie dom to nie miejsce. To osoba. To mój ojciec. Tęsknię za nim każdego dnia. Chcę z nim znowu być. Chcę powiedzieć, patrząc mu prosto w oczy, że żałuję tego, co zrobiłam.

Planuję zostać tu do Bożego Narodzenia. Ze względu na święta. Tak sobie mówię. Może nadal mam nadzieję, że coś się zmieni. Nadzieja umiera ostatnia.

Wyjadę w sylwestra. Obyś Ty, drogi wędrowcze, znalazł to, czego ja nie potrafiłam.

LBH

Ostatni wpis. W jej słowach kryła się głęboka melancholia, głębsza niż we wcześniejszych postach. Wyczuwało się w ich nieodwołalność. Zrobiło mi się smutno. Nie znałem tej kobiety, a jednak jej współczułem. Poczulem, jakbym coś tracił. Myślę, że w jakimś

sensie jednak ją znałem. Znałem ją, bo rozumiałem jej cierpienie. Bo była wrażliwa i uczciwa. Te cechy sprawiły, że znałem ją lepiej niż kobietę, z którą dzieliłem łóżko. Chciałem poznać ją lepiej, bo ujęła mnie jej uczciwość. A teraz wiedziałem, że jeśli nie odnajdę jej przed Nowym Rokiem, nie odnajdę jej nigdy.

Rozdział 10

N azajutrz rano zadzwoniłem do Nate'a. Powitał mnie słowami:

- Kiedy wróciłeś, chłopie?
- Wczoraj wieczorem. Masz czas, żeby wyskoczyć na lunch?
- Tak jest. Na lunch zawsze mam czas.
- Dale jest w pobliżu?
- Owszem, ale dzisiaj pracuje z domu. Zadzwonię do niego. Coś się stało?
- Odnalazłem ją.
- Kogo?
- LBH.
- A, tę twoją blogerkę. Rozmawiałeś z nią?
- Opowiem wam podczas lunchu.

*

Dwie godziny później spotkaliśmy się w barze niedaleko naszego biura. Dale już na nas czekał. Kiedy tylko usiedliśmy, zapytał:

- Nie trzymaj nas dłużej w niepewności. Jaka ona jest?
- Nie wiem – odparłem.
- Przecież powiedziałaś, że ją odnalazłeś – zauważył Nate.
- Wiem, gdzie mieszka. W jednym z wpisów wspomniała o Dniach Szwajcarii.

Nate zmarszczył czoło.

- Mieszka w Szwajcarii?
- Nie. W Midway, niewielkim mieście w Utah. Co roku urządzają tam Dni Szwajcarii.

Nate odchylił się na oparcie krzesła. Wyraz troski na jego twarzy ustąpił miejsca rozczarowaniu.

- Niemożliwe, żeby to były jedyne Dni Szwajcarii na świecie. Pewnie są ich setki.

– Nie. W Stanach tylko trzy. Jeden w Indianie i dwa w Utah. I tylko w jednym przypadku miesiąc tych uroczystości i pogoda zgadzają się z tym, co napisała.

- Imponujące, Sherlocku – pochwalił mnie Dale.

Nate nadal nie wyglądał na przekonanego.

– No dobra. Wiesz, w jakim mieście mieszka. Ale to ciągle daleka droga do ustalenia, kim ona jest. Ile osób mieszka w Midway?

- Trochę ponad cztery tysiące.
- Nie tak źle – stwierdził Dale.
- Mnóstwo ludzi – powiedział Nate.

– Nie, jeśli podzielisz tę liczbę na mniejsze. – Wyjąłem kartkę, na której zapisałem kilka liczb. – Posłuchaj. Według ostatniego spisu ludności w Midway mieszkały dwa tysiące siedemdziesiąt cztery kobiety. W Utah przeciętna wieku jest najniższa w Stanach, trzydzieści sześć procent mieszkańców ma dziewiętnaście lat lub mniej, co daje nam tysiąc trzysta dwadzieścia osiem. Znalezienie wśród nich kobiety o inicjałach LBH nie powinno być trudne.

– Jeśli ci się nie powiedzie w handlu, zawsze możesz znaleźć pracę jako prywatny detektyw – zażartował Dale.

- Oby tylko nie była internetową oszustką – rzucił Nate.

Spojrzałem na niego.

- To znaczy?
- Oby nie udawała kogoś, kim nie jest.
- Dlaczego miałyby to robić?

Nate wzruszył ramionami.

- Jest mnóstwo powodów. Nuda. Chęć złapania ofiary. Zemsta. Niepoczytalność.

– Nate ma rację – przyznał Dale. – W internecie pełno jest takich historii. Pewna Brytyjka przekonała pół tuzina kobiet, że jest mężczyzną o imieniu Sebastian. Flirtowała z nimi wszystkimi jednocześnie. Jedna z tych kobiet zorientowała się, kim naprawdę jest „Sebastian”, kiedy przedstawiająca się tak kobieta zamieściła zdjęcie swoich ulubionych perfum, nie zdając sobie sprawy, że na flakonie widać odbicie jej twarzy. – Dale popatrzył mi w oczy. – Mówiąc inaczej, LBH może być znudzonym niedojrzałym dwudziestodwuletnim facetem.

– Nie kupuję tego – powiedziałem. – Gdyby rzeczywiście chciała kogoś nabrać, dlaczego posługiwałaby się tylko inicjałami?

– Masz rację – przyznał Nate. – To tak, jakby zamieścić ogłoszenie w gazecie bez podania swojego numeru telefonu.

- No właśnie – zgodziłem się. – Jaki w tym sens?

– Wiesz – zaczął Dale – myślę, że odnalezienie jej będzie najłatwiejszą częścią zadania.

– Co masz na myśli?

– Gdy już ją znajdziesz, to co powiesz? Przepraszam, czytałem pani bloga i wytropiłem panią w Utah? Babka będzie przerażona. Na maksa. Jeśli nie zaprzeczy, że to ona, to prawdopodobnie wezwie policję.

Nie sięgałem myślami aż tak daleko.

– Masz rację – przyznałem. – Pewnie skoczę z tego mostu, kiedy do niego dotrę[9].

– I co teraz? – zapytał Nate.

Patrzyłem na nich przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Lecę do Utah.

[9] Parafraza słów Lestera B. Pearsona, żołnierza, czternastego premiera Kanady oraz laureata Pokojowej Nagrody Nobla.

Rozdział 11

Wieczorem odbywała się doroczna impreza firmowa – w Bratten Cove, eleganckiej, serwującej owoce morza restauracji z widokiem na ocean w Daytona Beach. Wzięło w niej udział nieco ponad pięćdziesięciu pracowników, większość ze swoimi współmałżonkami albo partnerkami lub partnerami. Celowo się spóźniłem. Nie znosiłem zjawiać się na imprezach sam i nie chciałem przyjechać przed Dale’em i Nate’em. Mimo to byłem wcześniej niż oni.

Wziąłem kieliszek merlota, nałożyłem sobie na talerz gotowane krewetki i zimny sos, po czym usiadłem. Pół godziny później zjawił się Dale z żoną. Michelle, chodząca piękność, była najlepszym dowodem zdolności perswazyjnych Dale’a.

– Hej! Co słyhać u mojego ulubionego podpieracza ścian? – przywitał mnie Dale.

– Czy to nie Piękna i Bestia? – odciąłem się.

– Nie nazywaj mojej żony bestią – zaproponował Dale.

Michelle tylko przewróciła oczami.

– Jak mu się udaje ciebie zatrzymać? – zapytałem ją.

– Pewnie dlatego, że jest dobrym handlowcem – odparła, obejmując mnie. – Co u ciebie,

Alex?

– Trzymam się.

– Dale mówił, że poznałeś jakąś kobietę w internecie.

– Nic się nie da ukryć.

– Fajnie, że kogoś sobie znalazłeś. Jest z Utah?

– Tak.

– W czasach studenckich jeździłam do Utah na narty. Głównie do Deer Valley i Park City. Czasami do Alty. Tam jest naprawdę pięknie. Na widok gór człowiekowi odbiera mowę. Są niesamowite.

– Ona mieszka niedaleko Park City – powiedziałem.

Michelle rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– To cudownie. Będziesz zachwycony. Czy „ona” ma jakieś imię?

– Na pewno. Tylko że go nie znam.

Michelle popatrzyła rozbawiona na mnie, potem na Dale’a.

– Nigdy nie wiem, kiedy on żartuje – powiedziała do swojego męża.

Dale potrząsnął głową.

– Nie żartuje. To skomplikowane.

Zawahała się, jakby próbowała to zrozumieć, po czym powiedziała:

– No cóż, mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

– Dziękuję. Też na to liczę.

Dale zasalutował.

– Idziemy coś zjeść. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

– Powodzenia, chłopie. Będziemy w kontakcie.

– Jasne.

Wraz z innymi parami poszli w stronę bufetu.

*

Wieczór robił się coraz bardziej przygnębiający. Formalnie impreza była wspianała.

Jedzenie było wspaniałe. Wszyscy wyglądali wspaniale. Wszyscy zdawali się wspaniale bawić. Piłem i obierałem krewetki. Kiedy w końcu postanowiłem wyjść, podszedł Nate.

– Dale powiedział, że cię tu znajdzie.

Spojrzałem na niego.

– Czemu tak późno przyszliście?

Jęknął, siadając obok mnie.

– Już wychodziliśmy z domu, kiedy zadzwoniła siostra Ashley. Strasznie się pokłóciła z mężem i ryczała jak bóbr. Ashley gadała z nią przez godzinę. W końcu musiałem ją siłą wyciągnąć z domu i wepchnąć do samochodu.

– Gdzie jest teraz?

– Siedzi w samochodzie i nadal rozmawia z siostrą.

– Współczuję.

– Zaczekaj, pójdę po drinka. – Po minucie wrócił ze szklaneczką. – Cieszę się, że jesteśmy sami. Chciałem z tobą pogadać.

– O czym?

– Martwię się. Naprawdę leciszy do Utah, żeby odnaleźć tę kobietę?

– Tak.

Zmarszczył czoło.

– Czy to dobra pora?

– Idealna. Nie mam żadnych umówionych spotkań aż do stycznia.

– Miałem na myśli... twoje emocje. Wiesz, jak to jest. Atmosfera świąt może na ciebie tak podziałać, że...

– Że co? Zeświruję?

– No właśnie – potwierdził. – Możesz ześwirować, spędzając święta samotnie. Dużo myślałem o LBH. Co najbardziej spodobało ci się w jej blogu? Jej uczciwość, prawda? A jeśli to nie są jej prawdziwe inicjały?

Mnie też ta myśl przyszła do głowy, ale zawsze ją odrzucałem.

– No to byłbym zdruzgotany.

– No właśnie. Nie mógłbyś trochę poczekać?

Upiłem łyk.

– Nie, bo opublikowała ostatni wpis. Napisała, że wraca do domu, gdziekolwiek on jest, i że wyjeżdża w sylwestra. Jeśli nie odnajdę jej do tego dnia, to nie odnajdę jej już nigdy.

Nate nadal patrzył na mnie pośpienie.

– Czuję, że tego nie popierasz – powiedziałem.

– Nie, nie popieram. Nie znasz jej imienia ani nazwiska. Nic nie wiesz o tej kobiecie.

– Zgadza się. – Wziąłem oddech. – Trudno to wytłumaczyć, ale czuję, jakby wewnętrzny głos mówił mi, że muszę to zrobić. Może to desperacja. Może wariactwo, ale tak jest. Czuję wewnętrzny przymus.

– Masz rację – powiedział Nate. – To wariactwo.

– A jeśli nawet? Popatrz na mnie. Siedzę tu i pijam samotnie, podczas gdy inni świetnie się bawią. Całe życie zachowywałem się przewidywalnie i rozsądnie i dokąd mnie to zaprowadziło? Mam trzydzieści dwa lata, jestem rozwiedziony, samotny, mieszkam w mieszkaniu, którego nie znoszę, od dziesięciu lat wykonuję tę samą pracę i co wieczór samotnie oglądam Netflix przed pójściem do łóżka. Może czas, żebym spróbował czegoś wariackiego.

Nate tego nie skomentował.

– Nie czułeś nigdy w głębi duszy, że musisz coś zrobić, nawet jeśli nie wiedziałeś

dla czego? Nawet jeśli to się wydawało trochę wariackie?

Po chwili milczenia powiedział:

– Tak. Zdarzyło mi się.

– Więc mam to zlekceważyć? Mam udawać, że tego nie czuję?

Znowu nie odpowiedział.

– Zapomniałeś, jak to było, zanim poznałeś Ashley?

Pokręcił głową.

– Nie, nie zapomniałem. – Na jego ustach pojawił się smutny uśmiech, po czym wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. – Rób, co musisz zrobić, brachu. Powodzenia.

– Dzięki.

– Kiedy wylatujesz?

– Jutro około południa.

– Dokąd lecisz?

– Do Salt Lake City. Tam wynajmę samochód. Midway leży tylko godzinę jazdy od lotniska.

– Są tam jakieś przyzwoite hotele?

– Zatrzymam się w małej gospodzie Pod Błękitnym Dzikim. Jeśli choć w połowie jest taka fajna, jak się przedstawia w internecie, to będę zadowolony.

Nate się uśmiechnął.

– Oby tak samo było z LBH.

Rozdział 12

Samolot wylądował na lotnisku międzynarodowym w Salt Lake City około wpół do piątej. Choć przebywałem na nim zaledwie kilka dni wcześniej, teraz wydawało mi się inne. Po raz pierwszy było punktem docelowym mojej podróży.

Budynek lotniska był świątecznie ozdobiony. Płatki śniegu z błyszczącego papieru przypięto do ścian i drucików zwisających z wyłożonego płytkami ceramicznymi sufitu.

Kiedy wyszedłem z terminala, poczułem przenikliwy ziąb. Temperatura w Daytona Beach rzadko spada poniżej dwudziestu stopni, więc nie miałem zbyt wiele (właściwie żadnego) doświadczenia z kłującym w nozdrza chłodem. Wnętrze mojego nosa zamarzło i każdy mój oddech zamieniał się w biały obłoczek.

Przed wyjazdem ubrałem się w najcieplejsze okrycie, jakie miałem, podszytą kożuchem kurtkę lotniczą, ale przed tak wielkim chłodem stanowiła taką samą ochronę jak folia bąbelkowa na samochodzie wyścigowym. Taszczenie torby od terminala do wypożyczalni samochodów wystarczyło, żeby przekonać mnie, że pewnie będę musiał zainwestować w kurtkę puchową z kapturem. Jak ludzie mogli żyć w takich niskich temperaturach? I po co?

Poczułem się jak mięczak na widok dwóch nastolatków przed budynkiem lotniska, którzy mieli na sobie tylko spodenki i T-shirty. Muszę jednak dodać, że jeden z nich dygotał i obaj się kulili, więc im też było zimno. Może kurtki nie są cool, ale hipotermia owszem.

Mężczyzna w wypożyczalni samochodów zapytał, czy jadę do jednego z ośrodków narciarstwa.

– Nie. Do Midway.

– Na to samo wychodzi – stwierdził. – Zaraz obok jest Park City. Powinien pan mieć auto z napędem na cztery koła.

– Tak dużo śniegu?

Uśmiechnął się.

– Owszem.

Zmienił typ wynajmowanego przeze mnie auta na forda explorera i po dziesięciu minutach już mknąłem do Midway.

Słuchając wskazówek GPS-u, pojechałem na południe I-215, potem I-80 na wschód w kierunku gór aż do wjazdu do kanionu. Pracownik wypożyczalni nie żartował. Wznoszące się po obu stronach drogi skalne ściany pokrywała gruba warstwa śniegu. Widok był piękny, ale niepokojący i wywołujący klaustrofobię. Na drodze panował dość duży ruch, nie z powodu warunków pogodowych, ale dlatego że dochodziła szósta i trafiłem na końcówkę popołudniowej godziny szczytu.

Minąłem drogowskaz do ośrodków narciarskich Park City i Deer Valley, po czym zjechałem na US-40 i ruszyłem w kierunku Heber/Vernal. Ani słowa o Midway. Na szczęście pracownik wypożyczalni powiedział, że Heber i Midway są miastami bliźniaczymi i nawet wielu mieszkańców nie wiedziało, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie. Jakies piętnaście kilometrów za zjazdem drogowskaz skierował mnie na zachód do Midway. Zjechałem z autostrady.

Midway okazało się bardziej wiejskie, niż przypuszczałem. Po obu stronach dwupasmowej drogi widziałem ośnieżone drzewa, pastwiska i czerwone, rustykalne stodoły przykryte czapami śniegu. Krajobraz przywodził na myśl obrazy Babci Moses[10].

Przejechałem przez most nad niewielką rzeką i skierowałem się na zachód, mijając rondo

z miniaturową dzwonnica   po  rodku, po czym jecha   dalej na zach  d wzd  uz rz  du domk  w w szwajcarskim stylu, a   dotar  em do drogi bez przejazdu. Na poboczu sta   okr  gly drewniany drogowskaz ze strza  kami z niebieskiego metalu kieruj  cymi na po  udnie do kilku o  rodk  w narciarskich oraz z jedn   strza  k   kieruj  c   na p    noc do gospody Pod B  kitym Dzikim.

Skr  ci  em w prawo. Wija  ca si   pomi  dzy g  adkimi polami w  ska droga po jakich   stu metrach skr  ci  a na zach  d, prowadz  c w g  r   do du  ej chaty w stylu szwajcarskim. Na  cianie balkonu na pierwszym pi  trze, powy  zej flag ameryka  skiej, szwajcarskiej, francuskiej i niemieckiej, widnia   symbol gospody – malunek b  kitym dzika z szablami w otoczeniu ga    zek oliwnych. Namalowany gotykiem napis g  osi  :

GOSPODA POD B  KITYM DZIKIEM

Nieopodal rogu gospody znajdowa  a si   du  a rze  ba dzika z br  zu. Po obu stronach podjazdu le  a  y ponadmetrowe zwa  y zamrzn  tego  niegu.

Wybrukowany podjazd by   od  nie  ony. Podjecha  em pod drzwi frontowe. Na fasadzie z kamieni rzecznych wisia   ogromny zegar w formie alpejskiej chatki. Zabra  em walizk   z tylnego siedzenia i wszed  em po schodach.

W  rodku wisz  cego na  ukowych drzwiach stroika znajdowa  a si   ko  atka z ciemnego metalu w kszt  acie g  owy dzika.

Wszed  em do  rodk  a i znalaz  em si   w wy  o  onym parkietem, finezyjnie przyozdobionym holu. Unosi   si   w nim zapach cynamonu i jab  ek, a na pod  o  dzie sta  o kilkana  cie doniczek z gwiazdami betlejemskimi.

Jadalnia znajdowa  a si   dok  adnie na wprost mnie. Ozdobn   zas  on   z czerwonego aksamitu odci  gni  to na jedn   stron   niczym kurtyn   przed przedstawieniem. W g  b  i sta  a du  a, wymy  lnie ubrana choinka.

Gospoda by  a tak luksusowa, jak opisano j   na stronie internetowej. A nawet bardziej. Przypomnia  em sobie s  owa Nate'a. Mia  em nadziej  ,  e LBH te   zrobi na mnie dobre wra  enie.

Podziwia  em wizerunek dzika w ramie z poro  a jelenia, kiedy us  ysza  em:

– Ten s  tych pochodzi z XVIII wieku.

Obr  ciwszy si  , zobaczy  em drobn   Azjatk   stoj  c   za kontuarem i u  miechaj  c   do mnie.

– Pan Bartlett? – zapyta  a.

– Tak. Sk  d pani wie?

– Jest pan ostatnim go  ciem, na kt  rego czekamy. Witamy Pod B  kitym Dzikim.

– Dzi  kuj   – powiedzia  em, podchodz  c do recepcji. – Pi  knie tu.

– Dzi  kuj  ,  e docenia pan prac  , kt  r   w  o  yli  my w ten hotel. W  a  ciciele postarali si   nada   temu miejscu wyj  tkowy charakter. Obawiam si   jednak,  e niewiele os  b to zauwa  a. – Spojrza  a na ekran komputera. – Zarezerwowali  my dla pana pok  j Williama Szekspira.

–  wietnie.

– Rezerwacja jest na dziewi  c dni, wyje  dza pan w przysz  y wtorek, dwudziestego drugiego rano, zgadza si  ?

– Tak. Gdybym musia   troch   przed  u  y  c pobyt, by  aby taka mo  liwo  c?

– Przewiduje pan,  e zostanie d  u  ej?

– Niewykluczone. Trudno mi teraz powiedzie  , jak d  ugo si   tu zatrzymam. Nie wiem, jak si   sprawy u  o  a.

Ponownie spojrze  a na ekran komputera.

– Pana pok  j jest wolny do Bo  ego Narodzenia, ale gdyby  my zacz  li przyjmowa   rezerwacje, powiadomi   pana. – Po  o  y  a na kontuarze ksi  g   go  ci. – Prosz   tu podpisa  .

Podala mi długopis, a ja się podpisałem.

– Pana pokój znajduje się na pierwszym piętrze. Zaprowadzę pana. – Wzięła klucz z szafki na ścianie i wyszła zza kontuaru.

Z walizką w rękę podążyłem za nią spiralnymi schodami. Dolna połowa ścian klatki schodowej i balustrada zostały wykonane z ciemnego polerowanego drewna, natomiast górna część ścian była pomalowana na czerwono-brunatny. Oświetlenie zapewniały kinkiety w kształcie świec przymocowanych do poroża jeleni.

Ze szczytu schodów skręcało się w prawo w korytarz, a w lewo na niewielki balkon wychodzący na jadalnię poniżej. Mój pokój znajdował się naprzeciwko biblioteki.

Do staroświeckich drzwi była przytwierdzona deska z wyrzeźbioną w drewnie postacią zajmującą powieszono za tylne łapy. Nad drzwiami biegło starannie namalowane nazwisko:

William Szekspir

– To jeden z moich ulubionych pokoi – powiedziała recepcjonistka, widząc, że czytam napis. Przekręciła ciężki klucz i popchnęła drzwi. – Pan pierwszy.

Pokój był duży, z piecem kaflowym. Południową ścianę prawie w całości stanowiło okno szczeblinowe. Pośrodku stało ogromne łóżko z baldachimem. Na podłodze leżał dywan z czarnej wełny.

– Lubi pan czytać, panie Bartlett?

– Tak.

– Po drugiej stronie holu mamy bibliotekę. A tutaj, zgodnie z nazwą pokoju, trzymamy kolekcję dzieł Szekspira. Wszystkie pokoje noszą nazwiska pisarzy: Szekspira, Austen, Dickensa, Thoreau, Brontë, Chaucera. Samych klasyków. – Uśmiechnęła się. – Jeśli wszystko jest w porządku, zostawię już pana samego. Śniadanie podajemy pomiędzy szóstą a dziesiątą. Jesteśmy znani z naszych śniadań, które dla gości hotelowych są darmowe. W jadalni zawsze można coś przekąsić między posiłkami. W tej chwili mamy chlebek cytrynowo-jagodowy, którym może się pan poczęstować.

– Poleciałaby mi pani jakiś lokal w pobliżu, gdzie mógłbym zjeść kolację?

– Naszą restaurację oczywiście. Jesteśmy z niej bardzo dumni. – Znowu się uśmiechnęła.

– Nie musi pan robić rezerwacji, wystarczy zejść na dół. Dzisiaj jest otwarta do dziesiątej.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że miło spędzi pan u nas czas, panie Bartlett. Mam na imię Lita. Jeśli mogłabym, albo ktoś z mojego personelu, uprzyjemnić panu pobyt, proszę powiedzieć. – Podala mi klucz do pokoju. Był przytwierdzony do okrągłej płytki z szarego metalu z wyrytym herbem hotelu. – Drzwi same się nie zatrzymują, więc musi pan używać klucza. Wychodząc z hotelu, niech pan zostawi klucz w recepcji. Nie będzie pan musiał nosić go ze sobą, a my będziemy wiedzieć, że w pokoju można posprzątać.

– Dziękuję.

– Dziękuję, że się pan u nas zatrzymał. – Zatrzymała się przy drzwiach. – Jeśli można zapytać, co pana sprowadza do Midway?

– Chcę kogoś odnaleźć.

Popatrzyła na mnie z zaciekawioną.

– To nie powinno być trudne. Midway to nieduże miasteczko. Dobranoc.

Kiedy odeszła, przekręciłem klucz w drzwiach i rozejrzałem się po pokoju. Łóżko było wysokie – posłanie znajdowało się co najmniej metr nad podłogą i spoczywało na ramie z ciemnego dębu. Obok stała szafa z okładzinami z drewna wiśni i brzozy z misternie wyrytymi staroangielskimi motywami.

Wysunąłem dolną szufladę i przełożyłem do niej zawartość walizki, oprócz koszul, które powiesiłem w górnej części szafy.

Zdjąłem buty, wdrapałem się na posłanie i położyłem na pikowanej narzucie. W głowie zabrzmiały mi słowa recepcjonistki: „To nie powinno być trudne”.

Miałem taką nadzieję.

[10] Przydomek Anny Mary Robertson Moses (1860–1961), amerykańskiej przedstawicielki sztuki naiwnej.

Rozdział 13

">Godzinę później mój głód okazał się silniejszy od zmęczenia, więc umyłem ręce i twarz, po czym zszedłem na dół.

W jadalni nie zastałem tłumu. Zajęte były tylko trzy dwuosobowe stoliki, ale panował taki gwar, jakby gości było więcej, ponieważ wszyscy rozmawiali i się śmiali. Z głośników płynęły ciche dźwięki *Kanonu D-dur* Pachelbela.

Powitała mnie Lita:

– Witam, panie Bartlett. Zechciałby pan coś zjeść?

– Chętnie, dziękuję.

– Proszę za mną. – Zaprowadziła mnie do dwuosobowego stolika blisko wejścia do jadalni, z dala od innych gości. – Czy to miejsce by panu odpowiadało?

– Jak najbardziej.

Uśmiechnęła się do mnie i podała mi kartkę białego papieru oraz spis potraw oprawiony w grubą skórę.

– Zaraz ktoś podejdzie i przyjmie pana zamówienie.

Po jej odejściu spojrzałem na ulotkę. Znajdowały się na niej informacje o zabytkowych przedmiotach w jadalni.

Pomieszczenie składało się z dwóch sal. Ich ściany miały odcień pomiędzy soczystą zielenią paproci a szarością oliwki. Mniejsza sala, wydzielona z większej, była nieco ciemniejsza. Obie były ozdobione licznymi obrazami i antykami.

Na północnej ścianie wisiał wyrzeźbiony w drewnie herb Habsburgów. Po jego obu stronach znajdowały się kusze. Jak przeczytałem w ulotce, w przeszłości obu używano w walce.

Salę były oświetlone przez trzy żyrandole wykonane z poroża różnej wielkości i różnych typów. Znalazłem się w świetle bardzo różnym od przesiąkniętej hiszpańskością Florydy.

Młoda, zdrowo wyglądająca kobieta o krótkich blond włosach przyniosła mi zakryty serwetką koszyk.

– Chleb wypiekamy na miejscu – powiedziała, odsuwając serwetkę, pod którą leżały dwa rodzaje chleba. Na pewno była miejscową dziewczyną i zależało jej, żeby zrobić wrażenie wyrobionej. – Z pszennej mąki i na zakwasie. Czy podać coś do picia?

– Macie kartę win?

– Tak, proszę pana. Zaraz przyniosę.

Kiedy przyniosła kartę, przejrzałem ją, a potem jeszcze raz przestudiowałem spis potraw. Zamówiłem eskalopkę drobiową i kieliszek chardonnay. Potem znowu zacząłem się przyglądać sali, starając się nie wyglądać na tak samotnego, jakim się czułem. Przypomniałem sobie słowa LBH, że wstydzimy się swojej samotności.

Po kwadransie kelnerka przyniosła mi krem z dyni piżmowej. Po nim na moim stole pojawiła się eskalopka drobiowa z pieczonymi szpeclami i szparagami. Na deser zjadłem kawałek sernika. Wszystko było pyszne.

Kiedy kelnerka przyniosła mi rachunek, zapytała:

– Jest pan gościem hotelowym?

– Tak.

– Do którego pokoju mam przypisać rachunek?

– Do Szekspira.

Ucieszyła się, słysząc moją odpowiedź.

– Uwielbiam ten pokój. Ale oczywiście wszystkie są ładne. Przy okazji niech pan poprosi kogoś, żeby pana oprowadził. Zwłaszcza nasz pub na tyłach hotelu jest niesamowity.

– Nie wiedziałem, że tu jest pub.

– Nazywa się Truflowa Jama. Mały, ale z klasą.

Podpisałem rachunek i postanowiłem zrobić sobie wycieczkę po hotelu. Skierowałem się do pubu. W korytarzu wisiały dwie ogromne gabloty z setkami kolekcjonerskich odznak z Igrzysk Olimpijskich w 2002 roku. Przystanąłem, żeby na nie popatrzeć, ale było ich zbyt dużo i szkoda mi było czasu.

W drodze powrotnej do holu, przechodząc przez salę obok kuchni, zwróciłem uwagę na dwa obrazy. W obu tłem była kuchnia albo restauracja, czyli zawieszono je w odpowiednim miejscu. Jeden z nich szczególnie przykuł mój wzrok. Przedstawiał kelnerkę w fartuchu stojącą przed stołem. Był zatytułowany *Estera*. W spojrzeniu tej kobiety było coś szczególnego. Uczciwość. Siła, ale i bezbronność.

Na wiszącej obok żółtej tabliczce napisano, że malarz nazywał się Pino. Nazwisko było mi zupełnie nieznane i postanowiłem czegoś się o nim dowiedzieć.

Zrobiło się późno, zwłaszcza że jeszcze się nie przestawiłem ze wschodniego czasu, wróciłem więc do pokoju i przygotowałem się do snu. Byłem ciekaw, co przyniesie następny dzień.

Rozdział 14

Kiedy się obudziłem, poranne słońce rozświetlało rolety w oknach. Obróciłem się na wznak, a miękki materac dopasował się do kształtu mojego ciała. Może powodem była wysokość nad poziomem morza, a może świeże powietrze, w każdym razie od dawna nie spałem tak dobrze.

Zszedłem z łóżka i podniosłem jedną z rolet. Świeciło jaskrawe słońce, niebo było błękitne, temperatura poniżej zera i na wewnętrznej powierzchni szyby zebrały się kropelki wody. Ale pięknie, pomyślałem. Ucieszyłem się, że LBH mieszka w takiej pięknej okolicy. Wydało mi się to właściwe.

Wziąłem prysznic i ubrałem się, po czym zszedłem do jadalni. Było słycać muzykę, choć współczesną, nie świąteczną, którą puszczano poprzedniego wieczoru.

Przy stołach siedziały chyba cztery grupki gości. Wybrałem stolik dwuosobowy. Zaraz podszedł do mnie kelner z kartą dań. Na drewnianej okładce wyryto głowę dzika, logo gospody i restauracji.

Zamówiłem naleśnik na maślanec z owocami i przed upływem dziesięciu minut kelner powrócił z moim daniem. Kiedy zacząłem jeść, do sali weszły cztery starsze panie i jeden mężczyzna. Był siwowłosy, miał duży nos i duże zęby. Spojrzał na mnie, po czym przeprosił kobiety i podszedł do mojego stolika.

– Czy pan jest sam? – zapytał.

– Tak.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nazywam się Herr Niederhauser. Ale możesz mówić mi Ray. Jestem menadżerem tego hotelu – oznajmił z tylko nieznacznie skrywaną dumą.

– Miło cię poznać. Jesteś Niemcem?

– Tylko sercem. Ale mówię po niemiecku. W młodości mieszkałem kilka lat w Niemczech. Mógłbym się przysiąc?

– Oczywiście. Proszę.

Odsunął krzesło naprzeciwko mnie i usiadł. Uniesionym palcem dał znak kelnerowi, który natychmiast do nas podszedł.

– Tak, Ray?

– Gary, mogę prosić o kawę i jajka na szynce? I będę potrzebował sztućców.

– Oczywiście.

Kelner szybkim krokiem skierował się do kuchni.

– Smakuje? – zapytał Ray.

– Dopiero zacząłem jeść. Ale jak dotąd smaczne.

– Jeśli będziesz tu na niedzielnym brunchu, musisz spróbować jajek po szkocku. Drugich takich nie ma nigdzie na świecie. Jesteś gościem hotelowym?

– Tak.

– W którym pokoju?

– Szekspira.

– Ach. Śliczny. Jeden z moich ulubionych. Jak ci się u nas mieszka?

– Wspaniale – odparłem.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Chodzi nam o właśnie to, żeby było wspaniale. Przywiązujemy niezwykłą wagę do szczegółów.

– Więc jesteś tu menadżerem – powiedziałem.

– Zgadza się.

– Od jak dawna?

– Prawie osiemnaście lat, odkąd Warnockowie kupili tę posiadłość. Pani Warnock jest kuzynką mojej żony. Jedliśmy z Warnockami kolację, kiedy Warnock powiedział nam o posiadłości, której reklamę widział w miejscowym biurze handlu nieruchomościami. Skończyliśmy jeść i pojechaliśmy do Midway jeszcze tego samego wieczoru. Jeśli pamięć mnie nie myli, Warnockowie kupili tę gospodę następnego dnia. Oczywiście w tamtych czasach budynek wyglądał zupełnie inaczej. Nazywał się gospoda Pod Czarną Jagodą. Warnock nie zamierzał chwalić się przed swoimi towarzyszami polowań, że jest właścicielem Czarnej Jagody, więc zmienił nazwę na gospoda Pod Błękitnym Dzikim, taką samą, jaką nosi stary pub w angielskim Oxfordzie – który jest wzmiankowany w legendach i balladach o Robin Hoodzie. W twoim pokoju wisi zdjęcie drzeworytu pokazującego Robina Hooda i Druciarza siedzących przed gospodą Pod Błękitnym Dzikim.

– Widziałem je.

– Wizerunek dzika, który stał się naszym logo – ciągnął, wskazując dzika na breloczku z kluczem do mojego pokoju – pochodzi z trzystuletniego drzeworytu, który Warnock znalazł podczas swoich podróży.

– Więc gospoda jest angielska, nie szwajcarska?

– Jest europejska. Powiedziałbym, że jej wystrój jest bardziej alpejski niż szwajcarski. Warnockowie przebudowali gospodę i od tamtego czasu stale mamy ruch. Oczywiście prawdziwy rozkwit zaczął się, gdy Utah było gospodarzem Zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2002 roku. To był wyjątkowy czas. – Na jego twarzy znowu pojawił się szeroki uśmiech. – Wśród naszych gości byli członkowie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego z Rosji i Norwegii. Rosjanie nie mówili po angielsku, ale znali niemiecki, jak my, więc dobrze się dogadywaliśmy.

– Jak znaleźli gospodę? – zapytałem.

– Ja ich znalazłem. Pojechałem do Soldier Hollow, gdzie budowali część obiektów sportowych, i zaprosiłem ich na śniadanie. Przy dobrym jedzeniu łatwo się nawiązuje przyjaźnie. – Roześmiał się niespodziewanie. – No tak, ale kiedy przyjechali na igrzyska, zrobiło się naprawdę ciekawie. Rosjanie przywieźli całą ciężarówkę swoich bagaży, ponad dwadzieścia walizek. Złożyli je przed drzwiami wejściowymi i powiedzieli: „Jak wrócimy, to się zastanowimy, co z nimi zrobić”. Pół godziny później zjawiała się ciężarówka Gwardii Narodowej stanu Utah. Kierowca powiedział, że ma dostawę dla rosyjskiej delegacji MKOl-u. Kiedy żołnierze podnieśli plandekę, zobaczyliśmy dwadzieścia dwa kartony wódki. „Gdzie mamy je złożyć?”, zapytał kierowca. – Ray roześmiał się jowialnie i uderzył otwartą dłońią w stół. – To były czasy, to były czasy. Jeśli znajdziesz chwilę, musisz obejrzeć moją kolekcję odznak olimpijskich. Wisi w korytarzu prowadzącym do Trufłowej Jamy. Mam tysiąc sto osiemdziesiąt odznak.

– Widziałem je wczoraj wieczorem. Robią wrażenie.

– No ja myślę. Za te pieniądze kupiłbym kilka sklepów.

– Co robiłeś przed objęciem kierownictwa Błękitnego Dzika?

– Byłem domokrążcą – odparł. – Sprzedawałem stroje narciarskie najwyższej jakości.

A ty?

– Też jestem domokrążcą. Sprzedaję technologię.

– Ach, ja nigdy nie byłem zbyt bystry.

– Nie wierzę.

– Do zarządzania gospodą potrzeba bardziej serca niż rozumu. To zasada wzajemności. Ugość innych tak, jak sam chciałbyś być ugoszczony.

– Dla mnie brzmi to inteligentnie.

Podszedł kelner z jajkami na szynce dla Raya. Mój rozmówca odciął kawałek mięsa, połknął, po czym zapytał:

– Skąd jesteś?

– Z Daytona Beach na Florydzie.

– Światowej stolicy wyścigów.

– Byłeś tam kiedyś? Jesteś wielbicielem wyścigów?

– Ani jedno, ani drugie. Miałem tu kiedyś gościa z Daytona Beach. Poczytałem o tym mieście w internecie. Jest piękne.

Kiedy skończyłem jeść, Ray zaproponował:

– Jeśli masz chwilę, mogę cię oprowadzić po gospodzie.

– Chętnie.

Wstaliśmy. Ray poprowadził mnie do zachodniej ściany wewnętrznej salki.

– Te obrazy kiedyś wisiały w bardzo sławnej paryskiej restauracji. Zostały namalowane w 1852 roku przez Jeana-Maxime'a Claude'a. Podczas wojny nie zostały zrabowane tylko dlatego, że schowano je w ścianach. – Podszedł bliżej. – Przyjrzyj się kapuście na tym obrazie. Pierwotnie jadalnia była pomalowana na brązowo, ale pani Warnock nie spodobały się brązowe ściany, więc pomalowała jadalnię na kolor tej kapusty. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak mówiłem, u nas warto zwracać uwagę na szczegóły.

Poprowadził mnie dalej korytarzem, obok swojej kolekcji odznak olimpijskich, do Truflowej Jamy.

– Trufle to przysmak dzika, więc to oczywiste, że tak nazwaliśmy nasz pub – wyjaśnił Ray, wchodząc do środka. – Drewniany łeb dzika na zewnętrznej stronie drzwi to replika jednej z pamiątek przywiezionych przez Warnocków z Anglii. Siadaj.

Spośród około dwunastu identycznych stolików zdecydowałem się na stojący pośrodku pubu. Ray wybrał kilka orzeszków pistacjowych z miseczki i zaczął je rozłupywać.

– Opowiem ci kilka ciekawostek o Truflowej Jamie. Kontuar baru pierwotnie był szesnastowiecznym kufrem podróżnym. Nadal są na nim skoble.

Skrzynia miała ponad metr wysokości i około dwóch i pół metra długości.

– Kto go przeniósł? – zapytałem.

– Niewątpliwie służba. Piękny, prawda? A podłoga została zrobiona z drewna sosnowego przywieziona z Karoliny Północnej, z hangaru lotniczego z czasów pierwszej wojny światowej. Te wszystkie stoliki pochodzą z baru w Austrii. Stanowią komplet od ponad stu pięćdziesięciu lat. Ale ten stolik jest szczególnie cenny. Spójrz tylko. – Poklepał dłonią zewnętrzną krawędź blatu. Znajdowała się na niej mosiężna tabliczka z napisem „MIEJSCE RAYA”.

– Fiu, fiu!

– Będę żyć w infamii. – Ray wskazał lampę nad barem. Jedną połowę stanowiła wyrzeźbiona w drewnie górna część ciała kobiety, drugą – poroża jelenia. – Lampa pochodzi z XVI wieku. Ten styl nazywa się Lusterweibchen. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Znaczy „lubieżna dziewczka”. Podobna lampa wisi w bibliotece na górze.

– Widziałem ją.

– Czyli już byłeś w bibliotece. Piękna, prawda?

– Każde pomieszczenie, które widziałem w tej gospodzie, jest piękne – odparłem.

Wstał.

- No cóż, wracam do pracy.
- Dziękuję za poświęcony mi czas.
- Nie ma za co.

Wracając, mineliśmy salę z dwoma obrazami, które podziwiałem poprzedniego wieczoru.

- Bardzo mi się podobają te obrazy – powiedziałem.

Ray przystanął przy jednym z nich.

- Oba zostały namalowane przez Pino. Znasz go?

– O jego istnieniu dowiedziałem się dopiero wczoraj. Ale zamierzałem poszukać o nim informacji.

– Pino Daeni miał interesujące życie. Urodził się we Włoszech. Po przyjeździe do Stanów pracował jako ilustrator książek. Był jednym z najwyższypłacanych ilustratorów na świecie. Jego prace są okładkami wielu powieści Danielle Steel. Pod koniec kariery był tak zmęczony narzucanymi przez wydawców terminami, że powrócił do malowania. Te dwa obrazy pochodzą z jego kolekcji kuchennej.

- To reprodukcje? – zapytałem.

Wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Tylko między nami. To oryginały. Zachowujemy to w tajemnicy ze względu na ich wartość. – Obrócił się ponownie do ściany. – Z tymi dwoma obrazami wiąże się bardzo ciekawa historia. Wiele lat temu znajoma właściciela kupiła na wyprzedaży garażowej pudło z tapetami. Postawiła je w piwnicy i dopiero po prawie dziesięciu latach zainteresowała się nimi jej córka. Rozwinęła jedną z rolek i w środku znalazła te dwa płótna.

– Słyszysz się o takich rzeczach – stwierdziłem. – Mnie się nigdy nic takiego nie przydarzyło.

– Nie poddawaj się. Na świecie jest mnóstwo nieodkrytych skarbów. Większość z nich to ludzie.

Pokiwałem głową.

- Zgadzasz się. W pewnym sensie jest to powód, dla którego tu przyjechałem.

– To znaczy?

– Szukam kogoś.

– Kogo?

– Kobiety.

– Jak my wszyscy – powiedział. – To nie najgorszy pomysł, żeby szukać jej w Midway. Nie ma tu zbyt wielu wolnych kobiet, ale te, które znam, są solą tej ziemi.

– Szukam konkretnej kobiety.

Spojrzał na mnie zaintrygowany.

– Tak? Może mógłbym pomóc. Jak ona się nazywa?

– Właśnie w tym problem. Nie znam jej nazwiska.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– To zdecydowanie utrudni sprawę.

– Znam tylko jej inicjały. LBH.

Potarł brodę.

– Bardzo ciekawe. A jak poznałeś jej inicjały?

– Powiedziałbym, że poznaliśmy się w internecie, prawda jest jednak taka, że nigdy się nie poznaliśmy. Ona ma bloga i zakochałem się w niej. – Przez głowę przemknęła mi myśl, że Ray uzna mnie za wariata, ale patrzył na mnie z podziwem.

– Przyjacielu, początkowo myślałem, że jesteś interesującym facetem, ale cię nie doceniłem. Jesteś prawdziwym romantykiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci

znaleźć tę kobietę. Od czego chcesz zacząć?

– Napisała, że mieszka blisko miejsca, gdzie odbywają się Dni Szwajcarii.

– Odbywają się w domu kultury, dużym budynku w stylu alpejskim na Main Street. Z tyłu jest park.

– Liczę, że będę miał dostęp do spisu mieszkańców. Czy w Midway jest ratusz?

– Jest. Urząd miejski mieści się blisko domu kultury. Zapiszę ci adres na kartce. I dom kultury, i ratusz są niedaleko stąd. – Uśmiechnął się. – To małe miasto. W Midway wszędzie jest blisko. – Przyniósł kolorową mapę turystyczną i ołówkiem zaznaczył na niej trasę z gospody do ratusza. Podając mi ją, powiedział: – Powiedz, że przysłała cię Herr Niederhauser.

– Dziękuję.

– To dla mnie przyjemność. Obyś znalazł tę kobietę.

Rozdział 15

Rozmawiałem z Rayem ponad godzinę. Dochodziło południe, kiedy wyszedłem z gospody. Powitało mnie rześkie, zimne powietrze. Mój oddech zamieniał się w kłęby białych obłoczków.

Ponownie zachwyciły mnie piękno i spokój ośnieżonej okolicy, w której się zatrzymałem. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko gospody, znajdowało się pole golfowe pokryte ogromnym iskrzącym się w słońcu śnieżnym kocyciem.

Wsiadłem do samochodu. Sztywne od zimna siedzenie ze skaju ledwo ugięło się pod moim ciężarem. Włączyłem ogrzewanie i popatrzyłem na mapę. Trasa do ratusza wyglądała na całkiem łatwą.

Okazało się jednak, że zajechałem pod dom kultury. Pomyliłem się, ponieważ wyglądał jak ratusz. Był wielki i miał tradycyjne szwajcarsko-alpejskie ozdoby: piernikowy okap i ogromny zegar. Drzwi były zamknięte i w środku nie świeciły się światła. Musiała już być dwunasta, bo kiedy szedłem do samochodu, zaczął bić zegar. Potem rozległa się szwajcarska muzyka i śpiew z jodłowaniem. Popatrzyłem w górę na taniec wirujących drewnianych figurek w szwajcarskich bryczesach ze skóry. Obejrzałem przedstawienie do końca, potem wróciłem do auta, ponownie przestudiowałem mapę i ruszyłem do urzędu miasta.

*

Budynek urzędu miasta, z dwuspadowym dachem i wielką wieżą zegarową pośrodku, trochę przypominał kościół. Chodnikiem przed ratuszem szedł mężczyzna z czymś, co wyglądało jak rozrzutnik nawozu albo nasion. Kręcił rączką i coś wylatywało.

Zaparkowałem i wysiadłem z auta.

– Przedwiosenne nawożenie trawnika?

Spojrzał na mnie jak na idiotę.

– To jest sól kamienna. Żeby pan się nie poślizgnął i nie pozwał miasta o odszkodowanie.

– Czyta pan w moich myślach.

Mężczyzna szedł dalej bez słowa.

Przed budynkiem chodnik się rozwidlał. Na tablicy pośrodku rozwidlenia były dwie strzałki: „Archiwum miejskie” w lewo i „Burmistrz” w prawo.

Poszedłem do archiwum. Na drzwiach zastałem kartkę z napisem „Wracam o...” i rysunkiem małej tarczy zegara ze wskazówkami pokazującymi czwartą.

Wróciłem do rozwidlenia i skierowałem się do drugiej części budynku. Na wycieracze otrzepałem buty ze śniegu. Kiedy otworzyłem drzwi, owionął mnie podmuch gorącego powietrza. Siedząca przy biurku pośrodku pokoju czterdziestokilkuletnia kobieta o jaskraworudych włosach podniosła na mnie wzrok znad książki Mary Higgins Clark.

– Dzień dobry – powiedziała nieco poirytowana, że przerwałem jej lekturę. – Mogę w czymś pomóc?

– Tak. Chciałbym kogoś znaleźć.

Odłożyła książkę.

– Kogo?

Nagle poczułem się niezręcznie.

– Chodzi o kobietę, która mieszka w Midway. Jest blogerką.

Urzędniczka przyglądała mi się badawczo.

- Ma jakieś nazwisko?
- Jej inicjały to LBH.
- Nie zna pan jej nazwiska?
- Nie. Miałem nadzieję, że macie tu spis mieszkańców.
- Nie mamy – oznajmiła stanowczo.
- Czy jest tu ktoś, kto mógłby mi pomóc? Jest może pani szef?

Zmrużyła oczy.

- To ja jestem burmistrzem.
- Przepraszam.

Mając dziesięcioletnie doświadczenie we współpracy z urzędnikami miejskimi, poczułem, że właśnie pogrzebałem swoje szanse na jakąkolwiek oficjalną pomoc. Jednak ku mojemu zaskoczeniu pani burmistrz dodała:

– Może powinien pan porozmawiać z naszym miejskim księgowym i archiwistą.

– Dziękuję. Jak ich znajdę?

– Nie ich, tylko jego. Chwileczkę. – Poszperała na biurku, po czym podeszła do mnie z wizytówką. – Brada nie ma teraz w pracy. Powinien pan zastać go w domu.

Wziąłem od niej kartonik.

– Mogę jechać do jego domu?

– Tak – odparła takim tonem, jakby rozmawiała z trzylatkiem. – Dlatego dałam panu jego adres domowy.

– No tak. Dziękuję.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi. Jest zimno.

*

Jestem pewien, że opuszczenie biura pani burmistrz sprawiło mi taką samą radość, jaką jej widok moich pleców. Wsiadłem do samochodu i wprowadziłem adres do GPS-u. Niestety, system go nie znalazł. Po kolejnych kilku nieudanych próbach poszedłem do biura pani burmistrz.

– Szybko pan wrócił – rzuciła złośliwie.

– Przepraszam. Mogłaby pani pomóc mi z tym adresem? GPS w moim telefonie nie może go znaleźć.

– Niech pan podejdzie.

Stałem przy jej biurku. Wyjęła kartkę i zaczęła rysować na niej linię.

– To Main Street. My jesteśmy tutaj. Idzie pan jakieś czterysta metrów do Holstein Way i skręca pan w lewo. Dom Brada jest trzeci albo czwarty po lewej. Piętrowy budynek w stylu alpejskim, ale u nas wszystko jest w tym stylu, więc nich pan wypatruje kampera winnebago wielkości Gwiazdy Śmierci[11]. – Podała mi kartkę. – Na pewno pan trafi. Chyba że nie wie pan, co to winnebago.

– Dziękuję.

– A przy okazji, jak pan się nazywa?

– Alex Bartlett.

– Jak grusza?

– Tak.

– Skąd pan jest, panie Bartlett?

– Z Daytona Beach na Florydzie.

Uniosła telefon i pstryknęła.

– Po co pani moje zdjęcie?

– Przejechał pan bardzo daleką drogę, żeby znaleźć kogoś, kogo pan nie zna. Mam nadzieję, że nie planuje pan zabójstwa. Jeśli tak, to mam pana zdjęcie. Przynajmniej to powinno zmusić pana do opamiętania się.

Przez chwilę wpatrywałem się w nią bez słowa.

– Nie planowałem nikogo zabić. Miłego dnia.

*

Znalezienie domu księgowego-archiwisty nie było trudne. Budynek został zbudowany, jak poinformowała mnie pani burmistrz, w stylu alpejskim. Miał typowe drewniane okiennice z wyrzeźbionymi tulipanami. Na frontowej ścianie wisiały dwie flagi: Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii. A obok stał winnabago. Zrozumiałem, dlaczego pani burmistrz użyła kampera jako punktu orientacyjnego – pojazd był ogromny.

Zaparkowałem na podjeździe, ponieważ zaspą przed domem była prawie tak wysoka jak moje auto i sporo wystawała na ulicę.

Nacisnąłem dzwonek. Dopiero po kilku minutach drzwi otworzyła kobieta dobrze po czterdziestce. Miała na sobie dres, getry i opaskę na włosach jak fanka aerobiku w latach osiemdziesiątych XX wieku. Albo naśladowczyni Richarda Simmonsa. Była zarumieniona i lekko zdyszana, więc domyśliłem się, że przerwałem jej ćwiczenia według Jane Fondy.

– Słucham?

– Szukam Brada Wilcoxa.

– Bierze prysznic.

I nic więcej. Nie wiedziałem, jak się zachować. W końcu powiedziałem:

– To przyjdę później.

– A jaki jest charakter pana wizyty? Urzędowy?

– Można tak powiedzieć.

– Niech pan wejdzie. Brad nie należy do tych, co zostawiają wyborcę na mrozie.

– Dziękuję.

Kiedy wszedłem, kobieta szybko zamknęła za mną drzwi.

– Niech pan wytrze buty albo je zdejmie.

– Zdejmę – powiedziałem, zsuwając mokasyny z nóg.

– Może pan usiąść na tej kanapie. Napije się pan gorącego cydru?

– Nie, dziękuję.

– W porządku. Brad powinien się zjawić najpóźniej za godzinę.

Godzinę?!

Wyszła i chwilę później rozległa się muzyka, przeboje zespołów z lat osiemdziesiątych XX wieku: Wham!, Dire Straits, Supertramp, Duran Duran, Tears for Fears, a-ha.

Po półgodzinie muzyka ucichła. Nikt jednak nie przyszedł.

Jakieś dziesięć minut po tym, jak umilkła muzyka, pojawił się łyсы mężczyzna w szlafroku. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął szklaną butelkę z mlekiem (kiedy ostatnio widziałem mleko w szklanej butelce?), napił się i obrócił. Na mój widok drgnął zaskoczony.

– Kim pan jest?

Wstałem.

– Nazywam się Alex Bartlett.

– Bartlett. Jak grusza?

– Tak.

– Jest pan spokrewniony z Bartlettami w Lehi?

– Gdzie?
– Lehi. W rejonie góry Traverse.
– Nie. Nie jestem stąd. Pan Brad Wilcox?
– Powinien pan to wiedzieć. Jest pan w moim domu.
– Pańska żona powiedziała, że mogę tu poczekać.
– Moja siostra – sprostował. – Nie jestem żonaty. – Wstawił butelkę mleka z powrotem do lodówki, po czym podszedł do mnie i zapytał: – W czym mogę panu pomóc?

– Szukam kogoś.
– Jest pan prywatnym detektywem czy łowcą nagród?
– Ani jednym, ani drugim. To sprawa osobista.
– Kogo pan szuka?
– Nie znam jej nazwiska. Tylko inicjały.
W tym momencie weszła jego siostra i skierowała się do kuchni. Miała wielkie plamy potu pod pachami.
– Zapomniałaś kupić więcej mleka – powiedział do niej Brad.
– Wyluzuj, człowieku. Jeszcze nie byłam w sklepie. Musiałam ćwiczyć. I zjawił się ten pan.

Brad zwrócił się do mnie.
– Szuka pan kobiety, ale nie zna jej nazwiska?
– Zgadza się.
– Jaki jest powód tego pościgu?
– Czytałem jej bloga.
– Co takiego?
– Blog – wtrąciła się jego siostra. – Coś, co ludzie piszą w internecie.
– W internecie nie ma jej nazwiska?
– Podpisywała się tylko inicjałami.
– Jakimi?
– LBH.

Potarł brodę.
– Lima Bravo Hotel. Nic mi to nie mówi. Czy ta kobieta napisała coś obraźliwego?
– Nie, wręcz przeciwnie.
– Jest pan fanem jej internetowego bloga?
– Można tak powiedzieć.
– W takim razie jest pan stalkerem.
– Nic podobnego.
– Nie śledzi jej pan?
– Nie... Chcę ją tylko poznać.
Oboje mi się przyglądali.
– Jakikolwiek udział w tej sprawie byłby z mojej strony nierozsądny. Nie udostępniamy ludności żadnych rejestrów.
– Nie prowadzicie rejestrów?
– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie udostępniamy ich ludności. Mam faktury za korzystanie z mediów, ale nie jestem upoważniony do udostępniania ich zwykłemu obywatelowi, czyli panu. Więc jeśli to wszystko, w czym mogę pomóc, to odprowadzę pana do drzwi.
– To wszystko – powiedziałem. – Dziękuję.
Skierowałem się do drzwi, wsunąłem mokasyny i wyszedłem.

Ciekawi ludzie mieszkają w tym Midway, pomyślałem.

*

W sklepie na Main Street kupiłem wodę butelkowaną oraz gotową sałatkę z indykiem. Zjadłem ją w samochodzie i wróciłem do gospody. Położyłem się na łóżku z twardym postanowieniem, żeby obmyślić kolejny krok, ale zasnąłem. Obudziłem się około ósmej i szedłem na kolację. Zajęte były tylko dwa stoliki.

Podeszła do mnie Lita.

– Chciałby pan zjeść kolację, panie Bartlett?

– Tak. Dziękuję.

Zaprowadziła mnie do cichej części jadalni i podała mi kartę dań, życząc udanego posiłku.

Chwilę później zjawił się kelner.

– Co pan dziś zamawia?

– Na początek ślimaki.

– Doskonale. A na danie główne?

– Łososia.

– Zrumieniony łosoś z karczochem i kabaczkim. A do picia?

– Poproszę kieliszek waszego pinot noir.

– Doskonały wybór. – Zabrał kartę i odszedł.

Podniosłem leżącą na jednym z krzeseł gazetę. Na pierwszej stronie zamieszczono zdjęcie i wypowiedź pani burmistrz. Mówiła o znaczeniu turystyki i konieczności przyciągania do Midway gości odwiedzających Park City. Przypomniałem sobie, jak podejrzewała mnie, że przyjechałem kogoś zabić.

Pięć minut później na moim stoliku zjawiły się ślimaki wraz z winem.

Kiedy zacząłem jeść, ktoś głośno powiedział:

– Nie ma to jak ślimaki ze szklaneczką burgunda.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem Raya, który właśnie wszedł do jadalni.

– Długo pracujesz – zauważyłem.

– Nie pracuję, panie Bartlett. Wróciłem po okulary i wpadłem do Truflowej Jamy na drinka. Mogę się przysiąść?

– Proszę. Zjesz ślimaki?

– Uwielbiam je, ale nie po szkockiej. – Usiadł naprzeciwko mnie i spojrzał na mój kieliszek. – Co pijesz?

– Pinot noir.

– Zawiły szczep. A na danie główne?

– Łososia.

– Świetny wybór – stwierdził, nieznacznie kiwając głową. – Jak panu minął dzień, panie Bartlett? Owocnie?

Domyśliłem się, że miała to być aluzja do mojego nazwiska.

– Nie. Miasto nie bardzo mi pomogło.

– Pojechałeś do urzędu miejskiego?

– Tak. Zgodnie ze wskazówkami na twojej mapie.

– Urzędnicy byli nieskorzy do pomocy? Dziwne. – Jego krzaczaste brwi opadły. – Trafiałeś na Jan?

– Panią burmistrz?

– Tak.

– Owszem, poznałem ją.
Skrzywił się.
– Przykro mi.
– Nie była skora do pomocy – powiedziałem.
– Tak, domyślam się. Mam nadzieję, że nie powołałeś się na mnie. Kilka lat temu byłem jej kontrkandydatem w wyborach na burmistrza. Nadal chowa urazę. Powinieneś pójść do Brada Wilcoxa. Jest miejskim księgowym. Ma rejestr wszystkich mieszkańców.
– Byłem w jego domu.
– I nie pomógł ci?
– Nie. Powiedział, że nie jest upoważniony do udostępniania żadnych rejestrów.
– Chyba potrafię to zrozumieć. Pewnie pomyślał, że jesteś seryjnym mordercą.
– Tak o mnie pomyślała pani burmistrz. Wilcox uznał mnie za zwariowanego stalkera.
Ray uśmiechnął się rozbawiony.
– Na szczęście nie wszystko w tym mieście jest utajnione. Nazwiska większości osób figurują w książce telefonicznej.
Spojrzałem na niego w osłupieniu.
– Midway ma książkę telefoniczną?
– Oczywiście. Czy nie ma jej każde miasto?
Zrobiło mi się głupio, że sam na to nie wpadłem.
– Książka telefoniczna to wspaniałe źródło informacji.
– Na pewno gdzieś tu u nas leży kilka egzemplarzy. Mam poszukać?
– Bardzo proszę.
Ray poszedł do recepcji. Wrócił z małą książką wydrukowaną na papierze gazetowym.
– Proszę. Powiniennem był dać ci ją na samym początku. Oszczędziłbyś sobie upokorzenia.
Wziąłem od niego książkę i przyjrzałem się okładce.
Książka telefoniczna Park City/Heber Valley

Obejmuje hrabstwa Summit i Wasatch

Publikacja była większa od standardowej książki w miękkiej oprawie. Przekartkowałem ją i położyłem na stole.

– O coś takiego mi chodziło. Dziękuję.
– Proszę bardzo. Mam jedno pytanie.
– Tak?
– Zakładam, że ułożysz listę pań, które zechcesz odwiedzić. Co im powiesz?
O to samo zapytał mnie Dale.
– Jeszcze nie wiem.
– Możliwe, że będziesz musiał wymyślić jakiś pretekst. Jeśli powiesz im, że próbujesz znaleźć kogoś z internetu, mogą nie chcieć rozmawiać. Zwłaszcza jeśli trafisz na tę poszukiwaną. Wiesz, o co mi chodzi?
– Co rozumiesz przez „pretekst”?
– Możesz powiedzieć, że jesteś rachmistrzem spisowym.
– Uwierzą?
– Myślę, że tak. Ja bym uwierzył.
Zastanowiłem się.
– Nie jestem przekonany. Wolę powiedzieć prawdę.

– Nie mówię, jak masz prowadzić łowy – powiedział, odsuwając krzesło. – Tylko doradzam. Powodzenia w poszukiwaniu tej kobiety. Wracam do domu do swojej, zanim zgłosi moje zaginięcie. Mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Jest jedna rzecz. Proszę, nie zrozum mnie źle, tutejsze jedzenie jest pyszne, ale trochę...

– Mam polecić inny lokal.

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście że nie. W mieście są typowe fast foody, których zdecydowanie nie polecam. Poleciłbym za to restaurację Pod Jemiołą. Blisko Main Street, zaledwie kilka przecznic od domu kultury, blisko urzędu miasta. Prawdopodobnie przejeżdżałeś tamtędy dzisiaj po południu.

– Podają dobre jedzenie?

– Wyborne.

– Dzięki. Spróbuję.

– Aha, a jeśli Thelma upiecze ciasto, zjedz. – Ray wstał i wyszedł z sali.

Chwilę po jego wyjściu zjawił się kelner z moim zamówieniem.

– Proszę bardzo. *Bon appétit.*

*

Z książką telefoniczną pod pachą wróciłem do pokoju. Usiadłem na łóżku i zacząłem ją przeglądać. Dwie trzecie stanowiły żółte strony z adresami firm. W białej części książki odszukałem część z literą H. Nazwiska zaczynające się na tę literę zajmowały sześć stron.

Wziąłem długopis z nocnego stolika i zacząłem przeglądać spis. Na każdej stronie były dwie kolumny, a w każdej kolumnie około stu nazwisk. Znalazłem tylko kilka z drugim imieniem lub inicjałem na B, ale nie chciałem odrzucać pozostałych.

Wiele nazwisk należało do mężczyzn albo mieszkańców Park City, co je wykluczało. Kiedy skończyłem, miałem na liście osiemnaście nazwisk.

Hall, Leslie B.;

Hanks, Linda;

Harding, Linda;

Harman, Lindsey;

Hardy, Liz;

Harkness, Lori;

Heger, Laurie;

Henrie, Lillian;

Heughs, Layla;

Hewitt, Lisa;

Hickman, Leah;

Higham, Louise;

Hill, Lorraine;

Hitesman, Laurel;

Holbrook, Lilly;

Howard, Lydia;

Howell, Lisa;

Hoyt, LaDawn.

Robiłem postępy. Miałem już listę. Postanowiłem zacząć poszukiwania nazajutrz rano od numeru jeden, Leslie Hall.

[11] Stacja kosmiczna z *Gwiezdnych wojen*.

Rozdział 16

N a śniadanie podano jajka blackstone. Różnica między jajkami blackstone a jajkami po benedyktyńsku polega na tym, że te pierwsze są na boczku, a drugie na szynce. Były pyszne, podobnie jak naleśniki z jabłkami. Spodziewałem się, że Ray zajrzy do jadalni, ale się nie pojawił.

Po śniadaniu poszedłem na szybki trzykilometrowy spacer drogą wzdłuż pola golfowego, po czym wróciłem do pokoju i wziąłem prysznic. Czekał na mnie SMS od Nate'a. Jak zwykle był lakoniczny:

Jak tam?

Odpisałem:

Polowanie rozpoczęte. Zawęziłem listę do 18 tropów.

Odpisał:

Znajdź i zniszcz.

Usiadłem i ponownie przyjrzałem się liście. Nie miałem pojęcia, ile czasu zajmie mi dotarcie do osiemnastu osób, ale jeśli LBH nie była ostatnia, nie musiałbym jeździć do wszystkich.

Z mapą Raya i listą poszedłem do samochodu. Przednia szyba była zamrożona, więc zgarnąłem śnieg ręką, a potem za pomocą karty kredytowej zacząłem zeskrobywać lód. Mężczyzna zrzucający śnieg ze stojącego obok SUV-a przyglądał mi się z rozbawieniem. Po chwili podszedł do mnie.

– Nie ma pan skrobaczki? – zapytał.

– Nie.

– Niech się pan odsunie. – Oczyszczył szyby mojego auta, po czym zmiotł z nich zeskrobany lód. – Będzie pan musiał kupić skrobaczkę – powiedział, kiedy skończył.

– Dzięki. Wie pan może gdzie?

– Wszędzie. W sklepach spożywczych, na stacjach benzynowych.

Jeszcze raz mu podziękowałem. Nieznajomy wrócił do swojego auta, ja wsiadłem do swojego i zapaliłem silnik. Czekając, aż się rozgrzeje, spojrzałem na pierwsze nazwisko na liście: Leslie B. Hall, 1219 Montreux Circle.

– W porządku, Leslie. Sprawdźmy, czy to ty.

Wprowadziłem jej adres do GPS-u. Tym razem pojawiła się lokalizacja. Dom znajdował się prawie kilometr od domu kultury, ale jeśli Dni Szwajcarii przyciągały tysiące ludzi, było prawdopodobne, że wiele osób zostawiało auta aż tak daleko. Leslie mogła być tą, której poszukiwałem.

*

Dom Leslie Hall był skromny i oddalony od ulicy. Na prowadzącym do niego chodniku leżał śnieg. Na podjeździe stał ośnieżony traktor John Deere po remoncie z przyklepioną do maski kartką „Na sprzedaż”.

Moje mokasyny na pewno nie były właściwym obuwiem na taką zimę. Brnąc w śniegu powyżej kostek, dotarłem do schodów i ostrożnie wszedłem na drewnianą werandę. Podłoga zaskrzypiała pod moim ciężarem. Nacisnąłem dzwonek, ale nie usłyszałem żadnego dźwięku, więc zapukałem. Po kilku sekundach drzwi otworzył dobrze odżywiony mężczyzna z puszką budweysera w dłoni.

- Czym mogę służyć? – zapytał.
- Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam Leslie Hall.
- Przyjrzał mi się badawczo.
- To mnie pan znalazł.
- Pan ma na imię Leslie?
- Tak jest napisane na moim prawie jazdy. A kogo się pan spodziewał?
- Przepraszam. Musiałem pomylić adres.
- Spodziewał się pan kobiety, co? Wiem. Ciągłe mi się to zdarza.
- Ma pan rację. Pomyliłem się.

Zmrużył oczy.

– Jest pan łowcą nagród?

– Ja? Skąd!

– Handlarzem?

– Nie. To znaczy tak, ale nie dlatego tu przyszedłem. Szukam kogoś, kogo poznałem w internecie.

Kąciki jego ust uniosły się w porozumiewawczym uśmiechu.

– Aha. Już kumam. Wykiwała pana, co? Dała zły adres, niewłaściwe nazwisko?

Kiwnąłem głową, uznając, że lepiej potwierdzić tę wersję, niż opowiedzieć prawdziwą historię.

– Nie pierwszy raz – powiedziałem.

– Wiem, jak się czujesz, stary. Mnie to się ciągle zdarza. Poznają fajną babkę przy barze, ona daje mi swój adres, jadę tam, a to, kurde, jakieś pieprzone wysypisko śmieci albo parking przy kościele. Ciągłe mi się to zdarza. Baby są bez serca.

– Czasami tak. Miłego dnia!

– Nawzajem. Nie dosłyszałem twojego imienia.

– Alex.

– Jestem Leslie. Ale to już chyba wiesz.

– Tak. Dzięki, Leslie. Przepraszam za kłopot.

– Nic się nie stało.

Uszedłem kilka kroków, kiedy zawołał za mną:

– Hej! Dzisiaj wieczorem jest mecz Jazzów[12], jeśli masz czas. Grają z Trailblazerami. Zimne piwko, kielbaski, meczyk. Może być fajnie.

Odwrociłem się.

– Dziękuję, ale mam robotę.

– Złamała ci serce, co? Powiem ci coś. Nic tak nie leczy bólu po kobiecie jak rozmowa z kumplem.

– Dzięki. Pomyślę o tym.

– Mecz zaczyna się o siódmej. Będę miał kielbaski.

– Pomyślę o tym. Dzięki.

Ruszyłem w kierunku samochodu. Usłyszałem, jak Leslie zamyka drzwi.

Ciekawi ludzie, pomyślałem po raz kolejny.

[12] Utah Jazz, zawodowa drużyna koszykówki z Salt Lake City.

Rozdział 17

N astępna na mojej liście była Linda Hanks. Jej dom znajdował się zaledwie kilka przecznic od miejsca, w którym odbywały się Dni Szwajcarii, więc potencjalnie Linda Hanks mogła być LBH. Prawdziwą LBH. Nigdy nie słyszałem o mężczyźnie o imieniu Linda.

Dom, bungalow z małym ogródkiem od ulicy, miał elewację w oliwkowym kolorze, pomarańczowe drzwi i pomarańczowe obramowania okien. Flamingi z różowego plastiku tkwiły po pachy w śniegu. Na podjeździe stało białe subaru.

Zaparkowałem na ulicy obok skrzynki pocztowej i ruszyłem betonowym podjazdem do odśnieżonego chodnika prowadzącego do drzwi wejściowych.

Zadzwoiłem. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, czego się nie spodziewałem. Na progu stała atrakcyjna blondynka.

– Ale szybko! Dopiero co skończyłam rozmawiać z pana biurem. Proszę wejść. Chodzi o kuchnię.

– Słucham?

– Niech się pan pospieszy, woda jest wszędzie.

Odwróciła się i pobiegła do kuchni. Wahałem się przez moment, po czym poszedłem za nią. Wyłożona linoleum podłoga była mokra. Usłyszałem szum wody i pracujący młynek do odpadków.

– Nie wiem, co się stało. Włączyłam młynek i po kilku sekundach woda zaczęła przyskać na wszystkie strony. Zamknęłam szafkę, ale cały czas leci. – Mówiła roztrzęsionym głosem i wyglądała na przerażoną. Nie miałem serca powiedzieć jej, że nie jestem hydraulikiem. Poza tym czy nie była to idealna okazja, żeby się przekonać, czy ona to LBH? Spełniała warunki.

– Chwileczkę – powiedziałem, kucając przy zlewie. Zdjąłem kurtkę i otworzyłem szafkę. Strumień wody przysnął mi w twarz. Od razu zorientowałem się, w czym problem. Zsunęło się czarne plastikowe kolanko połączone z młynkiem.

– Mogłaby pani wyłączyć młynek?

– Jasne, przepraszam. – Nacisnęła wyłącznik i mielenie ustało.

Podniosłem kolanko i wsunąłem je w otwór młynka. Woda przestała przyskać. Docisnąłem kolanko najmocniej, jak się dało, ale i tak musiałem je dokręcić.

– Ma pani śrubokręt płaski?

– Yyy... – Mina jej zrzedła. – Nie przyniósł pan swoich narzędzi?

– Nie chciałbym tego puścić. Może mi pani podać swój śrubokręt?

– Ale jaki?

– Z płaską końcówką.

– Chwileczkę. – Wróciła z trzema śrubokrętami różnej wielkości. Wziąłem największy, poluzowałem śrubki na obejmie, nasunąłem wąż na kolanko i maksymalnie dokręciłem śrubki obejmę. Wygramoliłem się spod zlewu i oddałem śrubokręt. Kobieta wyglądała na spokojniejszą i nareszcie mogłem się jej dobrze przyjrzeć. Prawdopodobnie była kilka lat ode mnie starsza, ładna, z gęstymi blond włosami zaczesanymi w koński ogon. Miała na sobie dzinsy rurki i czerwony sweterek.

– Powinno się trzymać – powiedziałem.

– Dziękuję. Teraz muszę wytrzeć mopem. Można by pomyśleć, że po trzech latach bycia singielką powinnam coś wiedzieć o hydraulice.

– Sam nie bardzo się na niej znam – powiedziałem. – Tylko tyle, żeby dać sobie radę

z najprostszymi awariami.

Patrzyła na mnie zdezorientowana.

– Myślałam, że trzeba zdać jakiś egzamin albo coś w tym rodzaju, żeby zostać hydraulikiem.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, dlaczego była zaskoczona.

– Jasne. Wie pani, jak to jest. Im więcej wiesz, tym bardziej wiesz, że nie wiesz.

Wyglądała na jeszcze bardziej zdezorientowaną, ale powiedziała:

– Ile jestem winna?

Tym razem to ja byłem zaskoczony.

– Przyślę pani rachunek.

– Okej, ale ile to będzie? Żebym mogła przygotować pieniądze.

– Dziesięć dolarów – odparłem.

– Tylko dziesięć? Wasza dyspozytorka powiedziała, że wizyta w domu to minimum pięćdziesiąt.

– Taka jest cena standardowa, ale przejeżdżałem w pobliżu, więc żaden problem. Niech pani tylko zapisze swoje nazwisko. W biurze wystawię rachunek.

– Aha. To dlatego nie przyniósł pan narzędzi.

– Właśnie. I dlatego też nie mam faktury. Bardzo przepraszam.

– Nie się nie stało.

Przyniosła kartkę i długopis, po czym napisała typowo kobiecym charakterem pisma:

Linda Hanks

– To pani pełne nazwisko?

– A nie! Przepraszam.

Przyglądałem się, jak pisze.

Linda Wells Hanks

Poczułem zawód.

– Wells? To pani panięskie nazwisko?

– Tak. Nadal używam nazwiska mojego byłego. Na drugie imię mam Michelle.

Złożyłem kartkę.

– Dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję. Mam wyrzuty sumienia, że zapłacę panu tylko dziesięć dolarów. Powinam się jakoś zrewanżować. Czy byłoby niestosowne z mojej strony, gdybym zaprosiła pana na kolację? – Zauważyłem, że ukradkiem spojrzała na mój pusty serdeczny palec. – To znaczy, jeśli pan może.

Zawahałem się, po czym odparłem:

– Oczywiście. Byłoby miło.

– Co pan robi jutro wieczorem?

– Powinienem mieć wolne.

– Cudownie. Może być siódma?

– Muszę sprawdzić grafik, ale zadzwonię do pani.

– Jasne.

Zapisała mi swój numer i odprowadziła mnie do drzwi. Patrzyła, jak szedłem do samochodu, a kiedy ruszyłem, pomachała mi.

W połowie przecznicy zobaczyłem furgonetkę oklejoną zdjęciem węża kanalizacyjnego i napisem „ZAKŁAD HYDRAULICZNY LINTON” na boku. Już chciałem zawrócić i zatrzymać

hydraulika, ale nie byłem pewien, co powiedzieć, więc jechałem dalej. Pomyślałem, że kolacja z Lindą prawdopodobnie nie dojdzie do skutku.

Rozdział 18

Dwie odhaczone, szesnaście do sprawdzenia. Popatrzyłem na listę. Następna pani też miała na imię Linda. Linda Harding. Rzuciłem okiem na telefon, żeby sprawdzić która godzina. Było trochę po drugiej i dostałem SMS od szefa. Pojawił się problem z moim klientem z Oakland i choć następna kobieta na mojej liście mieszkała tylko trzy przecznice dalej, postanowiłem wrócić do gospody i zająć się sprawą.

Było po czwartej, kiedy znowu usiadłem za kierownicą. Pojechałem prosto pod trzeci adres, mały parterowy domek z białej cegły. Dach był pokryty śniegiem i zwisały z niego sople lodu, niektóre sięgały nawet ziemi i przypominały kolumny. Jedynymi kolorowymi elementami były bladoniebieskie drzwi i czerwone tabliczki informujące o działającym systemie alarmowym, wystające ze śniegu jak krokusy.

Obok drzwi wejściowych stała otwarta torba z odmrażaczem do lodu. Pod moim nogami zachrzęściły niebieskawe grudki rozmrożonego śniegu (już wiedziałem, co to jest).

Nacisnąłem dzwonek i wewnątrz rozległ się dźwięk. Chwilę później usłyszałem szuranie nóg po podłodze, potem zgrzyt łańcucha i odsuwanego rygla. Drzwi otworzyły się powoli.

Siwowłosa kobieta wyglądała na co najmniej pod osiemdziesiątkę. Opierała się na chodziku.

– Słucham?

– Przepraszam. Musiałem pomylić adres.

– A jakiego adresu pan szuka?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– W zasadzie tego.

– A kogo pan szuka? Znam prawie wszystkich w tym mieście. Mieszkam tu od urodzenia.

– Lindy Harding.

– To ja. Jestem Linda.

– Tak – powiedziałem, nadal nie wiedząc, co dalej. – Tylko że Linda, której szukam, powinna być trochę... młodsza.

– Przykro mi, że nie mogę pomóc. Bardzo bym chciała. Jestem jedyną Lindą Harding w Midway. Ale może jednak mogłabym na coś się przydać. Może mi pan opowiedzieć więcej przy gorącym kakao. Zapraszam do środka.

– Nie, zająłem pani już dość czasu.

– Czas to wszystko, co mam. Przynajmniej tyle, ile mi go zostało. I prawdę mówiąc, czuję się dziś trochę samotna. Na pewno taki przystojny mężczyzna jak pan nie ma pojęcia o samotności, ale proszę wejść. Nalegam.

Patrzyła na mnie tak błagalnie, że nie mogłem odrzucić zaproszenia. Zwłaszcza, że złożyła je samotna osoba.

– Jasne. Mam kilka minut.

Klasnęła w dłonie z radości.

– Cudownie!

Wszedłem. Wnętrze domu było staroświeckie, ale nieskazitelnie czyste i pachniało w nim mentolem oraz lawendą. Na podłodze leżał jaskrawoniebieski włochaty dywan, ściany były pomalowane na jasnoniebiesko, a boazerię zdobił motyw liści w kolorze białego złota.

Wszędzie stały fotografie – oprawione w ramki zdjęcia rodzin oraz dzieci i wnuków, prawdopodobnie rodziny gospodyni.

– Kiedy pan zadzwonił, szykowałam się, żeby wstawić popovery[13] do piekarnika. Uwielbiam dobre popovery, a pan? Zwłaszcza z odrobiną marmolady. A teraz mam z kim je zjeść. Proszę tylko zamknąć za sobą drzwi. – Popychając chodzik, podreptała do kuchni. – Niech pan usiądzie przy stole, a ja zrobię nam kakao. Lubię bardzo czekoladowe, a pan?

– Jakkolwiek pani zrobi, na pewno będzie dobre.

– Dobrze, dobrze.

Nie było jej prawie dziesięć minut. Rozglądałem się po jej jadalni. Stało tu więcej fotografii. Na niektórych z nich, jak się domyślałem, była moja gospodyni w czasach młodości.

Wróciła bez chodzika, zgarbiona, z dwoma kubkami parującego kakao.

– Trochę gorące. – Postawiła oba naczynia na stole i usiadła naprzeciwko mnie. – Wcześniej pana nie widziałam. Jest pan nowy w Midway?

– Nie jestem stąd. Z Florydy.

– A tak. Byłam kiedyś na Florydzie. Rodzice zabrali mnie tam, kiedy byłam mała. Widziałam bagna Okefenokee. Niezapomniane przeżycie. Zwłaszcza te aligatory. Karmili je kurczakami. W Utah nie ma aligatorów. Może w zoo Hogle'ów, ale nie na wolności. U nas jest za zimno. Ten nasz ziąb ma swoje zalety.

– Rzeczywiście jest zimno.

– Ale niech to pana nie zraża, jeśli ma pan zamiar się tu przeprowadzić. Może i klimat jest zimny, ale ludzie są ciepli. W każdym razie większość. My tutaj w Midway lubimy troszczyć się o siebie nawzajem. Kiedy pada, chłopiec z domu naprzeciwko przychodzi do mnie, że odgarnąć śnieg i posypać chodnik solą...

Przez kolejne sześćdziesiąt minut Linda opowiadała mi o zaletach życia w Heber i Midway, ucząc mnie przy okazji stu pięćdziesięciosześcioletniej historii miasta. Dowiedziałem się, że przesiedlenie się plemienia Indian spowodowało konieczność wybudowania fortu w połowie drogi pomiędzy Heber i Mound City i właśnie umiejscowienie w połowie drogi zadecydowało o nazwie miasta.

W rozmowie nastąpiła tylko jedna przerwa – kiedy zadzwonił timer w piekarniku i Linda przyniosła tacę z gorącymi popoverami, marmoladą pomarańczową i miodem prosto z pasieki.

W końcu Linda nawiązała do celu moich odwiedzin.

– No więc jeśli chodzi o tę inną Lindę Harding, której szukasz, to może przyjechałeś do niewłaściwego Midway? W tym kraju jest przynajmniej tuzin miast o tej nazwie, między innymi wyspy Midway na Pacyfiku, sławne dzięki zwycięskiej bitwie z Japończykami podczas drugiej wojny światowej. Mój wujeczny dziadek Kirby służył w marynarce. Stacjonował na Midway, kiedy zaczęła się wojna. To tam Japończycy...

Czując, że zaczyna się kolejny potencjalnie godzinny wykład, szybko wstałem.

– Pani Harding?

– Mów mi Linda, Alexie. Dlaczego wstałeś? Musisz skorzystać z łazienki?

– Nie, ale pomyślałem, że masz rację. Chyba rzeczywiście przyjechałem do niewłaściwego miasta i powinienem jak najszybciej naprawić swój błąd. Bardzo dziękuję za kakao, popovery i towarzystwo.

– Kakao i ciastka to żaden problem, a towarzystwo zawsze mnie cieszy. Prawdę mówiąc, zaraz zaczynam przygotowania do kolacji. Chciałbyś zostać? Musisz coś zjeść.

– Bardzo dziękuję, ale mam jeszcze inne sprawy do załatwienia. Jestem wdzięczny za uświadomienie mi pomyłki. Sam trafię do drzwi.

Ruszyłem do wyjścia, ale Linda jeszcze dodała:

– Byłoby miło, gdybyś został na kolacji. Dla mnie to żaden kłopot.

Otworzyłem drzwi. Na dworze było już ciemno. Ciemność wieczoru podkreślał cicho

padający śnieg.

– Dziękuję, ale muszę jechać.

– Wracaj szybko. Jutro upiekę cynamonowe ciasteczka według własnego przepisu.

*

Choć pierwszy dzień moich poszukiwań można by nazwać osobliwym, to z wyjątkiem dwojga biurokratów pozostałe osoby chciały spędzić ze mną więcej czasu. Dostałem trzy zaproszenia na kolację. A jeśli najlepiej strzeżoną tajemnicą świata było to, że wszyscy ludzie są samotni?

Wycieraczki usunęły tylko część śniegu z przedniej szyby, resztę musiałem zgarnąć dłońmi, wskutek czego zmoczyły się i przemarzły. Na Main Street wypatrzyłem sklepik z podstawowymi towarami. Zaraz przy wejściu stało pudło z miotełkami i skrobaczkami do śniegu. Kupiłem największy rozmiar, jaki mieli.

Pomimo zjedzonych u Lindy popoverów byłem głodny, postanowiłem więc znaleźć restaurację, o której powiedział mi Ray. Restaurację Pod Jemiołą.

[13] Lekkie bułeczki z masy jajecznej podobnej do tej, z której robi się yorkshire pudding.

Rozdział 19

Jechałem ostrożnie, wypatrując lokalu. Śnieg padał coraz intensywniej i wycieraczki ciężko pracowały, żeby go usunąć z szyby. Nastawiłem spirale ogrzewające szybę na najwyższą moc, ale zdołały odmrozić tylko dwie łaty wielkości dużej pizzy. Dlatego dwa razy przejechałem obok restauracji, zanim w końcu ją znalazłem o półtorej przecznicy na wschód od domu kultury.

W odróżnieniu od większości budynków w Midway restauracja nie miała szwajcarskiego wyglądu. Nie była też specjalnie dobrze oznakowana. Neonowa nazwa nad wejściem się nie paliła. Świeciła się tylko gałązka jemioli, która poruszała się na przemian w prawo i lewo, przypominając bardziej miotłkę do kurzu niż symbol świąt.

Restauracja stała wzdłuż ulicy, była długa i wąska i miała zasłony w oknach każdego boksu od frontu. Okna jaśniały zapraszająco.

Zaparkowałem i wszedłem do środka. Nad miejscem, w którym czekało się na przydział stolika, wisiała gałązka zakurzonej wiekowej jemioli. Cicho grała świąteczna muzyka. Bing Crosby. Byłem ciekaw, czy, biorąc pod uwagę nazwę lokalu, zawsze puszczano w nim bożonarodzeniowe piosenki.

– Zaraz ktoś do pana podejdzie – powiedziała starsza kobieta, mijając mnie w drodze do stolika. Miała na sobie biały fartuch i czarną koszulę z podwiniętymi rękawami. Zwróciła się do młodszej koleżanki stojącej przy dalszym końcu kontuaru: – Ari, zajmiesz się tym dżentelmenem?

– Oczywiście. – Kelnerka, która stała do mnie plecami, odwróciła się i wytarła dłonie w fartuch. – Dzień dobry. Witamy Pod Jemiolą.

Była młoda, miała na sobie taki sam strój jak jej koleżanka, biały fartuch i czarną koszulę, tylko że jej koszula miała krótkie rękawy, odsłaniające bladą i gładką skórę rąk. Ciemnobrązowe włosy delikatnie okalały jej twarz. Miała pełne usta i wysokie, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, które wydawały się dotykać jej ciemnych oczu.

Kiedy spotykamy kogoś po raz pierwszy, na ogół mało zapamiętujemy – ktoś podaje nam swoje nazwisko i od razu je zapominamy. Ale zdarzają się też sytuacje, kiedy jakaś siła, niewidzialna jak fale elektromagnetyczne, powoduje natychmiastowe przyciąganie i poczucie więzi. Właśnie coś takiego poczułem na widok tej młodej kelnerki. Była atrakcyjna, co samo w sobie stanowi formę magnetyzmu, ale chodziło o coś więcej. Była piękna, ale, podobnie jak lokal, w którym pracowała, wyglądała, jakby najlepsze dni miała już za sobą. Co dziwne, coś w niej wydało mi się znajome.

Byłem tak pochłonięty przyglądaniem się jej, że drgnąłem zaskoczony, kiedy się odezwała.

– Kolacja dla jednej osoby? – zapytała cicho, biorąc kartę dań z kontuaru.

– Tak. Jestem sam. – Dlaczego zawsze czułem się zawstydzony, kiedy to mówiłem?

– Chciałby pan stolik czy boks?

– Boks – odparłem i dodałem: – Jestem odludkiem.

Uśmiechnęła się nieznacznie i był to ładny, miły uśmiech.

– Czyli boks ustronny.

Poszedłem za nią do tylnej części lokalu.

– Proszę bardzo. Ustronie.

Kiedy usiadłem, podała mi kartę potraw.

– Mam na imię Aria. Przynieść panu coś do picia?

– Ładne imię – zauważyłem.

Uśmiechnęła się nieznacznie i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

– Dziękuję. Nie miałam udziału w jego wyborze. Chciałby pan coś do picia?

– Macie lemoniadę?

– Tak. Minute Maid. Mogę do niej dolać syropu truskawkowego albo jeżynowego, jeśli pan chce.

– Proszę truskawkowy.

– Jedna truskawkowa lemoniada. Zostawię pana na chwilę, żeby mógł pan przejrzeć nasze dania.

Odprowadziłem ją wzrokiem, po czym zająłem się kartą. Potrawy były typowo restauracyjne: panierowany stek, purée ziemniaczane, tego typu rzeczy. Nadal czytałem menu, kiedy kelnerka podeszła z napojem i koszyczkiem z chlebem.

– Proszę, pański napój i chleb. Zdążył pan się na coś zdecydować?

– Jeszcze nie. Co pani lubi?

Oparła się wygodnie o stojące naprzeciwko mnie plastikowe krzesło.

– Zwykle zamawiam kurczaka zapiekanego w warzywach.

Odłożyłem kartę.

– Brzmi dobrze. Poproszę.

– Już nam się skończył. – Kiedy spojrzałem na nią zdziwiony, powiedziała: – Pytał pan, co lubię, a nie co mamy.

Uśmiechnąłem się.

– To prawda. Co lubi pani z tego, co jeszcze macie?

– Polecałabym pieczeń rzymską. Albo kurczaka pieczonego z szalwią. Obie potrawy są smaczne.

– I na pewno macie obie?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Jestem tego całkowicie pewna. Polecałabym też zupę z łuskanego grochu, jeśli pan ją lubi. Jeśli nie, niech jej pan nie zamawia.

– Poproszę pieczeń rzymską i porcję zupy.

– Do pieczeni rzymskiej podajemy purée ziemniaczane, sos grzybowy i kukurydżę albo bukiet z jarzyn.

– Jakich?

Zastanowiła się.

– Głównie z kukurydzy.

Roześmiałem się.

– Poproszę.

– To zajmie kilka minut. Chciałby pan najpierw zupę?

– Tak.

– Aha, i proszę się częstować chlebem. Upiekłam go dzisiaj rano.

Ponownie oddaliła się do kuchni. Spróbowałem lemoniady, po czym zamieszałem syrop truskawkowy, który osiadł na dnie. Popijając, zacząłem się rozglądać po lokalu.

Niektóre lokale próbują naśladować tradycyjny wystrój przydrożnych restauracji sprzed lat podrabianymi etykietkami coca-coli, neonowymi zegarami i plastikowymi krzesłami, przedmiotami, które zostały wyprodukowane w Chinach, a nie w Toledo w Ohio. Jednak otaczające mnie akcesoria były stare i autentyczne, jakby w tym miejscu zatrzymał się czas. Pozostali klienci wydawali się tak samo eklektyczni jak wyposażenie lokalu: kierowcy ciężarówek, starzy ludzie z sąsiedztwa, turyści.

Aria przyniosła miseczkę parującej zupy na talerzyku z tego samego kompletu.

– Proszę bardzo. Zupa dnia. Niech pan uważa, bo gorąca.

– Ale się pani pospieszyła.

– Nie potrzeba dużo czasu, żeby nalać zupy do miseczki. – Postawiła zupę przede mną. –

Za kilka minut przyniosę resztę zamówienia.

Spróbowałem zupy i z zadowoleniem stwierdziłem, że smakiem nie ustępuje potrawom, które jadłem podczas podróży służbowych. Idąc za radą Arii, sięgnąłem po grubą kromkę jasnego chleba, posmarowałem ją masłem i ugryzłem. Chleb też był smaczny. Wkruszyłem trochę do miseczki i zacząłem jeść.

Właśnie skończyłem zupę, kiedy Aria przyniosła drugie danie i kolejną szklanę lemoniady, choć wypilem mniej niż połowę pierwszej.

– Proszę. Jak smakowała zupa? – Spojrzała na pustą miseczkę. – Chyba nie była taka zła.

– Prawdopodobnie dałbym radę wsunąć jeszcze jedną.

– Myślę, że drugie danie też będzie panu smakowało. – Postawiła na stole półmisek z pieczenią rzymską i dużą porcją purée ziemniaczanego polanego brązowym sosem. Na jej palcu serdecznym zauważyłem obrączkę z małym brylantem. O dziwo, ten widok mnie zmartwił.

– Podać coś jeszcze?

– Nie. Dziękuję.

– Niech pan da znak ręką, gdyby pan chciał coś jeszcze.

Przeszła przez salę do innego boksu.

Poruszała się z wdziękiem. Pracowała w małomiasteczkowej restauracji, ale miała klasę. Pasowałyby do najwytworniejszych restauracji w Europie. Ciekawe, czy była miejscowa, czy przyjezdna.

Jadłem powoli; nigdzie mi się specjalnie nie spieszyło. Starłem się nie przyglądać kelnerce. Zauważyłem, że kilka razy spojrzała w moją stronę, ale na pewno służbowo. Podeszła, kiedy kończyłem jeść.

– Jak drugie danie?

– Cieszę się, że poleciła mi pani pieczeń rzymską.

– Potrawa, która poprawia nastrój. Idealna na chłodny zimowy wieczór.

Desperacko szukałem w myślach tematu do dalszej rozmowy.

– Pewnie wyszedłem na dziwaka, mówiąc, że jestem odludkiem. Daleko mi do Howarda Hughesa.

– Dużo osób nie lubi jeść w towarzystwie. Miałam kiedyś psa, który nie ruszył jedzenia, gdy się na niego patrzyło.

– Porównała mnie pani do swojego psa.

Znowu się uśmiechnęła, i to było czarujące.

– Ale to był miły pies.

Roześmiałem się. Czy ona ze mną flirtowała?

– Dziwi mnie, że większość kierowców ciężarówek chce być sama. Można by pomyśleć, że skoro są tak długo w drodze, pragną towarzystwa, ale zauważyłam, że jest inaczej. Większość z nich unika innych ludzi. Przynajmniej kiedy przychodzą tutaj.

– Chyba to rozumiem – powiedziałem. – Dużo podróżuję służbowo. Im więcej podróżuję, tym bardziej chcę zostać w pokoju hotelowym i zamówić jedzenie. To się zdarza.

Zastanowiła się.

– Może tracimy zdolność do przebywania wśród innych ludzi szybciej, niż myślimy. – Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się. – Zrobiło się poważnie.

Wyciągnąłem rękę.

– Jestem Alex.
– Miło mi, Alex. Co cię sprowadza do Midway?
– Skąd wiesz, że nie jestem stąd?
Przechyliła głowę.
– Bo gdybyś był, tobym cię znała.
– Jestem z Daytona Beach na Florydzie.
– Och, jak ja dawno nie widziałam plaży! I piasku. I zapomniałam, co to ciepło. Mówią, że w Utah są cztery pory roku: prawie zima, zima, nadal zima i roboty drogowe.
– Dużo tu śniegu.
Spojrzała za okno.
– I nadal pada.
Pokręciłem głowę.
– To się chyba nigdy nie skończy. Na drogach jest bezpiecznie?
Bezskutecznie próbowała ukryć rozbawienie.
– Pierwszy raz widzisz śnieg?
– Pierwszy raz jeżdżę w śniegu.
– Po prostu jedź powoli. W tym tygodniu ma u nas spaść jeszcze więcej. Rocznie spada jakieś dwa i pół metra. Na jak długo przyjechałeś?
– Jeszcze nie wiem. Około tygodnia.
– Czym się zajmujesz?
– Sprzedaję oprogramowanie, które liczy samochody.
– Dlaczego ktoś chce to kupować?
– Z wielu powodów. Kontrola natężenia ruchu drogowego. Bezpieczeństwo.
Pokiwała głowę.
– Sprawa dla władz.
– Właśnie.
– Gdzie się zatrzymałeś?
– W gospodzie Pod Błękitnym Dzikim.
– Tam jest bardzo sympatycznie – powiedziała. – Nigdy u nich nie mieszkałam, ale kiedyś jadałam kolację w ich restauracji. O wiele bardziej eleganckie miejsce niż ten lokal.
– Kierownik polecił mi właśnie waszą restaurację.
– Kochany Ray. Przychodzi tu w każdy czwartek na ciasto. Thelma piecze tartę z pekanami specjalnie dla niego. Przy okazji: chciałbyś może ciasta? Dzisiaj Thelma upiekła szarlotkę z karmelem.
– Ray poradził mi spróbować każdego ciasta, więc poproszę.
– Chciałbyś do niej sera?
– Do szarlotki?
– Wiesz, jak mówią, szarlotka bez sera jak panna bez kawalera.
– Pierwsze słyszę.
– Może to takie małomiasteczkowe powiedzenie. Zresztą jako mieszkaniec Florydy pewnie jesteś amatorem tarty z limonką.
– Uwielbiam ją.
– Wcale się nie dziwię. – Zerknęła w stronę kontuaru. Nie byłam pewien, ale odniosłem wrażenie, że stojący przy nim mężczyzna patrzy na mnie wrogo.
– Sprawdzę, co się dzieje przy innych stolikach, potem przyniosę ci szarlotkę. Pospiesz się.

Kiedy odeszła, ponownie uderzyło mnie, że wygląda znajomo. Tylko skąd mogę ją znać?

Pięć minut później przyniosła szarlotkę. Jego wierzch był pokryty ułożonymi w kratkę paskami ciasta i polany karmelizowanym cukrem.

– Prawdziwe dzieło sztuki – stwierdziłem.

– Thelma jest w dziedzinie ciast tym, czym Michał Anioł był w dziedzinie rzeźby – powiedziała. – A to twój rachunek.

Przebiegłem go wzrokiem.

– Mogę coś jeszcze zamówić? Chciałbym wziąć trochę tego ciasta dla Raya. Żeby mu podziękować za polecenie.

– Zaraz przyniosę. Przekaż mu pozdrowienia od Arii.

– Dziękuję.

W drodze do kuchni naląła kawy mężczyźnie w innym boksie.

Zacząłem jeść szarlotkę. Thelma rzeczywiście była mistrzynią wypieków.

Kiedy zjawiała się Aria, dałem jej kartę kredytową. Po chwili dostałem rachunek. Zostawiłem duży napiwek.

– Było miło cię poznać, Alex. Mam nadzieję, że jeszcze tu zajrzysz przed wyjazdem.

– Na pewno. Tarta z pekanami to moja ulubiona.

– W czwartek – przypomniała mi. – Thelma piecze ją w czwartek.

*

Po wyjściu z restauracji przeszył mnie ziąb, ale wcale mi nie przeszkadzał. Włączyłem silnik, ogrzewanie i nową skrobaczką oczyściłem przednią szybę. Choć nie zrobiłem postępów w poszukiwaniach LBH, czułem się radośnie. Na pewno nie tylko z powodu szarlotki.

Rozdział 20

N azajutrz podczas śniadania Ray zatrzymał się przy moim stoliku.

– Dzień dobry, przyjacielu. Jak idą twoje poszukiwania?

– Do przodu – odparłem. – Cieszę się, że cię widzę. Mam coś dla ciebie.

– Naprawdę? – zdziwił się, siadając.

Podaliśmy mu styropianowe opakowanie z kawałkiem ciasta. Ray otworzył je i uśmiechnął się.

– Ach, szarlotka Thelmy z karmelem. Pokarm bogów.

– Przez noc trzymałem ją w lodówce w kuchni.

– Jadłeś?

– Tak.

– Czyli poznałeś geniusz Thelmy. Powinieneś spróbować jej tarty z pekanami. Warta grzechu. – Przyniósł sobie widelczyk z innego stolika i zaczął jeść. Po chwili spojrzał na mnie. – Więc znalazłeś Pod Jemiołą.

– Jedzenie jest tak dobre, jak mówiłeś. A ciasto zawdzięczasz uprzejmości Arii.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

– Jest jeszcze lepiej. Poznałeś Arię – wymówił jej imię ze specjalnym naciskiem. – Gdybym był młodszy...

– Lubisz ją?

– Lubię? Wielbię albo ubóstwiam, to lepsze słowa. Mówiła coś o mnie?

– Przesyła ci ciasto i pozdrowienia.

– Tylko tyle?

– Powiedziała o tobie „kochany”.

Zmarszczył czoło.

– Kochany. Jak o małym piesku. Na tym polega problem ze starością. Jesteś kochany, ale nie sexy.

– Ale to i tak dobrze. Przecież jesteś żonaty – powiedziałem, ukrywając rozbawienie.

– Owszem. Bardzo, bardzo żonaty.

– A ona jest mężatką.

Przełknął kęs i spojrzał na mnie.

– Nie, Aria nie jest mężatką.

– Nosi obrączkę.

– Wiem. To dla odstraszenia kierowców ciężarówek. Była mężatką. Kiedy przyjechała do Midway. Ale to było dawno temu.

– Nie jest stąd?

– Nie, jest przyjezdna. Przyjechała tu jakieś sześć lat temu. Razem z mężem, Wayne’em, Wade’em, Waltem, czy jakoś tak, otworzyli kawiarnię, ale im nie wyszło. On wyjechał, ona została. Taka historia.

– I cały czas jest sama?

– No właśnie. Aż dziwne. Taka dziewczyna. Piękna wewnątrz i zewnątrz. Jedna z tych niewielu kobiet, które nie wiedzą, że są piękne. – Zamyślił się na chwilę. – Chyba takie są Polki. I cała Polska. – Popatrzył na mnie. – Nie myśl, że tutejsi mężczyźni dają jej spokój. Oczywiście, że nie. Problem polega na tym, że wszyscy młodzi są żonaci, a... my to właściwie jesteśmy poza konkurencją, co?

– Na pewno miałbyś szanse, gdybyś nie był już zajęty.
– Podlizujesz się.
Uśmiechnąłem się szeroko.
– Skąd ona jest? – zapytałem.
– Chyba z Minnesoty. – Przełknął kolejny kęs ciasta. – Tak, z Minnesoty. Aria mało mówi o swoim życiu przed Midway. – Odchylił się na oparcie krzesła, a jego głos przycichł. – Martwię się o nią. Bardzo się martwię.
– Dlaczego?
– W oczach ma smutek. Głęboki smutek. Niektórym kobietom z tym do twarzy, bezbronność na swój sposób bywa pociągająca. Ale u niej... – Westchnął. – Z roku na rok blask jej oczu słabnie. Ona jest jak migoczący płomyk. Obawiam się, że w końcu zgaśnie. – Wziął głęboki oddech. – Tak działa samotność. Wiesz, co mam na myśli?
Jego słowa mnie przygnębiły.
– Wiem.
Obaj na moment zatopiliśmy się w smutnych myślach, potem Ray nabrał na widelczyk kolejny kawałek szarlotki i zapytał:
– Więc robisz postępy? Przydała się książka telefoniczna, którą ci dałem?
– Owszem. Zrobiłem listę wszystkich pań o inicjałach LH z okolicy. Wyszło mi osiemnaście.
– Masz tę listę przy sobie?
– Tak. – Wyciągnąłem kartkę z kieszeni i podałem Rayowi. Położył ją na stole, przez chwilę jej się przyglądał, po czym wyjął długopis.
– No więc tak. Numer jeden, Leslie Hall, nie jest kobietą.
– Szkoda, że wczoraj tego nie wiedziałem.
Podniósł na mnie wzrok.
– Pojechałeś do starego Lesa?
– Owszem.
Ray się uśmiechnął.
– I jak wyszło?
– Niezręcznie. Ale zaprosił mnie na kiełbaski i mecz koszykówki.
– Żona od niego odeszła w zeszłym roku. Zabrała dwoje dzieci i uciekła z prawnikiem z Salt Lake City. – Ponownie spojrzął na listę. – Nic nie wiem o numerze dwa. Ale Linda Hanks to starsza pani. Pewnie nie wiedziałaby nawet, jak włączyć komputer, ale jest urocza.
– Tak, poznałem ją. Długo rozmawialiśmy. – Rozsiadłem się wygodniej. – Te trzy osoby zajęły mi prawie cały dzień. Powinienem był pokazać ci tę listę, zanim wyjechałem na miasto. Miałbyś coś przeciwko temu, żeby przejrzeć resztę nazwisk?
– Skądże. – Zaczął czytać kolejne nazwiska, przekreślając niektóre z nich.
~~Hall, Leslie B.;~~
~~Hanks, Linda;~~
~~Harding, Linda;~~
Harman, Lindsey;
Hardy, Liz;
Harkness, Lori;
Heger, Laurie;
~~Henrie, Lillian;~~
~~Heughs, Layla;~~
Hewitt, Lisa;

~~Hickman, Leah;~~
Higham, Louise;
Hill, Lorraine;
~~Hitesman, Laurel;~~
~~Holbrook, Lilly;~~
Howard, Lydia;
Howell, Lisa;
Hoyt, LaDawn.

– Laylę Heughs, Leah Hickman, Lilly Holbrook i Lillian Henrie możesz wykreślić z listy. Layla i Leah są po osiemdziesiątce. Lilly i Lillian po dziewięćdziesiątce. Lilly chyba zmarła w zeszłym miesiącu. – Zastanowił się. – Zgadza się, nie żyje. Laurel Hitesman intensywnie gra w golfa w Homestead i ma chłopaka w Connecticut, więc nie sądzę, żeby była poszukiwaną przez ciebie samotną kobietą.

Zaciekawiło mnie, skąd Ray tyle wie o tych kobietach, ale nie zapytałem.

– Myślę, że LaDawn jest po pięćdziesiątce – ciągnął. – Nie można jej wykluczyć. Jest kasjerką w sklepie spożywczym Ridleya przy Main Street. Świetnie się trzyma. Ćwiczy jogę i różne takie.

– Zostaje nam dziesięć nazwisk – stwierdziłem.

Oddał mi kartkę.

– Dziesięć z całego miasta. Nieźle. Mógłbyś je sprawdzić w kilka dni.

– Więc lepiej się do tego od razu zabiorę.

– Racja. – Zamknął pojemnik z szarlotką i wstał. – Chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że to wezmę.

– Oczywiście, że nie.

Już chciał się odwrócić, ale zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Alex?

– Tak?

– Kiedy znowu zobaczysz Arię, podziękuj jej za szarlotkę.

– A skąd pewność, że znowu ją zobaczę?

Pochylił się nieco w przód.

– Zauważyłeś, że nosi obrączkę. – Puścił do mnie oko, po czym odwrócił się i odszedł.

Roześmiałem się w duchu. Bystry z niego facet.

Po śniadaniu poszedłem na górę po swoje rzeczy i wyszedłem na ziąb, żeby znaleźć LBH.

Rozdział 21

Szybko trafiłem pod pierwszy adres. Lindsey Harman. Jej zdobiony białym piernikowym okapem dom z czerwonej cegły wyglądał malowniczo i bardziej przypominał sklepy w szwajcarskim stylu przy Main Street niż prywatny budynek. Był obwieszony sznurami czerwono-białych lampek, które pasowały do szwajcarskich ozdób i nadawały fasadzie świąteczny charakter.

Dom znajdował się wystarczająco blisko parku, więc jeśli Lindsey Harman to LBH, na pewno mogła obserwować uczestników Dni Szwajcarii. Przed budynkiem stała tablica „NA SPRZEDAŻ”, co też przemawiałoby za tym, że dobrze trafiłem, bo LBH zamierzała wyjechać z Midway.

Podszedłem do frontowych drzwi. Nie było dzwonka, więc zapukałem. Nic. Zapukałem jeszcze raz. Po kilku minutach bezskutecznego oczekiwania poszedłem za narożnik domu i zapukałem do bocznych drzwi. Znowu żadnej reakcji.

Wróciłem do samochodu i zrobiłem notatkę na liście, żeby odwiedzić ten adres ponownie. Potem pojechałem poszukać Liz Hardy, następnej kandydatki na LBH.

Jej dom znajdował się zaledwie kilka przecznic od domu Lindsey Harman, nie był jednak tak ładny. Staroświecki, zbudowany z ręcznie wyrabianych dużych cegieł łączonych grubą warstwą zaprawy. Ośnieżony, pokryty gontem dach wznosił się ostro pośrodku budynku, a nad wejściem znajdował się mały balkon z otwierającymi się na zewnątrz drzwiami. W oknach były białe okiennice, a nad nimi kwiatony.

Drzwi otworzyły się powoli.

– Tak?

Mężczyzna był nieco niższy i kilka lat starszy ode mnie. Miał na sobie sweter i nosił okulary w grubych oprawkach.

– Dzień dobry. Jestem Alex. Szukam Liz Hardy.

– Pan? – zapytał protekcyjnie. – Szuka Liz?

Jego reakcja mnie zaskoczyła.

– Zgadza się.

– Skąd pan zna Elizabeth?

– Z internetu.

– Naprawdę?

– Tak, czytam jej bloga.

Cały czas wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Niech pan zaczeka. Pójdę po nią.

Po chwili wrócił z błyszczącą miedzianą urną.

– To ona. Co chce jej pan powiedzieć?

Wpatrywałem się w niego.

– A gdzie jest?

– Tutaj – odparł, wyciągając rękę z urną. – W środku.

Nie byłem w stanie ocenić, co jest gorsze: to, że on żartuje, czy to, że mówi poważnie. Tak czy owak, nie miałem tam już nic do roboty.

– Współczuję – powiedziałem. Obróciłem się i szybko oddaliłem do samochodu. O mało nie poślizgnąłem się na zmrożonym śniegu.

Ciekawi ludzie.

Rozdział 22

F akt, że przed następnym domem stał przynajmniej tuzin tablic „ZAKAZ WSTĘPU” oraz „ZAKAZ ŻEBRANIA”, a na wycieraczce było napisane „ODEJDŹ”, powinien być wystarczającym powodem, żeby w ogóle nie wchodzić na posesję. Ktokolwiek tam mieszkał, bardzo nie lubił gości.

Nacisnąłem dzwonek i chwilę później drzwi otworzyły się tylko na kilka centymetrów. Zobaczyłem połowę twarzy chudej, rozzłoszczonej kobiety.

– Dlaczego wszedł pan na moją posesję?

– Yyy... Czy pani Harkness?

– Kim pan jest?

– Jestem... rachmistrzem spisowym. Sprawdzam, czy zamieszkuje pani ten dom.

– Nie jest pan żadnym rachmistrem.

– Tylko sprawdzę dane i już odchodzę. Czy pani drugie imię zaczyna się na B?

– Niech pan pokaże identyfikator. Rachmistrze spisowi muszą nosić identyfikatory.

– Mogłaby pani tylko...

– Jest pan oszustem! – wrzasnęła. – Albo pan pokaże identyfikator, albo wzywam policję.

– Nie pokażę.

– W takim razie dzwonię na policję, ty zboczeńcu. Komendant jest moim znajomym.

Jemu opowiesz tę swoją bajeczkę.

– Proszę posłuchać...

Usłyszałem, jak dzwoni telefon.

– Naprawdę? Ma pani klawisz szybkiego wybierania numeru policji?

W tym momencie wzięła do ręki butelkę gazu łzawiącego.

– Zobaczymy, jak ci się to spodoba!

Odwrociłem się i zacząłem biec. Zdążyłem poczuć zapach psikniętego za mną spreju.

– Tak, uciekaj, ty chory zboku! Ale sfotografuj swoją tablicę rejestracyjną! – Ruszyła za mną, z gazem łzawiącym w jednej ręce i telefonem w drugiej. Wskoczyłem do auta, zapaliłem silnik i ruszyłem na pełnym gazie.

Jeśli to była LBH, to nie bez powodu była samotna.

Rozdział 23

Po trzech nieudanych wizytach zapragnąłem zrobić sobie przerwę na lunch. Mimo wszystko zrobiłem postępy. Moja lista była teraz krótsza. Choć nie wiedziałem, czy Aria pracuje na dziennej zmianie, postanowiłem wpaść Pod Jemiołę. Myślałem o niej cały dzień. Co dziwne, czułem z tego powodu wyrzuty sumienia – jakbym zdradzał LBH.

Kiedy wszedłem, Aria stała przy kontuarze i wbijała na kasę zamówienie przygarbionego, starszego klienta. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Wyglądała trochę inaczej, na mniej zmęczoną, może z powodu dłuższej przerwy między końcem jednej zmiany a początkiem następnej.

Kiedy klient odebrał resztę, powiedział:

– Stoję pod jemiołą. Dostanę całusa?

– Oczywiście, George. Zawsze dostaniesz. – Aria obeszła kontuar i cmoknęła starszego pana w policzek. Kiedy obrócił się w moją stronę, zobaczyłem jego niemal bezzębny uśmiech od ucha do ucha.

Aria zwróciła się do mnie:

– Znowu do nas zawitałeś.

Zrobiło mi się miło, że mnie pamięta.

– Z powodu ciasta.

– Szarlotki czy tego, którego nie mieliśmy?

– Obu.

– Kurczę. Liczyłam, że z mojego powodu.

Flirtowała?

Obejrzała się za siebie.

– Chciałbyś usiąść przy tym samym stoliku?

– Jasne.

– Masz na imię... Alex, prawda?

Albo miała fotograficzną pamięć, albo zrobiłem na niej wrażenie. Miałem nadzieję, że to drugie.

– Zgadza się. Ty jesteś Aria.

– Ciągle ta sama. – Wzięła kartę dań. – Proszę za mną.

Poszedłem za nią do tego samego boksu, w którym siedziałem poprzedniego dnia, i usiadłem. Podała mi kartę.

– Dzisiaj mamy kurczaka zapiekanego w warzywach.

– W takim razie poproszę.

– Aha, uprzedzam, że został nam tylko jeden kawałek upieczonej przez Thelmę tarty z borówkami. Jeśli chciałbyś ją na później, mogę odłożyć.

– Odłóż.

– Nie będziesz rozczarowany.

Ciekawe, czy kiedykolwiek poznam Thelmę, mistrzynię wypieków, pomyślałem.

– Truskawkowa lemoniada? – zapytała Aria.

Chyba rzeczywiście miała fotograficzną pamięć.

– Dzisiaj tylko sama lemoniada, bez syropu.

– Rozumiem. Zaraz wracam.

W lokalu nie było tylu klientów co poprzedniego wieczoru. Aria obsługiwała wszystkie

stoliki. Przyglądając się jej (nie mogłem oderwać od niej oczu), przypominałem sobie, co Ray powiedział o smutku w jej oczach. Teraz zrozumiałem, co miał na myśli. Początkowo smutek wziąłem za zmęczenie, jednak pod ciągle wypowiadany przez nią uprzejmościami wyczułem przygnębienie. Ból. Jakby pęknięcie duszy.

Przyniosła lemoniadę i postawiła ją przede mną.

– Proszę. Jak ci idzie liczenie samochodów?

Uśmiechnąłem się.

– Interesująco.

– Czy interesująco to dobrze czy źle?

– Nie tak, jak się spodziewałem. Na tym polega specyfika ruchu ulicznego. Nie zawsze można przewidzieć, co się stanie.

– Czy to znaczy, że będziesz musiał zostać tu dłużej, niż się spodziewałeś?

Spodobało mi się to pytanie.

– Całkiem prawdopodobne.

Uśmiechnęła się.

– Zaraz wracam.

Jako handlowiec byłem dumny ze swojej umiejętności czytania mowy ciała, ale przy tej kobiecie czułem się analfabetą. Absolutnie nie potrafiłem odczytać, czy Aria naprawdę jest mną zainteresowana, czy może jest najwspanialszą kelnerką świata. Może jedno i drugie.

A może wygłupiłem się, biorąc jej uprzejmość za flirtowanie. Słyszałem, że ten błąd popełnia mnóstwo mężczyzn. Kiedyś jedna z moich koleżanek powiedziała mi, że przestała się uśmiechać do mężczyzn. „Dlaczego?” – zapytałem ją. „Ponieważ połowa z nich jest tak zdesperowana, że jeśli niebrzydka kobieta zwróci na nich uwagę, natychmiast uważają to za zachętę”.

Czy ja też taki byłem?

Jakieś dziesięć minut później Aria przyniosła moje danie.

– Proszę bardzo. Słynny kurczak zapiekany Thelmy. Mam nadzieję, że okaże się wart czekania. Podać coś jeszcze?

– Na razie wystarczy.

– Za chwilę znowu do ciebie podejść.

Potrawa była pyszna. Nie miałem pojęcia, że dłonie Thelmy potrafią wyczarować również doskonałego kurczaka zapiekanego w cieście z warzywami.

Kiedy zjawiła się Aria, miałem gotową opinię.

– Jak kurczak? – zapytała.

– Wart czekania.

– Świetnie. Daj mi znać, gdybyś chciał jeszcze czegoś.

Już zamierzała odejść i wtedy zebrałem się na odwagę.

– Chciałem cię zapytać, na wypadek gdybym musiał zostać dłużej, co można robić w Midway?

– Mnóstwo rzeczy – odparła. – Oczywiście nie w porównaniu z, powiedzmy, Nowym Jorkiem czy Paryżem, czy nawet Florydą, ale jest wiele rzeczy wartych zobaczenia.

– Jakich?

– Widziałeś lodowy zamek?

– Co to takiego?

– Zamek w całości zrobiony z lodu. Do jego budowy rzeźbiarz użył prawie dziesięciu tysięcy ton lodu. Są tam tunele, jaskinie i sklepione przejścia z lodu. I wszystko jest podświetlone. Zamek wygląda jak z bajki. Ludzie przyjeżdżają z całego kraju, żeby go obejrzeć.

- I po prostu się przez niego przechodzi?
- Tak. To znaczy trzeba kupić bilet. Kosztuje dziesięć dolarów.
- Dużo turystów go zwiedza?
- Rocznie ponad ćwierć miliona. Czasami trzeba mieć rezerwację.
- A kiedy temperatura się podnosi?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech rozbawienia.

– Lód się topi.

Roześmiałem się.

– Może wieczorem pojedę go zobaczyć. Do której jest otwarty?

– Zdaje się, że zamykają około dwudziestej drugiej. Ale jeden z tamtejszych menedżerów jest naszym stałym gościem. Powiedział, że gdybym chciała wejść później, wpuści mnie bocznym wejściem. Na pewno pozwoli ci wejść. Tylko zapytaj o Craiga.

– A może pojechałabyś ze mną?

Nie odpowiedziała i natychmiast pomyślałem, że opacznie zrozumiałem jej zachowanie. Jak mogłem być taki tępy? Nawet nie planowałem jej nigdzie zapraszać, słowa same popłynęły z moich ust. A teraz zawisły między nami w kłopotliwej ciszy. Żałowałem, że nie mogę ich cofnąć, ale było już za późno. Nie było innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej.

– Chciałabyś pojechać tam ze mną?

Nagle z jej twarzy zniknął wyraz zaskoczenia, a pojawił się radosny uśmiech.

– Tak. Bardzo chętnie.

Tym razem to ja byłem zaskoczony. Potrzebowałem chwili, żeby przyjść do siebie.

– O której kończysz pracę?

– Zwykle około dziesiątej. Ale zapytam Valerie, czy może zamknąć lokal za mnie. Jeśli się zgodzi, mogłabym wyjść około wpół do dziesiątej. – Rozejrzała się dookoła. – Powiem ci, zanim wyjdiesz. A teraz muszę zająć się innymi klientami.

Odeszła.

Później nie rozmawialiśmy dużo, nawet kiedy przyniosła mi tartę z borówkami. Kiedy stanąłem przy kontuarze, żeby zapłacić, Aria podeszła, żeby podliczyć moje zamówienie.

– Przepraszam, ale byłam zajęta. Valerie mówi, że zamknie.

– Wspaniale – powiedziałem, podając jej kartę kredytową. Kiedy przeciągnęła ją przez czytnik, dodałem: – Przyjadę po ciebie o wpół do dziesiątej.

– Wpół do dziesiątej – powtórzyła. Odwróciłem się, żeby odejść, kiedy zawołała: – Alex!

– Tak?

– To jest lód. I noc. Masz inną kurtkę?

Popatrzyłem na siebie.

– Nie. Tylko tę.

– Chyba powinieneś kupić prawdziwą.

– A ta nie jest prawdziwa?

– To jest lód – powtórzyła. – I noc. – Uśmiechnęła się i wróciła do pracy.

*

Oczywiście miała rację. Odkąd przyleciałem do Utah, jedynym miejscem, w którym nie marzłem, była gospoda, poza tym wszędzie było mi zimno, nawet w samochodzie przy ogrzewaniu pracującym pełną parą. Ziąb przeszywał mnie do szpiku kości. Planowałem, że pierwszy tydzień po powrocie na Florydę poświęcę na wygrzewanie się.

Zadzwoiłem do gospody, żeby dowiedzieć się, gdzie mogę kupić kurtkę. Lita poradziła mi, żebym pojechał do Park City, które leżało zaledwie dwadzieścia minut jazdy od Midway.

Niedaleko drogi zjazdowej do Park City trafiłem na outlet L.L. Beana i kupiłem kurtkę puchową w rdzawym kolorze z kapturem obszytym sztucznym futrem. Sprawilem sobie też parę najmniej drogich butów. Jak na outlet towary nie były tanie, zwłaszcza że zakupione rzeczy miały mi się przydać prawdopodobnie tylko podczas pobytu w Midway.

Wróciłem do gospody, żeby trochę odpocząć, i wyruszyłem na spotkanie z Arią za kwadrans dziewiąta. Kiedy podjechałem pod lokal, stała przed drzwiami z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie. Podeszła do samochodu, zajrzała, żeby się upewnić, że to ja, po czym wsiadła.

- Chyba zamarzły mi palce – powiedziała.
 - Dlaczego nie czekałaś w środku?
 - Nic mi się nie stało. Nie chciałam, żebyś musiał wchodzić.
- Spojrzałem na nią zdziwiony.
- Dlaczego?
 - Po prostu nie chciałam.

Nastawiłem ogrzewanie na maksimum i skierowałem nawiew na Arię. Zaczęła rozcierać dłonie przy najbliższym wylocie ciepła.

- Dziękuję.
- Drobiazg.

Przyjrzała mi się.

- Masz nową kurtkę.
- Prawdziwą. Tak jak mi poradziłaś.

Uśmiechnęła się.

- Będziesz mi wdzięczny. W nocy jest bardzo zimno.
- I dlatego powinnaś czekać w środku. A gdybym miał wypadek i nie przyjechał?

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- To jutro rano znaleźliby mnie zamarzniętą jak dziewczynkę z zapalkami.

– No właśnie. – Wrzuciłem bieg. – A mówiąc o zamarznięciu, gdzie znajduje się ten zamek z lodu?

– Jedź na wschód. – Wskazała ręką. – Za jakieś pół kilometra zobaczysz tablicę z napisem „Soldier Hollow”. Tam skręcisz w prawo. Na pewno trafisz. Zobaczysz mnóstwo samochodów.

- Miejmy nadzieję, że wyjeżdżających – rzuciłem.
- Właśnie o to chodzi. Żeby mieć cały zamek dla siebie.

*

Zamek z lodu okazał się bardziej olśniewający, niż przypuszczałem. Kiedy przyjechaliliśmy około dziesiątej, tłum samochodów i ludzi opuszczał teren. Zgodnie z instrukcjami Arii podjechałem od tyłu. Mężczyzna w żółtej kamizelce odblaskowej podszedł, żeby nas zatrzymać, ale gdy Aria mu pomachała, uśmiechnął się i nas przepuścił.

Kiedy szliśmy do tylnego wejścia, Aria opowiedziała mi co nieco o historii lodowego zamku. Konstrukcja była dziełem architekta o nazwisku Brent Christensen, mieszkańca Utah. Jego lodowa pasja zaczęła się pewnej mroźnej zimy, kiedy postanowił stworzyć na podwórku lodową budowlę dla córki.

Zabawa zamieniła się w obsesję i wkrótce Christensen zaczął eksperymentować z lodem i tworzyć coraz większe struktury.

Po pewnym czasie przekonał władze Midway, żeby zapłaciły mu za wybudowanie ogromnej budowli z lodu – nie tak dużej jak zamek, do którego właśnie wchodziliśmy, ale większej od wszystkiego, co on lub ktokolwiek inny wcześniej stworzył. Reakcje oglądających

były entuzjastyczne i zainspirowały Christensena do wybudowania naturalnych rozmiarów zamków z lodu w różnych miejscach na świecie. Odtąd miliony ludzi zwiedziły jego konstrukcje w Utah oraz innych miejscach, na przykład w Nowym Jorku i Edmonton w Kanadzie.

Za dnia zamek ma olśniewający kolor lodowego błękitu, ale w nocy, kiedy jest podświetlony tysiącami wbudowanych w lód lampek ledowych, robi jeszcze większe wrażenie.

Przejście przez zamek zajęło nam czterdzieści pięć minut. Jednak, choć sceneria była zachwycająca, to nie zamek przyciągał moją uwagę. Aria była znacznie piękniejsza od wszystkich dzieł powstałych z kryształu i światła. Pod koniec wycieczki zgasły światła i znaleźliśmy się sami w ciemnościach. Lodowe jaskinie i ściany oświetlał tylko księżyc.

– Chyba nie wiesz, że jeszcze tu jesteśmy – stwierdziła Aria.

– Jak dobrze, że mam „prawdziwą” kurtkę – powiedziałem. – Kto wie, czy nie spędzimy tu nocy.

Ku mojemu zaskoczeniu Aria wyglądała na lekko zaniepokojoną.

– Wiesz, jak stąd wyjść? – zapytała.

– Wiem. Tędy.

– Zaczekaj. – Chwyła mnie za rękę. Poczulem jej miękką i ciepłą dłoń oraz szczupłe i delikatne palce. Kiedy w końcu wyszliśmy z zamku, niechętnie rozluźniłem uścisk.

– To nie Daytona Beach, ale chyba ci się podobało? – zapytała, kiedy szliśmy do samochodu.

– Bardzo – odparłem. – I jestem pewien, że coś takiego nigdy nie powstanie w Daytona Beach.

– I dobrze. Z kolei w Midway nikt nigdy nie będzie surfował. Fajnie, że ci się podobało.

Zrobiło się późno i nie wiedziałem, co będzie dalej, jedynie to, że nie chcę, żeby ta noc się skończyła.

– Masz ochotę na drinka albo coś innego? – zapytałem.

– Nie piję alkoholu.

– Miałem na myśli gorącą czekoladę.

– Aha. – Uśmiechnęła się. – Chyba wszystko już pozamykane.

– Oprócz gospody – powiedziałem. – Moglibyśmy pojechać do Błękitnego Dzika. Zamilkła.

– Jeśli nie chcesz... – zacząłem.

– Chcę, tylko...

Nagle zrozumiałem jej opory.

– Zostaniemy w jadalni – dodałem.

Kiwnęła głową.

– Okej. Przepraszam, ale w tych sprawach jestem trochę staroświecka.

– A ja w tych sprawach jestem dżentelmenem.

Uśmiechnęła się.

– Dżentelmen. Prawie zapomniałam, jak ktoś taki wygląda.

*

Kiedy skręciliśmy na podjazd prowadzący do gospody, Aria zapytała:

– Wiesz coś o tej rzeźbie dzika?

– Nie, ale wydaje mi się jakby znajoma.

– To kopia rzeźby z Florencji we Włoszech. Inne repliki można spotkać na całym świecie, między innymi w Ogrodach Butchart w Wiktorii, stolicy Kolumbii Brytyjskiej. Ale naprawdę

fajne jest to, że tę rzeźbę można zobaczyć w filmie *Hannibal* oraz dwóch filmach o Harrym Potterze.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Od Raya. On dużo opowiada o gospodzie.

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Nie zauważyłem – zażartowałem.

Zaparkowałem na brukowanym podjeździe i wprowadziłem Arię do środka. W recepcji stała nieznaną mi kobietą. W jadalni było pusto, ale światła nadal się świeciły.

– Jest jeszcze ktoś w kuchni? – zapytałem.

– Niestety nie. Wszyscy poszli do domu.

– Chciałbym zrobić gorącą czekoladę.

– Na ladzie w małej restauracji stoi ekspres do kawy oraz taca z herbatą i kakao.

– Dziękuję.

Wziąłem z tacy serwetkę oraz kilka ciastek maślanych, po czym usiedliśmy przy oknie w mniejszej jadalni.

Wysunąłem krzesło dla Arii i zrobiłem dwa kubki gorącego kakao. Postawiłem je na stole.

– Przyjemna odmiana – powiedziała Aria.

– To znaczy?

– Przyjemnie być obsługiwaną.

Uśmiechnąłem się.

– Uważaj, jest gorące.

– Fajnie pachnie.

– Na opakowaniu jest napisane, że to miętowa czekolada. – Usiadłem naprzeciwko niej.

– O której musisz być rano w pracy? – zapytała.

– Mam ruchomy czas. A ty?

– Wcześniej.

– Pracujesz codziennie?

– Prawie. Ostatnio więcej z powodu świąt.

– Czyli dodatkowy zarobek?

– Nie. To znaczy tak, pieniądze zawsze się przydają, ale głównie chodzi o to, że inne kelnerki są bardzo zajęte przed świętami. Więc biorę ich zmiany.

– Szlachetnie z twojej strony.

– Nie myślę o tym w ten sposób. Nie mam jakoś przesadnie dużo pracy. A dodatkowa korzyść jest taka, że przed świętami klienci dają większe napiwki. – Upiła łyk kakao i natychmiast odstawiła kubek. – Ale gorące!

– Zaczekaj. – Poszedłem do holu i przyniosłem dwie kostki lodu. – Mogę?

Kiwnęła głową. Wrzuciłem jedną kostkę do jej kubka, a drugą do swojego.

– To powinno pomóc.

– Dziękuję.

– Pamiętasz tę kobietę, która pozwała McDonalda o miliony dolarów za to, że poparzyła się ich kawą?

– Pamiętam. Mogłabym pozwać cię o miliony, bo kakao jest za gorące?

– Niestety nie mam milionów.

– Ja też nie.

– Opowiedz mi o swoim imieniu. Musi się za tym kryć jakaś historia.

– Zawdzięczam je ojcu. Był muzykiem. Grał na skrzypcach, był drugim skrzypkiem w orkiestrze Minnesoty.

– Więc był dobry.

– Był bardzo dobry. Powiedział, że dał mi to imię, ponieważ aria ma ekspresyjną melodię, a chciał, żebym miała pełne ekspresji życie. Żebym nie była niczym akompaniamentem ani monotonną piosenką, ale stworzyła własną, oryginalną pieśń. Ze słownika dowiedziałam się, że znaczenie tego słowa z czasem się zmieniło. Dzisiaj to niezależny utwór na jeden głos. Co całkiem dobrze opisuje moje życie. – Ponownie zamieszała kakao i upiła drobny łyk. – Jest lepsze. – Znowu upiła łyk. – Myślisz, że nasze imię ma wpływ na to, jacy jesteśmy?

– Ta teoria ma swoją nazwę. Determinizm nominatywny.

– Trochę to straszne, że ją znasz.

– To teraz naprawdę cię przestraszę. Sławny psychiatra Carl Jung twierdził, że istnieje zbieżność między imieniem człowieka a jego dziwactwami... czy coś w tym stylu.

– Nie wystraszyłeś mnie. Jestem pod wrażeniem – powiedziała.

– Niedawno czytałem podręcznik biznesu właśnie na ten temat. Mowa w nim o badaniu poświęconemu imionom, z którego wynikało, że ponieważ ludzie skłaniają się ku rzeczom, które znają, pociągają ich też rzeczy podobne do ich imion. Jednym z przykładów ma być nadzwyczaj duża liczba dentystów o imieniu Dennis.

– To prawda?

– Tak napisano w tej książce. Jest tam wiele innych zaskakujących przykładów. Choćby słynny psychiatra o imieniu Angst[14].

Roześmiała się.

– Niemożliwe.

– Oraz meteorolog Blizzard[15] i ginekolog doktor Ovary[16]. A moim faworytem jest przewodniczący związku zawodowego o nazwisku Raymond Strike[17].

Znowu się zaśmiała.

– Zmyślasz.

– Chciałbym być taki utalentowany – powiedziałem. – No i jest oczywiście sławny poeta angielski William Wordsworth[18].

– Przekonałeś mnie. Jesteśmy tym, co znaczą nasze imiona lub nazwiska. Jestem arią.

– A ja czym?

– Alex? Nie mam pojęcia.

Upiłem spory łyk kakao.

– Wspomniałaś Minnesotę. Jesteś stamtąd?

– Z Wayzata w Minnesocie. Blisko jeziora Minnetonka.

– Pada tam śnieg?

– Mnóstwo.

– Pewnie dlatego tutaj śnieg ci nie przeszkadza.

– Tak, jestem przyzwyczajona. Nawet zahartowana. Na śnieg i zimno. W Minnesocie jest zimniej niż w Utah. – Potrząsnęła głową. – Pod wieloma względami.

Nie byłem pewien, jak mam rozumieć jej ostatnią uwagę.

– Jak to się stało, że trafiłaś do Midway?

Cicho jęknęła, jakby pytanie dotyczyło bolesnych wspomnień.

– Przyjechałam tu z mężem. Byłym mężem.

– Ray powiedział, że miałaś kawiarnię.

– Czas przeszły jest tu właściwy. Nie działała długo.

– Dlaczego przyjechaliście do Midway?

– Krótko po naszym ślubie zadzwonił kuzyn męża i powiedział, że otwiera kawiarnię w Utah. Zaproponował nam spółkę. Nie było go stać na płacenie pensji, więc naszą zapłatą miały być udziały. – Pokręciła głową. – Jest głupszy pomysł od kawiarni w Midway w Utah?

– A co w tym złego?

– Prawie trzy czwarte mieszkańców Midway to mormoni. A oni nie piją kawy.

– Czyli to tak, jakby sprzedawać rowery rybom.

– Właśnie.

– W takim razie dlaczego Utah?

– Kuzyn się przeliczył. Przeczytał w jakiejś książce o tym, jak powstał Starbucks, i postanowił odnieść równie wielki sukces. Myślał, że jest mądrzejszy od wszystkich. Zaczął szukać miast, w których jest najmniejsza konkurencja. Nigdy go nie zastanowiło, że istnieje powód, dla którego w Midway jest mało kawiarni. Ale muszę przyznać, że nazwa lokalu była dobra. Gorące Przebudzenie.

Roześmiałem się.

– I tak się stało.

– Dosłownie.

– I co z Gorącym Przebudzeniem?

– Jak interesy zaczęły źle iść, kuzyn winą obarczył męża i powiedział, że jesteśmy mu winni dziesięć tysięcy dolarów. Wdali się obaj w ostrą bójkę. Okładali się pięściami, obrzucali się filiżankami kawy. Jeden z klientów wezwał policję. Kuzyn i mąż zostali zaaresztowani. Musiałam wpłacić kaucję, żeby wydostać męża z więzienia. Po tym zdarzeniu Wade, mój były mąż, już nigdy nie wrócił do kawiarni. Przez jakieś pół roku głównie spał albo oglądał telewizję, albo grał w gry wideo. Pracowałam wtedy na cały etat Pod Jemiołą, ale musiałam brać dodatkowe zmiany, żeby starczyło na rachunki. Pewnego dnia Wade wpadł na pomysł, jak zarobić duże pieniądze. Zamierzał wypożyczać turystom skutery śnieżne. Powinnam być bardziej czujna, ale prawda była taka, że bardzo się ucieszyłam, że nareszcie chce coś robić. Był taki podekscytowany. Uwierzyłam, że mu się uda. Potrzebował stu tysięcy dolarów na rozkręcenie interesu, których oczywiście nie mieliśmy. Znalazł faceta, który miał kapitał. Nazywał się Chad Jakiś-Tam. Chyba Brown. Wade poznał go w kawiarni. Chad powiedział, że może nam załatwić te pieniądze, tylko najpierw musimy wpłacić dziesięć procent. Budził zaufanie. To znaczy, wyglądał trochę dziwnie, miał oczy blisko siebie jak pająk, ale nosił markowe ubrania, drogie okulary słoneczne i jeździł mercedesem. Miał wszystkie atrybuty bogactwa. Wiesz, o czym mówię?

Kiwnąłem głową.

– Znam ten typ.

– Zabrał nas do ładnej restauracji – ciągnęła Aria. – Prawdę mówiąc, do tej, w której teraz siedzimy. I powiedział: „Jeśli chcecie żyć na wielką skalę, musicie marzyć na wielką skalę”. I dodał, że większość firm pada nie z powodu złego pomysłu, ale z powodu niedoinwestowania. Więc powinniśmy planować dochody przynajmniej rzędu ćwierć miliona. Jeżeli damy mu z góry dziesięć procent, on da nam pełną sumę. Powiedziałam mu, że nie mamy tyle. A on na to, że to nie problem, mamy wziąć pożyczkę, którą spłacimy pieniędzmi, które on nam da. Następnego dnia wzięliśmy pożyczkę na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i daliśmy te pieniądze Chadowi.

– I już nigdy więcej go nie zobaczyliście.

– Zgadza się. Jakiś miesiąc później zniknął także mój mąż. Jakby się rozpląnął. Kiedy ostatnio o nim słyszałam, sprzedawał opony w Minneapolis. – Wzięła głęboki oddech. – Na nieszczęście pożyczka była na mnie. Nadal ją spłacam. I będę spłacać jeszcze wiele lat.

– Współczuję.

– Człowiek uczy się całe życie, prawda?

– Czasami tak – odparłem cicho.

– Opowiedz mi o sobie.

Wzięłem głęboki oddech.

– O sobie. Mieszkam w Daytona Beach prawie całe życie z wyjątkiem roku na uniwersytecie Północnej Florydy w Jacksonville. Przekonałem się wtedy, że college nie jest dla mnie. Tam też poznałem, na dobre i na złe, swoją żonę. Byliśmy małżeństwem przez sześć lat, ale rozwiedliśmy się rok temu.

– Co się stało?

– Nie wiem. To znaczy myślałem, że wiem. Początkowo uważałem, że powodem były moje częste wyjazdy. I może tak było na początku, ale ostatecznie znalazła sobie kogoś innego.

– Przykro mi.

– Mnie też. Chciałem, żeby nam się ułożyło.

– Masz przyjaciół?

– Kilku. Mój najlepszy kumpel ma na imię Nate. Pracujemy razem. Ale bardzo się różnimy.

– W jakim sensie?

– Nate jest wytrzymały. Jak kevlar.

– Kto to jest Kevlar?

Uśmiechnąłem się.

– Przepraszam. Kevlar to materiał, z którego robią kamizelki kuloodporne.

– Aha.

– Coś ci o nim opowiem. Przed wstąpieniem do marines Nate rozwoził pizzę. Pewnego wieczoru podszedł do niego jakiś typ, wyciągnął pistolet i powiedział: „Dawaj całą forszę”. Nate spojrział na broń. „Serio? Żeby mnie obrabować, wzięłeś trzydziestkę ósemkę? Tylko mnie strasznie wkurzysz”. Odwrócił się i odszedł. Opowiadał mi, że czekał, kiedy bandzior strzeli mu w plecy, ale tamten tego nie zrobił.

– Taki opanowany czy taki nierozsądny?

– Czasami granica jest cienka.

Roześmiała się. Potem ziewnęła.

– Jesteś zmęczona – powiedziałem. – Zrobiło się późno.

– Przepraszam. Miałam dzisiaj podwójną zmianę. Zaczęłam o piątej.

– Lepiej odwiozę cię do domu.

Kiedy szliśmy do tylnego wyjścia, minęliśmy obraz Pino. Przystanąłem.

– Zaczekaj – powiedziałem.

– Co się stało?

– Stań tutaj, obok obrazu.

Spojrzała na mnie, jakbym zwariował, ale zrobiła to, o co ją poprosiłem.

– Dlatego – powiedziałem.

– Dlatego co?

– Odkąd cię poznałem, zastanawiam się, dlaczego wydajesz mi się znajoma. Spójrz – wskazałem obraz – ona jest do ciebie podobna.

Aria przyglądała się przez chwilę.

– Trochę. No i wygląda jak kelnerka.

– Nie trochę, tylko bardzo – powiedziałem. – Jakbyś pozowała do tego obrazu.

– Nie jestem taka ładna jak ona.

– Jesteś ładniejsza. – W jej spojrzeniu zobaczyłem wdzięczność. – No dobrze. Muszę cię

odwieźć, zanim padniesz ze zmęczenia.

Zawiozłem ją pod restaurację i stanąłem obok jej samochodu, starego modelu jeepa wranglera, pokrytego grubą warstwą śniegu.

– Jestem zagrzebana.

– Nic się nie martw – powiedziałem. – Mam to. – Pokazałem jej swoją nową skrobaczko-miotełkę do śniegu. – Właściwie jestem już miejscowy. Chwileczkę. – Zostawiłem włączony silnik w swoim aucie i zacząłem omiatać jeepa. Na ziemi utworzyły się wielkie hałdy śniegu. Kiedy skończyłem, wróciłem do swojego samochodu.

– Dziękuję – powiedziała Aria.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnęła się słodko.

– Przyjemność? Naprawdę? Przecież nie znosisz zimna. – Chwyciła moje wilgotne, zgrabiące dłonie i popatrzyła na nie. – Nie masz rękawic?

– Mam rowerowe. Na Florydzie.

Zacząła rozcierać moje ręce. Potem uniosła je i pochuchała na nie ciepłym oddechem.

– Chyba je uratowałam.

– Dziękuję.

– To ja ci dziękuję. Spędziłam naprawdę miły wieczór.

– Ja też – zapewniłem. – Pracujesz jutro?

– Tak. Kolejna podwójna zmiana.

– To zobaczymy się przy kolacji.

– Fajnie. – Patrzyła na mnie trochę spięta. – Chcesz coś robić po pracy?

– Chętnie, ale nie będziesz zbyt zmęczona?

– Na pewno, ale chcesz coś robić?

– Tak. Na co miałabyś ochotę? Oprócz snu.

Zastanowiła się i odparła:

– Zaskoczę cię. Dobranoc. – Pocałowała mnie w policzek i wysiadła. Odwróciła się do mnie. – Wiesz, kiedy ostatnio mężczyzna odsunął mi krzesło albo zmiotł śnieg z mojego auta?

– Nie mam pojęcia.

– No właśnie. Ja też nie. – Zamknęła drzwi i poszła do swojego auta.

Zaczekałem, aż odjedzie, i dopiero potem ruszyłem. W drodze powrotnej do gospody uświadomiłem sobie, że coraz mniej zależy mi na odnalezieniu LBH.

[14] *Angst* (ang.) – lęk, obawa.

[15] *Blizzard* (ang.) – śnieżycyca, zadymka, zamieć.

[16] *Ovary* (ang.) – jajnik.

[17] *Strike* (ang.) – strajk.

[18] *Wordsworth* (ang.) – godzin słów.

Rozdział 24

L iczyłem, że nazajutrz przy śniadaniu spotkam się z Rayem, ale się nie pojawił. Chciałem porozmawiać z nim o Arii. Kiedy zamierzałem wyjść z jadalni, zagadnęła mnie Lita.

– Dzień dobry, panie Bartlett. Jak panu mija pobyt?

– Świetnie. A gdzie się podziewa Ray?

– Pojechał do wnuków w Salt Lake City. Wraca jutro. Miłego dnia! – rzuciła i szybko podeszła do recepcji, przy której stanął gość.

Wróciłem do pokoju i przebrałem się. Zaplanowałem przynajmniej trzy wizyty: u Laurie Heger, Lisy Hewitt i Louise Higham.

*

Mieszkanie pierwszej z pań, Laurie Heger, znajdowało się około pięciu kilometrów od domu kultury – kawał drogi do przejścia dla uczestników Dni Szwajcarii. Poza tym jej okna wychodziły na stronę przeciwną do parku. Nie potrafiłem wyobrazić sobie tłumów osób obok jej domu w drodze do parku. Amerykanie nie chodzą tak daleko. Jeśli coś jest dalej niż pięć minut pieszo, to jedziemy autem. Europejczycy chodzą tak daleko, ale udział w Dniach Szwajcarii nie czyni z Amerykanina Szwajcara.

Zapukałem, ale nikt nie otworzył. Mimo że nie poznałem Laurie Heger, skreśliłem ją z listy.

*

Pojechałem pod kolejny adres. W odróżnieniu od poprzedniej pani Lisa Hewitt mieszkała tylko niecały kilometr od domu kultury. Na podjeździe młoda kobieta zmiatała śnieg z samochodu. Przyglądała się, jak parkuję, i widząc, że wysiadam, wrzuciła miotłkę do auta i podeszła do mnie. Ocenilem, że jest przed trzydziestką.

– Dzień dobry! – powiedziała przyjaznym tonem.

– Dzień dobry, szukam Lisy Hewitt.

– To ja.

Wydawała się bezpośrednia, więc od razu przeszedłem do sedna sprawy.

– Jestem Alex. Nie mieszkam w Midway. Próbuję odnaleźć pewną kobietę. Jest blogerką.

– Super. A o czym jest jej blog?

Zastanowiłem się. Nie chciałem powiedzieć, że o samotności, bo miałem awersję do tego słowa.

– Refleksje o życiu, tego typu rzeczy.

– Super – powtórzyła. – Jak mogę ci pomóc?

– Pomyślałem, że może to ty.

Wybuchnęła śmiechem.

– Wykluczone! Nie znoszę pisać. Napisanie jednego akapitu z angielskiego w college’u zajmowało mi godzinę.

– Więc nie jesteś blogerką.

– Nie. Ale zaglądam na kilka blogów. Czytałeś Allie Brosh? Jest przezabawna.

– Ma taki dziwny rysunek czegoś podobnego do ryby?

– Tak, to ona! Super, że ją kojarzysz. – Zrobiła krok w tył i wskazała dłonią swój samochód z włączonym silnikiem. – Muszę jechać do pracy. Obyś znalazł swoją blogerkę! –

Odwróciła się i wróciła do auta. Pomachałem jej, gdy odjeżdżała.

Poszło łatwo, pomyślałem. Kolejne na liście ciach[19].

*

Następna pani, Louise Higham, mieszkała cztery przecznice na północny zachód od restauracji Pod Jemiołą. Jej dom był zaniedbany i od dawna niemalowany.

Dzwonek przy drzwiach był zaklejony srebrnoszarą taśmą, więc zapukałem. Po chwili usłyszałem kroki, drzwi się otworzyły i zobaczyłem potężną kobietę w średnim wieku w szlafroku. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Słucham?

– Dzień dobry. Szukam Louise Higham.

Nie odpowiedziała. Zapadła niezręczna cisza.

– Czy pani ma na imię Louise? – zapytałem.

– Nie. Louise mieszka na dole. Wejście od tyłu.

Spojrzałem w bok, żeby zobaczyć, czy wokół domu prowadzi jakiś chodnik. Jeśli tak, to był zasypany śniegiem.

– Tam jest osobne wejście?

– Tak. Będzie pan musiał otworzyć bramę.

– Wie pani, czy Louise jest w domu?

Wychyliła się, żeby spojrzeć na wiatę.

– Widzę jej samochód, więc chyba jest. Ale nie gwarantuję, że otworzy.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Tylko niech pan nie wypuszcza psa.

Zamknęła drzwi, nie pożegnawszy się. Obszedłem dom i zobaczyłem wysoki płot ze sztachet. Gdy odsunąłem rygiel, natychmiast rozległo się szczekanie. Uchyliłem bramę na kilka centymetrów, żeby zajrzeć do środka, ale głównie żeby sprawdzić, jaki to pies. Na krytym patio stała suczka collie średniej wielkości w miodowym kolorze. Sierść i podbrzusze miała białe od śniegu. Nie przestawała szczekać, ale nie zeszła z suchego betonu.

Podwórze było całkowicie zasypane śniegiem. Pchnąłem bramę ramieniem, żeby móc się przecisnąć. Suczka biegła po patio i czekała jak oszalała.

– No chodź, sunia – powiedziałem, pochylając się i wyciągając do niej rękę. Podbiegła, skacząc w śniegu jak gazela. Oparła się o mnie ośnieżonymi łapami. Przykucnąłem i przez chwilę ją drapałem za uchem, po czym wyprostowałem się i podszedłem do betonowych schodów z boku domu, nad którymi ze ściany wystawał plastikowy daszek. Suczka ruszyła za mną. – Zostań! – powiedziałem.

Posłuchała.

Chwyciłem zimną metalową poręcz i ostrożnie wszedłem po oblodzonych schodach. Gdyby nie daszek, schody można by wziąć za górskie zbocze. Wyglądało na to, że od pewnego czasu nikt nie wchodził do domu ani z niego nie wychodził. Na podeście stały trzy plastikowe worki na śmieci. Jeden z nich był częściowo otwarty i wysypywała się z niego zawartość – głównie puszki po piwie i butelki po alkoholu.

Nie było dzwonka, więc zapukałem. Po kilku minutach drzwi otworzyła podpita kobieta o czerwonej twarzy. Była niemalowana i po jednej stronie głowy miała zmierzwiłone włosy. Niezapięta bluzka odsłaniała biustonosz. Z głębi domu dobiegła mnie woń kotów albo innych zwierząt.

– Czego chcesz? – zapytała bełkotliwie.

– Szukam Louise Higham.

– Czego chcesz?

Ze względu na jej stan postanowiłem mówić wprost.

– Szukam blogerki.

– Czego?

Patrzyła na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem, więc dodałem:

– Kogoś, kto ma bloga.

– Nie interesuje mnie joga.

Nie było sensu dalej tłumaczyć.

– Okej. Dziękuję.

Zamknęła drzwi.

Przed opuszczeniem podwórka poklepałem suczkę i pamiętałem, żeby zamknąć bramę.

[19] Parafraza tytułu piosenki *Another One Bites the Dust* Queen (pol. *Kolejny poszedł w piach* albo *Kolejny gryzie piach*).

Rozdział 25

P rzejrzawszy listę, postanowiłem jeszcze raz sprawdzić dom w stylu szwajcarskim, do którego pojechałem poprzedniego dnia – ten, który był wystawiony na sprzedaż.

Tym razem przed budynkiem stał samochód. Kiedy wszedłem przez bramę, natychmiast powitał mnie głos masywnej rudowłosej kobiety:

– Halo!

– Pani Lindsey Harman? – zapytałem.

– Nie, pani Harman już się wyprowadziła. Jestem Gloria z biura nieruchomości Keller Williams. Chciałby pan obejrzeć dom?

– Nie, przyjechałem zobaczyć się z Lindsey. Chciałem porozmawiać o jej blogu.

– Nie wiedziałam, że ma bloga.

– Wie pani może, kiedy wróci?

– Nie wróci. Przeprowadziła się do St. George ze swoim chłopakiem.

– Aha. – Ostatnie zdanie zawierało informację, której potrzebowałem. – W porządku.

Dziękuję za pomoc.

– Drobiazg. Może coś jej przekazać, kiedy będę z nią rozmawiać?

Odwrociłem się.

– Jasne. Proszę jej powiedzieć, że niech tak trzyma.

*

Zostały cztery nazwiska. Nie był to jednak dobry znak. Podczas podróży, kiedy czekałem na lotnisku na odbiór swojego bagażu, próbowałem zgadnąć, kiedy pojawi się moja walizka. Przekonałem się, że jeśli nie pojawiła się przed ostatnią dziesiątką, istniało duże prawdopodobieństwo, że nie zobaczę jej w ogóle i będę musiał stanąć w kolejce udręczonych pasażerów zgłaszających zaginięcie bagażu. Jakie było prawdopodobieństwo, że LBH jest jedną z czterech ostatnich kobiet? A może los sobie ze mnie zakpił?

*

Byłem blisko restauracji Pod Jemiołą, jednak nie chciałem się zbyt narzucać Arii, pojechałem więc dwie przecznice dalej, do baru, na kanapkę z kurczakiem, frytki i colę. Po powrocie do gospody sprawdziłem wiadomości w telefonie. Zadowolony, że nie przyszło nic, co kosztowałoby mnie utratę pracy, położyłem się i zasnąłem. Oprócz tego koszmarnego miesiąca po odejściu Jill nigdy w życiu tak często nie spałem. Może powodem była wysokość nad poziomem morza. A może w końcu dopadło mnie zmęczenie milionami kilometrów podróży.

Przyjechałem do Pod Jemiołą koło dziewiętnastej. Parking nie był specjalnie zastawiony, ale w restauracji było tłoczno. Absurdalnie tłoczno. Wszystkie stoliki i boksy były zajęte, a przy tablicy „PROSZĘ CZEKAĆ NA WOLNE MIEJSCE” stało ponad dwadzieścia osób.

Aria, która uwijała się między stolikami i boksami, zauważyła mnie dopiero, kiedy podeszła, żeby zaprowadzić na wolne miejsca kolejnych gości. Posłała mi zmęczony uśmiech.

– Bardzo mi przykro, ale jesteśmy zapchani. Jeśli to ci nie przeszkadza, usiądź przy kontuarze.

– Dzięki.

Stojący obok mnie mężczyzna zwrócił się do niej ze złością:

– Bardzo panią przepraszam, ale my byliśmy pierwsi!

Arii nie drgnęła nawet powieka.
– Przepraszam, ale ten pan ma rezerwację. Mają państwo rezerwację?
Mężczyzna patrzył na nią zaskoczony.
– Zaraz się państwem zajmę – dodała Aria.
– Robiłaś to już wcześniej – powiedziałem do niej, kiedy odeszliśmy kilka kroków od kolejki.
– I to nie raz.
Usiadłem przy kontuarze. Kilka minut później Aria przyniosła mi lemoniadę bez soku.
– Przepraszam. Zapanowało istne szaleństwo.
– Dlaczego?
– W domu kultury odbywa się zjazd szopników. Przyjechali autobusem i przyszli do nas coś zjeść.
– Kim są szopnicy?
– Kolekcjonerami szopek bożonarodzeniowych.
Wzruszyłem ramionami. Nigdy nie słyszałem słowa „szopnik”.
Aria wzięła głęboki oddech.
– Jeśli chodzi o dziś wieczór...
Serce mi zamarło. Biorąc pod uwagę sytuację w restauracji, pomyślałem, że zamierza odwołać spotkanie. Nie miałbym jej tego za złe.
– ...prawdopodobnie spóźnię się pół godziny. Nadal chcesz się spotkać?
– Oczywiście. Jesteś pewna, że dasz radę?
– Na pewno.
– To świetnie. Jesteśmy umówieni – powiedziałem.
*

Z oczywistych powodów nie rozmawialiśmy dużo, choć Aria uśmiechała się do mnie w przelocie. Kiedy skończyłem jeść, dałem jej znak ręką. Podeszła zdyszana.
– Jak ci smakowało? – zapytała.
– Thelma jest dobrej formie.
– Ona zawsze jest w dobrej formie. – Wzięła głęboki oddech. – Zapomniałam ci coś powiedzieć o wieczornym spotkaniu. Zabierz strój kąpielowy.
– Będziemy pływać?
– Coś w tym rodzaju. I zabierz szlafrok albo płaszcz kąpielowy, bo zmarzniesz. – Uśmiechnęła się. – Do zobaczenia o wpół do dwunastej.
Szlafrok?

Zamiast wrócić prosto do gospody, postanowiłem trochę pozwiedzać miasto i pojechałem na wschód do Heber. Heber jest większe od Midway i przez jego centrum biegnie czteropasmowa autostrada. Po jej obu stronach mieszczą się liczne firmy i restauracje.

Oprócz dekoracji typowych dla branży danej firmy oraz lampek wiszących na drzewach ulicę zdobiły ogromne świąteczne łańcuchy, które zwieszały się nad skrzyżowaniami. Do ulicznych lamp przymocowano wielkie podświetlone lizaki z plastiku. Widok świątecznie wystrojonego miasta sprawiał mi przyjemność. Bożonarodzeniowa Ameryka!

Zatrzymałem się, żeby kupić kilka drobiazgów: dezodorant, krem do golenia i golarki. Potem wróciłem do gospody.

Kwadrans po jedenastej włożyłem kąpielówki, wziąłem gruby hotelowy szlafrok frotté i buty. Przez chwilę myślałem, żeby na szlafrok włożyć kurtkę, ale uznałem, że wolę umrzeć z zimna, niż wyglądać jak głupek. Zszedłem na parter i podałem klucz Claudii w recepcji.

– Wrócę za kilka godzin – powiedziałem.

– Wychodzi pan w szlafroku?

– Przyniosę go z powrotem.

– Nie to miałam na myśli – wyjaśniła, unosząc brwi. – Jest przenikliwie zimno. Niech się pan trzyma ciepło.

– Nic pewnego – powiedziałem.

Kiedy otworzyłem drzwi, uderzyło mnie rześkie, mroźne powietrze. Skóra twarzy zapiekła mnie jak po siarczystym policzku. Szybko podszedłem do auta i wsiadłem. Przez szlafrok poczułem chłód siedzenia. Jak na Antarktydzie, pomyślałem. Wycieraczki przedniej szyby były całkowicie oblodzone, więc zapaliłem silnik, włączyłem nawiewy przedni i tylny i czekałem prawie dziesięć minut, aż szyby odtają. Kiedy byłem w stanie zobaczyć drogę, ruszyłem do restauracji.

Przyjechawszy na miejsce, zobaczyłem białego jeepa Arii przy dalszym krańcu parkingu. Silnik pracował na biegu jałowym, o czym świadczyły kłęby dymu i pary wydobywające się z rury wydechowej. Kiedy podjechałem, Aria wysiadła. Nie miała na sobie szlafroka, ale długą dwurzędową kurtkę, spod której było widać jej nagie nogi. Na bosych stopach miała tylko klapki.

– Nie jest ci zimno? – zapytałem, wysiadając z samochodu.

– Przeraził mnie – odparła, uśmiechając się. – Sztuka polega na tym, żeby nie zwracać uwagi na ból.

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziałem. – Wycieraczka przymarzła do przedniej szyby.

– Nic się nie stało. Ładny szlafrok.

– Dzięki. Z gospody.

– Wiem. Jest na nim głowa dzika.

– Słuchaj, nie mogliśmy się przebrać w stroje kąpielowe tam, dokąd jedziemy?

Przechyliła głowę na bok.

– Mogliśmy, ale za mało cię znam. No dalej, wsiadaj. Ja prowadzę.

Zająłem miejsce dla pasażera w jej jeepie. Zauważyłem, że tylne boczne okno jest wybite i zaklejone plastikowym workiem na śmieci. Dla utrzymania znośnej temperatury ogrzewanie pracowało na cały regulator, głośno wydmuchując gorące powietrze.

– Przepraszam za bałagan w samochodzie. Nie miałam czasu posprzątać.

– Jak wybiłaś okno?

– Jakieś dzieciaki rzuciły w nie śnieżką.

– Kiedy?

– W zeszłym roku.

Wjechała na Main Street, która, jak można się było spodziewać, była pusta. Skierowaliśmy się na zachód i po niecałym kilometrze zjechaliśmy w ciemną boczną drogę częściowo zasypaną śniegiem. Droga wydawała się prowadzić w stronę gór. Nigdzie nie zauważyłem żadnego budynku, w którym można by pływać.

Minęliśmy zagajnik bezlistnych drzew, za którym rozciągała się ogromna, zaśnieżona łąka.

– Latem rosną tu wszędzie słoneczniki – powiedziała Aria. – Piękny widok. Uwielbiam słoneczniki.

– Ja też. – Przypomniałem sobie, jak podarowałem Jill bukiet słoneczników na jej dwudzieste ósme urodziny. Zapytała, dlaczego dałem jej chwasty.

– Tą drogą jedzie się do miejsca, gdzie kiedyś wycinaliśmy choinki.

- Można je ścinać samemu?
- Tak. Trzeba mieć zezwolenie, ale łatwo je dostać, a drzewka są niedaleko.
- Zawsze chciałem to zrobić.
- To dlaczego nie robisz?
- W Daytona Beach nie ma zbyt wielu choinek.
- Fakt, ale można tam znaleźć rozgwiazdę na czubek drzewka.

Około dwustu metrów od miejsca, w którym skręciliśmy, rósł kolejny zagajnik. Aria zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. Zarzęził raz niczym w agonii i zgasł.

- Jesteśmy na miejscu.

Rozejrzałem się po ośnieżonej okolicy. W zmrożonym, bielutkim śniegu odbijało się ostre światło księżyca.

- Dokąd przyjechaliśmy?

– Do cieplicity. – Wzięła ręcznik z tylnego siedzenia, otworzyła drzwi i wysiadła. Chwilę później ja też stanąłem na drodze, która zdawała się prowadzić przez tundrę. Poczułem, jak mróz kąsa moje nagie stopy. Słyszałem tylko pstrykanie stygnącego silnika jeepa i chrzęst śniegu pod klapkami Arii. Śnieg sięgał prawie do dolnej krawędzi jej okrycia.

Szła w kierunku wzgórza, które znajdowało się około sześćdziesięciu kroków od jeepa. Na szczycie wzniesienia śnieg się topił, odsłaniając porowate bryły skał, a z krateru buchała para, która w lodowatym powietrzu gęstniała, przywodząc na myśl dym z ogniska.

Gorące źródło było ogrodzone drucianym płotem oraz obstawione licznymi tablicami z napisem „ZAKAZ WSTĘPU”, przed którymi miałem respekt od wizyty u tej szalonej baby z gazem pieprzowym.

Aria odciągnęła drucianą siatkę z taką wprawą, jakby robiła to setki razy.

Rozejrzałem się dookoła.

- Czy to legalne?
- Zależy, co rozumiesz przez „legalne” – odparła.
- Czy możemy zostać zaarrestowani?
- Nie. To małe miasto.

Kiwnąłem głową.

- Okej, zgoda.

– Właściciel może nas zastrzelić za wtargnięcie. Ale lubisz ryzyko, prawda? – Weszła do środka, rozwinęła ręcznik, po czym zdjęła kurtkę i starannie złożyła ją na kamieniu. Miała na sobie czarne bikini, które podkreślało jej niesamowicie zgrabne ciało. Dobrze się maskowała strojem służbowym, ponieważ nie miałem pojęcia, że jest aż tak piękna.

Najwyraźniej zauważyła moje oczarowanie, bo uśmiechnęła się.

- No co? Idziesz? Czy boisz się... wtargnąć?

Wyglądała tak, że przegryzłbym dla niej cały płot i wszystkie tablice zakazujące wstępu.

- Idę.

Ruszyłem za nią po skałkach. Wierzchołek wzniesienia miał szorstką, wielowarstwową strukturę podobną do muszli ostrygi. Aria zdjęła klapki, ostrożnie zsunęła się w dół krateru i stanęła na małej półce około metra poniżej krawędzi. Uśmiechnęła się do mnie, po czym weszła do wody. Wydała z siebie głośne westchnienie.

- Chodź! Jest cudownie.

Spojrzałem w parujący krater. Ciemny zbiornik zdawał się nie mieć dna i w powietrzu unosił się ostry zapach siarki.

- Już idę!

Zdjąłem szlafrok i położyłem go na kamieniu obok kurtki Arii. Usiadłem na szlafroku,

zsunąłem buty i postawiłem je obok jej kłapek. Podeszedłem do krawędzi.

– Tędy się schodzi? – zapytałem.

– Uhm.

Zacząłem się zsuwać, ale poślizgnąłem się i wpadłem do wody. Wynurzyłem się, parszkając.

– Efektowne zejście – powiedziała Aria, a jej głos odbił się echem od skalistych ścian. – Ale nie musiałeś aż tak się starać, żeby zrobić na mnie wrażenie.

– Grunt, że jesteś pod wrażeniem.

Woda była gorąca, ale niezbyt przyjemna. Podpłynąłem do Arii. Trzymała się wąskiej półki skalnej. Jakies dwa metry od niej znajdowała się drabina sznurowa domowej roboty. Najwyraźniej wisiała tam już od jakiegoś czasu, bo była biała od osadzających się minerałów.

– Terapia dla ciała – powiedziała Aria. – Idealna po całym dniu pracy na nogach.

– Jaka to skała?

– Wapień. Krater powstał z minerałów zawartych w wodzie. Dokładna nazwa tej skały to tuf. Zapamiętałam, bo jest podobna do tofu. Nazwa, nie smak.

– Na pewno smakuje lepiej od tofu – stwierdziłem i dodałem: – Nie znoszę tofu. – Podpłynąłem i oparłem się o drabinę. – Dużo osób wie o tym miejscu?

– Miejscowi. Ale oni tu nie przychodzą.

– Bo dostaną kulkę?

Uśmiechnęła się.

– Możliwe. – Po chwili powiedziała: – Właściciel tej ziemi jest jednym z moich klientów. Co rano serwuję mu szynkę i jajka na miękko na pszennym toście. Powiedział, że mogę tu przychodzić, kiedy chcę.

– Więc to, co mówiłaś o strzelaniu...

– Tylko żartowałam.

– Żartowałaś czy sprawdzałaś?

– Zdecyduj sam. Nadal ci zimno?

– Nie. Jak gorąca jest woda?

– Większość cieplic w Midway uważa się za ciepłe, nie gorące. Ta woda ma trzydzieści sześć stopni, trochę poniżej temperatury ciała. – Podpłynęła do mnie. – Obróć się.

– Po co?

– Zadajesz za dużo pytań. Zaufaj mi.

– W porządku. – Odwróciłem się do niej plecami.

– Teraz chwyć się drabiny.

Uczepiłem się drabiny i oparłem czołem o szczebel. Aria położyła dłoń na moim karku i zaczęła masować. Woda miała żelowatą konsystencję, dzięki której jej dłoń gładko sunęła po mojej skórze.

– I jak? – zapytała.

Cicho jęknąłem z rozkoszy.

– Rozumiem, że ci się podoba.

– I to bardzo.

Po chwili odwróciłem się i spojrzałem jej w oczy.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale od bardzo dawna nie było mi tak dobrze.

– Mnie też nie.

– I myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą świata.

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że ty też jesteś piękny. – Przynęła się. – Bardzo.

- Mam pytanie związane z twoją pracą.
- Właśnie o tym myślisz w tej chwili?
- To ważne pytanie. Czy twoi klienci zawsze próbują cię pocałować pod jemiolą?
- Jakże to ma znaczenie?
- Zadajesz za dużo pytań – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Tylko nieodpowiedni klienci – odparła.
- A co by się stało, gdybym to ja spróbował?
- Nie wiem. Przekonaj się.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Potem pochyliliśmy się ku sobie. Nasze usta się spotkały, przylgnęły do siebie najpierw delikatnie, a potem z eksplodującą żarliwością.

Jedną rękę przełożyłem przez drabinę, a drugą objąłem wąską talię Arii, przyciągając ją do siebie. Oplotła mnie ramionami. Od bardzo dawna nie czułem nic bardziej rozkosznego od dotyku jej delikatnego ciała i miękkich warg.

Nie wiem, jak długo się całowaliśmy, kiedy ktoś zawołał:

- A wy co tu robicie?!

Spojrzelśmy w górę. Nad krawędzią stał starszy mężczyzna w skórzanej ranczerskiej kurtce z frędzlami i w kowbojskim kapeluszu. W ręce trzymał strzelbę.

Aria odplynęła ode mnie na środek zbiornika.

- Cał, to ja, Aria.

Mężczyzna pochylił się i zmrużył oczy.

- Aria?

- Tak, to ja.

Nie wyglądał na uradowanego. Opuścił strzelbę.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że to ty. Dzwonił Earl Belnap i powiedział, że mam w dołku jakichś hippisów.

Hippisów w dołku?

Spojrzał na mnie i jego wzrok stwardniał.

- A co to za chłopak?

- Alex. Mój znajomy.

- Miło pana poznać – powiedziałem.

Zignorował mnie i zwrócił się do Arii:

- Na pewno nie chcesz, żebym go zastrzelił?

Nie byłem pewien, czy mówi poważnie. Możliwe, że nie żartował. Aria stłumiła śmiech.

- Nie. Nie tym razem – powiedziała. – Dam ci znać, gdyby coś się zmieniło.

- No dobrze – mruknął, nadal trochę naburmuszony. – Tylko nie utońcie ani nic takiego.

- Dzięki, Cal. Kocham cię.

– Noo – mruknął przeciągle. Powoli odsunął się od krawędzi, mamrocząc coś pod nosem i wymachując strzelbą jak biegacz pałeczką podczas sztafety.

Aria obróciła się do mnie.

- Myślałeś, że cię zastrzeli, co?

- Może.

- Byłoby warto?

- Co byłoby warto?

- Dać się zastrzelić, żeby mnie pocałować.

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Zdecydowanie.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Podpłynęła i przylgnęła do mnie.
– To na czym skończyliśmy?
Objąłem ją i znów zaczęliśmy się całować.

Rozdział 26

Pół godziny później Aria powiedziała:

- Możemy pojechać do mnie.
- Nie jesteś zbyt zmęczona?
- Właśnie dostałam zastrzyk energii.

Wydostaliśmy się z krateru. Woda na naszych ciałach parowała w mroźnym powietrzu. Na szczęście Aria domyśliła się, że nie przyjdzie mi do głowy, żeby zabrać ręcznik, i wzięła dwa. Szybko wytarłem się jednym z nich i otuliłem się szlafrokiem. Włożyliśmy buty i zeszliśmy do jeepa.

- Prowadź – powiedziała Aria.
- Dokąd mam jechać?
- Pokażę ci. Na razie jedź w kierunku restauracji.

Zawróciłem na trzy i ruszyłem w stronę miasta. Kierując się wskazówkami Arii, minąłem restaurację i jakieś pół kilometra dalej, za stacją benzynową przy Main, zatrzymałem się przed domem dwurodzinnym.

- Tu mieszkasz?
- Yhm. Niski czynsz.
- Masz blisko do pracy.

– Tak. Zwykle idę pieszo, chyba że jest ślisko albo pracuję do późna. – Przekręciła klucz w zamku i weszliśmy do środka. Mieszkanie było skromnie urządzone, ale schludne – kilka krzeseł, prosta czarna sofa przy prostokątnym stoliku do kawy.

Po jednej stronie, pod ścianą, na biurku stał starszy model komputera.

Na ścianie wisiał oprawiony w ramkę cytat:

NIE KAŻDY BŁĄDZI, KTO WĘDRUJE[20]

- Mądre – powiedziałem.
- Kiedyś myślałam, żeby to sobie wytatuować.
- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Uśmiechnęła się.

– Nie chciałam tatuażu. – Wyszła z pokoju i po chwili wróciła przebrana w dres. – Napiłbyś się herbaty ziołowej?

- Tak, chętnie.
- Mam miętę i rumianek.
- Po rumianku zasnę.
- W takim razie mięta.

Zagotowała wodę w czajniku i po chwili postawiła na stoliku dwa kubki. Spróbowałem naparu.

– Chciałbym zadać ci pytanie – powiedziałem, kiedy usiadła. – Mam nadzieję, że nie będzie zbyt osobiste.

- Tak?
 - Dlaczego po odejściu Wade'a nie wróciłaś do Minnesoty?
- Opuściła wzrok.

- To nie wchodziło w grę – odparła po chwili.
- Dlaczego?

– Bo tam jest moja matka. – Widziałem, że było to dla niej trudne wyznanie.

– Nie dogadujesz się z nią?

– Nie. – Upiła łyk herbaty i odstawiła kubek. – Mama była psychicznie chora. Zdiagnozowano u niej schizofrenię, ale nie chciała żadnej pomocy ani nie brała leków. Kiedy miałam siedem lat, zaczęła rozpowiadać, że tata wykorzystuje mnie seksualnie – moim nauczycielom, sąsiadom, naszemu pastorowi. W końcu zjawiała się policja i go zaaresztowała. Mama wmawiała mi, że mężczyźni są źli. Kazała mi powiedzieć policji, że tata mnie wykorzystywał, choć to nie była prawda. – Aria pokręciła głową. – Była chora. A tata był dobrym człowiekiem. Nawet po tym, co naopowiadała, próbował jej pomóc. Próbował chronić mnie przed nią. Złożyła pozew o rozwód i wniosek o sądowy zakaz zbliżania się do mnie. Nie wiem, jak uzyskała ten zakaz. W naszym kraju prawo nie staje po stronie ojców. Sądy zakładają, że są winni, dopóki nie udowodnią, że są niewinni. A ja zeznałam przeciwko niemu... – W jej oczach pojawiły się łzy. – Zdradziłam jedyną osobę, która mnie chroniła.

Na myśl, że złożyła fałszywe zeznanie przeciwko ojcu, zrobiło mi się niedobrze, ale wiedziałem, że to nie była jej wina. Winę ponosiła jej matka.

– Byłaś zbyt mała, żeby wiedzieć, co robisz – powiedziałem.

Otarła łzę z policzka.

– Ojca nie uznano za winnego. Ale wyjechał. Po tej sprawie matce jeszcze bardziej się pogorszyło. Nie mogła dręczyć ojca, więc zaczęła szukać ofiary gdzie indziej. Nabrała przekonania, że jesteśmy szpiegowane. Powiedziała, że wszystkie czerwone światełka w domu oznaczają, że nasze ruchy są śledzone przez CIA, FBI oraz inną tajną organizację, której nazwy nie mogła ujawnić. Co wieczór obchodziliśmy po ciemku cały dom i wyłączałyśmy z prądu wszystkie urządzenia z lampkami: kuchenkę mikrofalową, zegary, wszystko. Mama twierdziła, że agenci mogą puścić wiązkę lasera przez te lampki i zapanować nad naszymi umysłami. Przeczytała gdzieś, że rząd dodaje substancje chemiczne do paliwa silników odrzutowych, więc smugi na niebie po przelocie tych samolotów to w rzeczywistości trucizna, która spada na nas, żeby zrobić nam pranie mózgu.

– Kiedy przejrzałaś na oczy?

– Pomógł mi w tym mój pierwszy chłopak. Miałam czternaście lat, on siedemnaście. Śmiał się, kiedy powtarzałam mu rzeczy opowiedane przez matkę. Nie był pierwszą osobą, która powiedziała mi, że mama zwariowała, ale pierwszą, której uwierzyłam. I potem zdarzyło się coś, co naprawdę otworzyło mi oczy. W tamtym czasie to ja przygotowywałam wszystkie posiłki. Któregoś wieczoru po kolacji usłyszałam, jak mama dzwoni pod numer awaryjny z informacją o zatruciach. Powiedziała, że została otruta. Po rozmowie pobiegła do sklepu i kupiła węgiel leczniczy. Musiała połknąć go bardzo dużo, bo zaczęła wymiotować, aż straciła przytomność. Zadzwoiłam po karetkę. Przyjechali ratownicy i zabrali ją na sygnale. Kiedy odzyskała przytomność, powiedziała lekarzom, że ją otrułam. Lekarze zorientowali się, że jest chora, i sprowadzili psychiatrę. Po badaniu lekarz wziął mnie na bok i powiedział, że mama ma schizofrenię oraz osobowość typu borderline. – Aria wzięła głęboki oddech. – Problem polegał na tym, że kiedy szaleństwo było normą, norma wydawała się szaleństwem. Musiałam przebudować swój cały świat.

– Masz rodzeństwo?

– Dzięki Bogu ani brata, ani siostry. Też mieliby namieszane w głowach. Miałam wielu chłopaków. Ale udzieliła mi się paranoja mamy. Próbowałam dopasować się do paradygmatu, który mi zakodowała, że mężczyźni są źli, i szukałam tych złych, agresywnych i podłych. Myślę, że starałam się udowodnić, że mama miała rację, bo w ten sposób ratowałam swój świat. – Spojrzała na mnie. – Pewnie myślisz, że jestem szurnięta, co?

– Nie. Myślę, że jesteś silna.

– Dziękuję. Tak więc kiedy miałam szesnaście lat, wprowadziłam się do Wade’a i pobraliśmy się w dniu moich osiemnastych urodzin. Pół roku później kuzyn Wade’a zaproponował mu pracę w Midway w Utah i tak się tu znalazłam.

– I tu jesteś.

– I ty też – powiedziała, dotykając mojej ręki. Wzięła głęboki oddech. – Zapytałeś mnie wczoraj, dlaczego czekałam przed restauracją.

– Zgadza się.

– Mieszkaliśmy z Wade’em kilka kilometrów na północ stąd. Mieliliśmy tylko jeden samochód, więc podwoził mnie do pracy i spod pracy zabierał. Wpadał w szał, jeśli nie czekałam na niego na zewnątrz. Czasami spóźniał się prawie godzinę. Marzłam do szpiku kości. – Powoli pokręciła głową. – Łatwo się złościł.

– Współczuję.

– Cieszę się, że wyjechał z miasta.

Uścisnąłem jej dłoń.

– A co się teraz dzieje z twoim ojcem? Rozmawiasz z nim?

Spuściła wzrok.

– Prawie codziennie. – Kiedy spojrzała na mnie, miała wilgotne oczy. – Wyjawiałam ci wszystkie swoje sekrety. Teraz ty ujawnij jeden swój.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Chciałabym wiedzieć, panie Bartlett, co pan naprawdę robi w Midway.

– Nie wierzysz, że jestem tu służbowo?

Powoli pokręciła głową.

– Nie. W naszym mieście są dwa sygnalizatory uliczne. Nie potrzeba do nich oprogramowania.

– Powinienem był wiedzieć, że jesteś bardzo bystra.

– Byłam gotowa uwierzyć ci na słowo, ale dwie klientki opowiedziały mi o przyjeźdźnym wyglądającym zupełnie jak ty, który szuka jakiejś kobiety.

– Coś takiego.

– Już ci mówiłam, to małe miasto.

– Zgadza się. Ale teraz to ja mogę wyjść na wariata. Liczę, że nadal jesteś gotowa uwierzyć mi na słowo.

– Przekonaj się.

Splotłem dłonie.

– No dobrze. Przyjechałem tu, żeby kogoś odszukać.

– Jesteś łowcą nagród?

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Nie. Szukam kogoś, kogo poznałem w internecie. To znaczy, nie znamy się, bo nigdy się nie spotkaliśmy. – Spojrzałem jej w oczy. – Na pewno uznasz mnie za wariata. To najbardziej zwariowana rzecz, jaką zrobiłem w życiu.

– Wiem, co to wariactwo.

– Ta osoba, ta kobieta, prowadziła bloga, który bardzo mnie poruszył.

– Co to za blog?

– O samotności i miłości. To było takie szczere i przejmujące... Po tych wszystkich kłamstwach, których nasłuchałem się w małżeństwie... Postanowiłem, że muszę ją poznać. Tylko że ona nie ujawniła żadnych informacji o sobie poza inicjałami.

– Przyjechałeś do Midway z bardzo daleka, żeby znaleźć kobietę, znając tylko jej

inicjały?

– Wiem, to szaleństwo, prawda? Gdyby chodziło o Nowy Jork, tobym nie próbował. Ale tak jak mówiłaś, Midway to małe miasto.

– Jakie to inicjały?

– LBH.

Aria milczała przez chwilę. Widziałem, że się zastanawia.

– Znasz kogoś o tych inicjałach? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Nie. Panią Harding. Ale ona ma osiemdziesiąt lat.

– Wiem, odwiedziłem ją.

– Była jedną z tych dwóch klientek, które powiedziały mi o tobie.

– W życiu nie spotkałem bardziej gadatliwej osoby.

Aria się uśmiechnęła.

– Jest samotna. I czarująca. Jedyne klientka, która przychodzi do naszej restauracji i przynosi nam jedzenie. – Spojrzała mi w oczy. – Skąd w ogóle wiesz, że LBH mieszka w Midway?

– Przez długi czas nie wiedziałem. Aż w jednym poście napisała o Dniach Szwajcarii. Sprawdziłem w internecie, gdzie takie dni są organizowane, i okazało się, że Midway w Utah to jedyne miasto, w którym obchodzi się to święto w czasie, o którym pisała LBH. Więc przyjechałem tu, żeby ją odnaleźć.

– Co zrobisz, kiedy ją znajdziesz?

– Nie wiem. Część mnie chce doprowadzić sprawę do końca.

– A druga część?

Pochyliłem się nad nią i zaczęliśmy się całować.

*

Rozmawialiśmy i całowaliśmy się, aż Arii zaczęły kleić się oczy i zapytała, która godzina.

– Dochodzi trzecia – szepnąłem.

Jęknęła cicho.

– Za trzy godziny muszę być w pracy.

– Przykro mi.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– A mnie nie.

Pocałowałem ją na dobranoc.

– Jutro dam ci się wyspać – powiedziałem.

– Nie chcę spać.

– Musisz. Pracujesz w sobotę?

– Nie.

– To dobrze. Pojedziemy ściąć choinkę – powiedziałem.

– Dlaczego miałabym chcieć ściąć choinkę?

– Bo niedługo Boże Narodzenie. I mogę nie mieć drugiej okazji.

– Jak sobie życzysz. Bylebym mogła być z tobą.

*

Wróciłem do gospody około wpół do czwartej. Pomimo późnej godziny nie zasnąłem. Nie chciało mi się spać. Chciałem ponownie przeżyć w pamięci ten wieczór i noc. Chciałem być

z Arią. Dlaczego więc czułem, że nadal muszę szukać LBH?

[20] Cytat z pieśni o Aragornie z *Władcy pierścieni* J.R.R. Tolkiena (tłum. M. Skibniewskiej).

Rozdział 27

Rano obudziłem się dopiero po dziesiątej. Włożyłem to samo ubranie co poprzedniego dnia i zszedłem do jadalni. Usiadłem na swoim zwykłym miejscu i zamówiłem naleśniki oraz kielbasę.

Właśnie kończyłem jeść, kiedy do sali wszedł Ray. Pomimo zimna włożył krótkie spodnie, podkolanówki oraz buty z grubej skóry. Miał bardzo niemiecki wygląd. Dodatkowo przewiesił przez ramię torbę z brązowej skóry.

Uśmiechnął się, kiedy mnie zobaczył.

– Bartlett! Człowiek, którego szukam. – Podeszedł i usiadł przy moim stoliku. Zdjął torbę, położył ją na blacie obok siebie i spojrzał mi w oczy. – Cieszę się, że cię tu zastałem, przyjacielu. Muszę z tobą porozmawiać.

Przysunął się i powiedział:

– Wiesz, im dłużej żyję, tym bardziej wierzę w boskie zrządenia losu, w Szekspirowskie twierdzenie, że „jakieś dobre bóstwo kształt nadaje naszym działaniom z gruba obciosany”[21]. Odchylił się na oparcie krzesła i zapytał swobodniejszym tonem: – I co, znalazłeś LBH?

Wytarłem usta serwetką.

– Jeszcze nie.

Chciałem dodać, że zastanawiam się, czy nie przerwać poszukiwań, kiedy powiedział:

– Tak myślałem. I zaraz ci wyjaśnię dlaczego. Coś ci opowiem. Dziewięć lat temu, kiedy byłem na wystawie sztuki w Park City, jakiś mężczyzna poprosił mnie o pomoc. Próbował znieść ze schodów swoją babcię na wózku. Nie wiem, gdzie był podjazd, ale schody miały tylko pięć stopni, więc się zgodziłem. Byliśmy już na ostatnim stopniu, gdy nagle trach! Przeszył mnie ból w plecach. Wyskoczył mi dysk L5-S1 i zaczął naciskać na nerw kulszowy, przez co nie miałem czucia w lewej nodze. Bolało jak diabli. Po dwóch operacjach i discektomii mogę chodzić bez laski. Jak to mówią, żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary. – Pochylił się w moją stronę, aż znalazł się krępująco blisko. – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego ci to opowiadam.

– Ta myśl przyszła mi do głowy.

– Od tamtego zdarzenia czuję ból w plecach, więc raz w miesiącu funduję sobie masaż. W Midway jest taka wspaniała, piękna pani o niemal cudotwórczych dłoniach. Przedwczoraj, kiedy poszedłem do niej na comiesięczny masaż, przyszło mi do głowy, że nie ma jej na twojej liście, a powinna być. Nazywa się Lynette Hurt. Trochę nieodpowiednie nazwisko jak dla jej profesji, a może właśnie idealne[22], sam nie wiem. Mieszka w Heber i pewnie dlatego nie ma jej na twojej liście, ale jej gabinet czy studio, jak teraz nazywają takie miejsca, mieści się kilka przecznic od parku. Podczas Dni Szwajcarii przychodzi do niej mnóstwo klientów.

– Ile ma lat?

– Mniej więcej w twoim wieku. Może kilka lat młodsza.

– Niezamężna?

– Niezamężna i sama od jakiegoś czasu. Jej mąż zginął na traktorze po drugiej stronie Homestead. Tragiczny dzień dla całej społeczności.

– Ma rodzinę?

– Nie ma dzieci, a rodzina jej męża wyprowadziła się po jego śmierci, więc kobieta jest sama. I samotna. Powiedziała mi o tym. Nie mam pojęcia, czy prowadzi bloga, ale wiem, że jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych, na Facebooku i podobnych miejscach. – Wyciągnął w moją stronę pulchny palec. – Myślę, że Lynette to kobieta, której szukasz. Urocza.

Samotna. Myśląca. Ładna w naturalny sposób, nie z tych, co się pacykują. Nie musi. Łagodne spojrzenie. Łagodny głos...

– Ma drugie imię?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale wiem, że jej nazwisko panieńskie było niemieckie.

Bucher. Czyli buk albo coś podobnego.

– Jej ojciec był Niemcem – przypomniałem sobie. – LBH wspomniała o tym w jednym z postów.

Ray pokiwał głową.

– Tak, Lynette Bucher Hurt.

– Czyli jej inicjały to LBH – stwierdziłem.

– Tak jest. – Ray poklepał mnie po ramieniu. – Wiedziałem, że zwrócisz na to uwagę. –

Powiem Claudii, żeby cię umówiła na pierwszy wolny termin.

– Dziękuję.

Ray sięgnął do torby.

– Proszę, coś ci przyniosłem. – Podał mi bukietik zasuszonych kwiatków związanych sznurkiem. – Szarotki alpejskie. Ważny symbol dla Szwajcarów. Rosną wysoko w górach na skalistej glebie, więc gdy młody mężczyzna chce zaimponować dziewczynie, przynosi jej szarotki. Dziewczyna nie ma obowiązku go poślubić, ale na pewno będzie pod wrażeniem. Pomyślałem, że mogą ci się przydać.

– Co za zbieg okoliczności. – Spojrzałem mu w oczy. – W jednym z postów LBH napisała, że ojciec powiedział, żeby czekała na mężczyznę, który przyniesie jej szarotki.

Ray się uśmiechnął.

– Sam widzisz. Tak, jak ci mówiłem. Boskie zrządzenie losu.

*

Po śniadaniu z Rayem czułem się trochę zdezorientowany. Czyżbym naprawdę odnalazł LBH? Zdałem sobie sprawę, że jakaś część mnie wątpiła, że ją kiedykolwiek odnajdę. A z powodu dobrze zapowiadającej się znajomości z Arią nie chciałem odnaleźć LBH.

Musiałem się jednak przekonać. Musiałem wiedzieć. To, że kobieta pracowała jako masażystka, bardzo ułatwiało sprawę. Mogłem niby to od niechcienia zapytać o jej życie, nie strasząc jej ani nie budząc jej podejrzeń. Nie wiem, czy to zrządzenie losu, jak twierdził Ray, ale nie mogło się lepiej złożyć.

Po śniadaniu wróciłem do pokoju. Kiedy się goliłem, zadzwonił telefon. Starłem krem z twarzy i odebrałem.

– Panie Bartlett, tu Claudia z recepcji. Chciałam poinformować, że udało mi się umówić pana na godzinny masaż u pani Hurt na drugą dziś po południu.

– Dziękuję.

Odkładając słuchawkę, pomyślałem, że po przebyciu tak dalekiej drogi i po wielu perypetiach możliwe, że nareszcie poznam LBH. Tylko dlaczego nie mogłem przestać myśleć o Arii?

[21] W. Szekspir, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski.

[22] *Hurt* (ang.) – ranić, sprawiać ból.

Rozdział 28

Zanim wyszedłem z gospody, Claudia podała mi kartkę z adresem studia masażu. Znajdowało się trzy domy na północ od Main Street, w małym parterowym budynku. W drodze do studia minąłem restaurację. Wypatrywałem Arii, ale jej nie zobaczyłem.

Zaparkowałem przed studium i podszedłem do drzwi. Na plastikowej tablicy napisano:
Masaż u Lynette

szwedzki * shiatsu * gorące kamienie * tkanek głębokich * refleksologia

Pon. – pt. 9.00 – 18.00; klienci bez rezerwacji również mile widziani

Wszedłem do środka. W pokoju dziennym, przekształconym na poczekalnię, wzrok przyciągała nowoczesna jaskrawoczerwona kanapa. Na szklanym stoliku leżały magazyny o masażu, zdrowiu i terapii holistycznej. Pomieszczenie tchnęło spokojem.

Uważnie rozejrzałem się dookoła, szukając dowodów na to, że Lynette to LBH. Na kontuarze w rogu pokoju stała pachnąca świeca wypełniająca powietrze przyjemnym ananasowo-cytrusowym zapachem. Obok kontuaru znajdowała się szafka ze szklanymi drzwiami. Podszedłem, żeby przyjrzeć się, co jest w środku. Stały tam pomarańczowe aptekarskie buteleczki z różnymi olejkami eterycznymi: lawendowym, kadzidłowym, cytrynowym i co najmniej kilkunastoma innymi.

Usiadłem na kanapie. Czekałem z rosnącą niecierpliwością podsycaną informacją na drzwiach na wprost mnie:

Trwa masaż

Proszę o ciszę

Wkrótce zajmę się Panią/Panem

LBH

To było to. LBH. Spojrzałem na zegarek. Przyszedłem za wcześnie. Zacząłem czytać artykuł o zaletach stawiania baniek, kiedy otworzyły się drzwi na końcu korytarza i zobaczyłem młodą, atrakcyjną kobietę o krótkich blond włosach. Miała pulchne policzki i jasnoniebieskie oczy. Chociaż nosiła niemieckie nazwisko panięskie, według mnie bardziej wyglądała na Szwedkę. Na sobie miała ciemnoniebieski kitel z krótkimi rękawami.

Było coś surrealistycznego w tym, że w końcu ją spotykam.

– Pan Bartlett?

Wstałem.

– Tak.

Uśmiechnęła się.

– Proszę usiąść. Moja klientka jeszcze się ubiera. Jest starszą panią, więc zajmie jej to trochę czasu. Za chwilę po pana przyjdę. Proszę usiąść wygodnie i się odprężyć.

– Dziękuję.

Zniknęła za drzwiami.

Jakieś pięć minut później z gabinetu wyszła o lasce starsza kobieta. Trochę się garbiła i miała siwe włosy nieco potargane po masażu.

– W przyszłym tygodniu nie będzie mnie w mieście, no i są święta, więc nie przyjdę na następną wizytę – powiedziała do masażystki. – Ale wrócę na kolejną.

– Dokąd pani jedzie?

– Na północ. Do Logan. McKenzie, druga córka Barry’ego, wychodzi za mąż za chłopaka z Logan. W Wigilię, ni mniej, ni więcej. Nie wiem, co ona sobie myśli.

Lynette stanęła za nią, uśmiechając się.

– Bezpiecznej podróży. I proszę nie zapominać o naciąganiu mięśni. Piętnaście minut wieczorem.

– Mówisz jak moja córka. Ciągle mnie namawia na zajęcia jogi.

– Powinna pani spróbować. Wiem, że potrafi zdziałać cuda.

Starsza pani przez chwilę szperała w torebce, po czym wyjęła banknot studolarowy i podała go Lynette.

– Dziękuję ci, moja złociutka. To była najlepsza godzina w całym moim tygodniu. Zatrzymaj resztę. Idą święta.

– Nie musi pani tego robić.

– Zasłużyłaś. Wesołych świąt.

Kobiety się uściśniły, po czym starszka wyszła, rzucając mi ukradkowe spojrzenie. Na chwilę zapadła cisza, jakby z szacunku dla starszej pani, po czym Lynette podeszła do mnie i wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry, jestem Lynette.

Wstałem i uściśniłem jej dłoń.

– Jestem Alex.

– Dziękuję za cierpliwość, Alex. Chodź do gabinetu.

Ruszyłem za nią.

– A ja dziękuję, że wyznaczyłaś mi taki szybki termin.

– Drobiazg. Zawsze staram się wyjść naprzeciw potrzebom gości i turystów. Są moim podstawowym źródłem utrzymania.

Zaprowadziła mnie do otwartych drzwi na końcu korytarza. W gabinecie stał szeroki stół do masażu przykryty beżowymi bawełnianymi prześcieradłami. Światło było przyciemnione. Pomieszczenie wypełniały dźwięki fletu o azjatyckim brzmieniu na tle odgłosów natury.

– Zdejmij z siebie tyle, żeby czuć się komfortowo, potem wsuń się pod prześcieradło i połóż na brzuchu. Pójdę umyć dłonie i zaraz wracam.

Zamknęła drzwi. Rozebrałem się, położyłem się na ciepłym stole i naciągnąłem prześcieradło na plecy. Głowę oparłem na podpórce. Ciekawe, czy dotyk rąk Lynette okaże się tak przyjemny jak dotyk dłoni Arii. Moje rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

– Mogę wejść?

– Proszę.

Usłyszałem, jak Lynette wchodzi. Jeszcze bardziej przyciemniła światła, zamknęła drzwi i podeszła do mnie. Delikatnie położyła dłoń na moich plecach.

– Byłeś już masowany?

– Wiele razy.

– Świetnie. Co robimy dzisiaj? Masaż tkanek głębokich, relaksacyjny, gorące kamienie...

– Relaksacyjny.

– Są jakieś miejsca, którym powinnam poświęcić więcej uwagi?

Moje serce.

– Skóra głowy – odparłem. – I stopy.
– Jak sobie życzysz. – Nalała olejku na dłonie, potarła je o siebie i delikatnie zsunęła prześcieradło poniżej części lędźwiowej moich pleców. – Powiedz, jeśli ucisk będzie za mocny. – Przesunęła dłonią wzdłuż mojego kręgosłupa i zaczęła wcierać olejek w moje plecy. Miała miękkie, ale silne ręce.

Po kilku minutach zapytałem:

– Od dawna tym się zajmujesz?

– Prawie sześć lat. Mieszkasz Pod Błękitnym Dzikim?

– Tak.

– Piękna gospoda. Bywałeś tam wcześniej?

– Nie. To mój pierwszy pobyt w Midway. I w Utah.

– Jak ci się podoba?

– Jest zimno.

Roześmiała się.

– Skąd jesteś? Z Kalifornii?

– Z Florydy.

– A, z drugiej strony.

Drgnąłem, bo nacisnęła na bolesne miejsce pod moją prawą łopatką.

– Przepraszam, ale tu masz zgrubienie. Muszę je rozmasować.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Często się stresujesz? – zapytała.

– Przeciętnie.

Masowała tak długo, aż zgrubienie znikło.

– Jesteś dobra – stwierdziłem. – Masz wielu klientów?

– Nie narzekam. Pracuję głównie dla kurortów Zermatt i Homestead. Jesienią odbywają się tutaj Dni Szwajcarii i w ich trakcie, a także kilka tygodni po nich, jestem non stop zajęta. Na sąsiedniej ulicy jest parking, a ruch samochodowy duży, więc przychodzi do mnie wielu klientów bez rezerwacji. Czasami się zastanawiam, skąd oni się biorą.

Poznałem te słowa z jej bloga.

– I miasto się rozwija – ciągnęła. – Nie ma u nas tylu celebrytów co w Park City, ale do nas też napływają pieniądze. Miejscowi denerwują się, bo nowi mieszkańcy chcieliby zmieniać miasto po swojemu. Niektóre rodziny mieszkają tu od czasów pierwszych mormońskich osadników.

– A ty jak długo tu mieszkasz?

– Przyprowadziłam się osiem lat temu, ale rodzina mojego męża jest jedną z najstarszych.

– Zrobiła pauzę. – Weź głęboki oddech, a potem powoli zrób wydech.

Zrobiłem, jak mi poleciła.

– Co cię sprowadziło do Midway? – zapytała.

Zawahałem się.

– Interesy.

– W jakiej branży pracujesz?

– Jestem płatnym zabójcą.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Lynette zapytała:

– Przysługują ci z tego tytułu jakieś świadczenia zdrowotne?

Oboje się roześmialiśmy. Polubiłem tę kobietę.

*

Po półgodzinie Lynette poprosiła, żebym położył się na wznak. Spojrzałem jej w twarz, a ona się uśmiechnęła. Miała sympatyczny uśmiech. Potrafiłem ją sobie wyobrazić, jak pisze posty, które sprawiły, że przeleciałem prawie pięć tysięcy kilometrów.

– Często korzystasz z internetu? – zapytałem.

– Staram się. Mam profil na Facebooku i na Instagramie. Nic wielkiego, kilkaset znajomych, ale jak na miasto tej wielkości to całkiem nieźle. Mam też swojego bloga, ale piszę tam o sprawach osobistych.

– Chciałbym go przeczytać.

Zmieszła się.

– To byłoby trochę krępujące. Zapisuję tam swoje przemyślenia. W ramach autoterapii. Prawdę mówiąc, wolałabym nie spotkać nikogo, kto to przeczytał. – Wzięła głęboki oddech. – Jak się czujesz?

– Świetnie. Masz bardzo miły dotyk.

– Dziękuję.

Zamknąłem oczy i postanowiłem milczeć, dopóki Lynette nie skończy pracy. Odnalazłem LBH. Co teraz?

Rozdział 29

Lynette masowała moją głowę, a ja zastanawiałem się nad kolejnym krokiem. Miałem mieszane uczucia. Znalazłem kobietę, dla której przebyłem prawie pięć tysięcy kilometrów. Powinienem szaleć z radości, a byłem wewnętrznie rozdarty. LBH okazała się dokładnie taka, jaka chciałem, żeby była: dobra, szczerza, piękna. A jednak moje serce było gdzie indziej. To tak, jakby przyjechać do salonu samochodowego po upatrzonego model, a na miejscu zobaczyć auto, o którego istnieniu nie miało się pojęcia. Nie chcę wyjść na trywialnego, porównując obie kobiety do samochodów, ale myślę, że rozumiecie, o co mi chodzi.

Jak powiedziałem Nate'owi, czułem przymus wewnętrzny, żeby odszukać LBH, i właśnie ją znalazłem. Byłem winien tej niewidzialnej sile przynajmniej to, żeby sprawdzić, co z tego wyniknie.

*

Dwadzieścia minut później Lynette musnęła dłońmi całe moje ciało, a potem delikatnie położyła rękę na moim kolanie.

– Skończyłam, Alex. Jak się czujesz?

– Jak nowo narodzony.

– To świetnie. Wyjdę, żebyś mógł się ubrać. Chcesz wody?

– Poproszę.

– Będę za drzwiami.

Po jej wyjściu leżałem w ciemności, głęboko oddychając. Następny krok należał do mnie. Usiadłem i ubrałem się, po czym wyszedłem na korytarz. Lynette stała przy drzwiach z kubkiem wody.

– Proszę.

Upiłem łyk.

– Dziękuję.

– Pamiętaj, żeby pić dużo wody. Pomoże ci wypłukać toksyny z organizmu. Miałaś bardzo napięte mięśnie karku i ramion i tymi miejscami się zajęłam.

Przeszliśmy do poczekalni. Ucieszyłem się, że nie było w niej nikogo. Podałem Lynette kartę kredytową i doliczyłem dwudziestodolarowy napiwek.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała.

– W przyszłym tygodniu – odparłem. – Planowałem wyjechać dwudziestego drugiego, ale chyba zostaną trochę dłużej.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Więcej zleceń?

– Dużo pracy, mało czasu.

– Wpadnij, jeśli znowu zawitasz do naszego miasta. Chyba że przyjedziesz służbowo.

Wtedy nie wpadaj.

Roześmiałem się.

Podawała mi wizytówkę.

– Proszę. Gdybyś znowu przyjechał do Midway.

Spojrzałem na kartonik, na którym, oprócz tych samych informacji, co na drzwiach frontowych, widniał również jej numer telefonu. Zdałem sobie sprawę, że nasze spotkanie się kończy i muszę działać szybko.

– Nie wiem, czy to wypada, ale przyszła mi do głowy taka spontaniczna myśl. Czy chciałabyś pójść ze mną na kolację dziś wieczorem?

Była równie zaskoczona moim zaproszeniem jak ja.

– Do tej pory nigdy nie umawiałam się z klientami...

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz, prawda? – odparłam.

Zastanowiła się, po czym na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Chętnie. O której?

– A która ci odpowiada?

Spojrzała na zegar ścienny.

– Jest po trzeciej. Muszę zrobić kilka rzeczy w domu. Powiedzmy o siódmej?

– Idealnie. Nie znam zbyt wielu miejscowych restauracji, ale Pod Błękitnym Dzikim jest przyjemnie.

– Bardzo przyjemnie. Spotkamy się na miejscu?

– Mogę pod ciebie podjechać – zaproponowałam. – Jeśli ci to odpowiada.

– Dziękuję. Napiszę ci adres na wizytówce.

Szybko zapisała coś na odwrocie kartonika i oddała mi go.

– Dziękuję. Do zobaczenia o siódmej.

*

Kiedy byłem w studiu masażu, znowu zaczął padać śnieg. Odśnieżyłem samochód i wróciłem do gospody. Jadąc Main Street, spojrzałem na restaurację Pod Jemiołą. Tym razem wydawało mi się, że widzę Arię, i poczułem lekki ucisk w żołądku. Chciałem się z nią zobaczyć.

*

Po powrocie do pokoju zadzwoniłem do Nate'a, a potem do Dale'a, ale żaden z nich nie odebrał. Sprawdziłem skrzynkę mailową, po czym otworzyłem bloga LBH. Jak się spodziewałem, nie było nowych postów. Ponownie przeczytałem poprzednie wpisy. Teraz, kiedy poznałem ich autorkę, odbierałem je inaczej.

*

O wpół do siódmej zszedłem na dół. W jadalni panował tłok, jakiego nie widziałem od swojego przyjazdu. Przyzwyczaiłem się, że przychodzę zjeść, kiedy chcę, i zapomniałem, że restauracja jest otwarta również dla osób niebędących gośćmi gospody i że być może będę potrzebował rezerwacji, zwłaszcza w piątkowy wieczór na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Claudia nadal stała na stanowisku.

– Jak po masażu? – zapytała.

– Świetnie. Co więcej, zaprosiłem Lynette na kolację.

Uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście świetnie.

– Planowałem przywieźć ją tutaj, ale zdaje się, że wszystko zajęte. Macie jakieś wolne miejsca?

– Zawsze mamy wolne miejsca dla gości gospody – odparła. – W tej sali odbywa się prywatne przyjęcie, ale możemy was posadzić w Trufłowej Jamie, jeśli by to panu odpowiadało.

– Doskonale. Dziękuję.

*

Lynette mieszkała w północnej części Midway, w starym, dość dużym, podłużnym

i otynkowanym na biało domu. Po obu stronach ulicy rosły drzewa, a gdy wjeżdżałem na podjazd, zobaczyłem w obojętności stajnię dla koni i korral. Około pięćdziesięciu metrów za domem stała malownicza czerwona stodoła. Dom był przyozdobiony kolorowymi świątecznymi lampkami zawieszonymi wzdłuż konturów budynku. Pośrodku podwórka znajdowała się wielka, zasypana śniegiem szopka bożonarodzeniowa z plastiku. Na werandzie wisiały czerwono-zielone żarówki.

Nacisnąłem dzwonek i Lynette od razu otworzyła. Miała na sobie obcisłą ciemnoczerwoną sukienkę z cekinami i szerokim złotym paskiem, który podkreślał jej szczupłą talię. Wyglądała oszalamiająco.

– Witaj. Wejdz – powiedziała.

– Dziękuję.

Pokój dzienny też był świątecznie przyozdobiony. Pośrodku stało pianino, a na nim gipsowe figurki kołędników. Na półce nad kominkiem leżała różowa lameta. Nad kominkiem wisiała reprodukcja obrazu Thomasa Kinkade'a przedstawiająca ośnieżoną altanę obok skutego lodem stawu.

Na prawo od kominka stała wysoka, przyprószona sztucznym szronem choinka, obwieszona bombkami w kolorze niebieski metalik oraz białymi lampkami.

– Miałaś problem, żeby mnie znaleźć? – zapytała Lynette.

O mało nie parsknąłem śmiechem. W kontekście tego, co przeżyłem w ostatnim tygodniu, pytanie wydało mi się śmieszne.

– Żadnych – odparłem.

– To dobrze. Wezmę płaszcz.

Po chwili wróciła w wełnianym płaszczu do kostek.

– Bardzo ładnie wyglądasz – powiedziałem.

– To samo pomyślałam o tobie.

Otworzyłem drzwi samochodu po stronie pasażera. Kiedy zająłem miejsce za kierownicą, Lynette zapytała:

– To wynajęte auto?

– Tak.

– Daje sobie radę w śniegu?

– Auto tak, ja nie.

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się na tę kolację. Minęły chyba ze dwa lata, odkąd byłam Pod Błękitnym Dzikim.

– Zanim wyjechałem po ciebie, wszedłem do restauracji i zastałem tłumy, bo odbywało się prywatne przyjęcie. Obawiałem się, że nie dostaniemy stolika. Ale ponieważ jestem gościem, nie odeśła mnie z kwitkiem.

– Chcesz powiedzieć, że masz wysoko postawionych przyjaciół?

– Myślę, że to ty masz wysoko postawionych przyjaciół. Jeden twój telefon do Raya i sam by nam podał kolację.

– Kochany Ray.

– To prawda. Ale, jak pewnie wiesz, nie znosi, kiedy nazywają go tak piękne kobiety.

*

W restauracji był tłok, ale pub mieliśmy tylko dla siebie. Na przystawkę zamówiłem fondue dla dwóch osób, następnie zupę cebulową oraz filet mignon z pieczarkami faszerowanymi krabami i szpinakiem oraz z sosem berneńskim. Lynette zamówiła firmową sałatkę oraz pierś

kaczki z musem z wiśni.

Kiedy przyniesiono nam przystawki, powiedziałem:

– Mam nadzieję, że nie będę niedelikatny, ale Ray powiedział, że twój mąż zginął w wypadku.

Kiwnęła głową.

– Siedem lat temu.

– Współczuję.

– Dziękuję.

– Opowiedz mi o sobie.

Wytarła usta serwetką.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie o to poprosił. W małym mieście wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Albo myślą, że wiedzą. – Pokręciła głową. – Wiesz, jestem tą ładną młodą wdową. Tą, której współczują i której boją się wszystkie żony.

– Boją się?

– Widziałam, jak chwyciły swoich mężów za rękę, kiedy mijałam ich na chodniku.

– To przykre. Minęło siedem lat?

– Siedem długich lat. – Westchnęła. – Myślisz, że wiesz, jak potoczy się twoje życie, więc robisz wielkie plany, bo uważasz, że masz prawo oczekiwać, że się zrealizują. Ale to jak pisanie na piasku na plaży. Napływają fale i wszystko zmywają, a ty wracasz do punktu wyjścia.

Spodobało mi się jej poetyckie wyjaśnienie. Było w stylu jej postów.

– A ty? Byłeś żonaty?

– Tak. A teraz jestem rozwiedziony. – Popatrzyłem jej w oczy. – Nie znoszę tego mówić. To jak przyznanie się do porażki. Nigdy nie myślałem, że się rozwiodę. Tego nie było w moich planach.

– Twoi rodzice się rozwiedli?

– Nie, zostali razem. Na dobre i na złe. Głównie na złe. Chyba jednak powinni byli się rozwieść.

– Co się stało z twoim małżeństwem?

– Myślałem, że żona jest nieszczęśliwa, bo często wyjeżdżam. Więc zdecydowałem się na mniejsze zarobki, żeby spędzać z nią więcej czasu. Ale jej na tym nie zależało. I odeszła.

– Zdecydowałeś się na obniżenie zarobków, żeby z nią być? To naprawdę wzruszające. – Uśmiechnęła się przed zadaniem kolejnego pytania: – A co robisz, kiedy nie mordujesz?

– Coś o wiele mniej ekscytującego. Sprzedaję systemy kontroli natężenia ruchu.

– I dlatego tu przyjechałeś?

Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale odparłem:

– Jasne.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Za trzy dni.

– To niedługo – stwierdziła. Upiła łyk i spojrzała mi w oczy. – Jutro jadę do Salt Lake City. Byłeś tam kiedyś?

– Tylko na lotnisku.

– Chciałbyś pojechać ze mną?

Zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Planowaliśmy z Arią spędzić ten dzień razem. Lynette musiała zauważyć moje zawahanie, bo szybko dodała:

– Przepraszam, zwykle nie jestem taka bezpośrednia, ale sobota to mój jedyny wolny dzień, a w niedzielę wieczorem wyjeżdżam z Midway. Chciałabym poznać cię lepiej.

Musiałem podjąć szybką decyzję.

– Postaram się – odparłem. – Też chciałbym poznać cię lepiej.

*

Reszta wieczoru upłynęła w przyjemnej atmosferze. Dużo rozmawialiśmy o Florydzie, nie z mojej inicjatywy, ale dlatego, że interesowało to Lynette. Nigdy nie była na Wschodnim Wybrzeżu. Naprawdę chciałem powiedzieć jej o paniach, które odwiedziłem w Midway, ale nie wiedziałem, jak to zrobić, nie wyjawiając jej wszystkiego. Emanowała spokojem, a ja cieszyłem się każdą spędzoną z nią minutą. Mimo to nie mogłem przestać myśleć o Arii.

Po kolacji odwiozłem Lynette do domu, a potem zadzwoniłem do Arii, żeby jej powiedzieć o zmianie planów. Nie odebrała. Pomyślałem, że pewnie śpi. Nie chciałem odwoływać naszego spotkania przez pocztę głosową, więc się rozłączyłem. Pomyślałem, że zadzwonię do niej rano.

Miałem nadzieję, że zrozumie.

Rozdział 30

Rano obudziłem się późno, ponieważ budzik w moim smartfonie nie zadziałał. Zapomniałem go naładować i w nocy bateria całkowicie się wyczerpała, co również oznaczało, że nie mogłem zadzwonić do Arii. Podłączyłem telefon i zszedłem na spotkanie z Lynette, która przyjechała zjeść ze mną śniadanie. Miała na sobie obcisły ciemnozielony sweter i czarne legginsy. Wyglądała pięknie.

Kiedy jedliśmy, podszedł do nas Ray.

– Proszę, proszę. Jaki ładny widok. – Zwrócił się do Lynette: – Witaj, moja droga.

Lynette wstała i uściśliła się z Rayem. Kiedy usiadła, Ray wskazał na mnie i powiedział:

– Mogę za niego ręczyć. Poznanie go to była czysta przyjemność.

Lynette uśmiechnęła się do mnie.

– Dobrze wiedzieć.

– Dziękuję – powiedziałem do Raya. – Wzajemnie.

– To co, dzieciaki, planujecie na dzisiaj?

– Jedziemy do Salt Lake City – odparła Lynette. – Chcę pokazać Alexowi miasto.

– Zapowiada się wspaniale. Bezpiecznej jazdy. – Puścił do mnie oko. – Zrządzenie losu.

*

Jazda do Salt Lake City była bardzo przyjemna, rozmowa toczyła się w naturalny sposób. Być może dlatego, że Lynette była masażystką, albo właśnie dlatego nią została, że miała dar łatwej rozmowy. Bez oceniania, bez kwestionowania.

Kiedy wjechaliśmy do centrum, Lynette poprowadziła mnie do City Creek, odkrytej galerii handlowej, przystrojonej świątecznie. Jak można się było spodziewać, przez galerię przewijały się tłumy.

Po godzinie chodzenia po sklepach Lynette zapytała:

– Mogę cię zostawić na chwilę? Muszę coś odebrać.

– Mam iść z tobą?

– Nie – odpowiedziała, uśmiechając się. – Spotkamy się tu za czterdzieści minut?

– Oczywiście.

Odeszła szybkim krokiem. Byłem ciekaw, dlaczego nie chciała, żebym z nią poszedł. Nie wyobrażałem sobie, że mogłaby chcieć kupić coś dla mnie.

Znalazłem ławkę i usiadłem. Po kilku minutach przyglądania się ludziom spostrzegłem sklep Tiffany'ego.

Kiedy krążyłem po sklepie i przyglądałem się zawartości gablot, moją uwagę przyciągnął jeden szczególny przedmiot: wisior wielkości dwudziestopięciocentówki, z białego złota, w kształcie gwiazdy z żółtymi kamieniami szlachetnymi w środku.

Podeszła do mnie ekspedientka.

– Mogę pomóc?

– Mogłaby pani powiedzieć mi coś o tym wisiorze? Tym w kształcie gwiazdy...

– Oczywiście. – Wyjęła wisior z wyłożonej ciemnoniebieską tkaniną gabloty. – Nazywa się Szlachetna Gwiazda. Został wykonany z białego złota. Te kamienie to okruchy diamentu kanarkowego.

– Kanarkowego?

– Czyli żółtego. To okruchy, więc nie są fasetowane.

Spojrzałem na cenę. Prawie tysiąc pięćset dolarów.

– Chciałby pan go potrzymać?

– Tak.

Ostrożnie podała mi wisiorek.

– Jest naprawdę wyjątkowy. Nigdy nie widziałam niczego podobnego.

Ja też nie. Pewnie w życiu tak jest, że po jednym szaleństwie następne popełnia się już łatwiej, bo z jakiejś niezrozumiałej przyczyny musiałem kupić ten wisiorek. Nie byłem nawet pewien dla kogo. Chyba dla LBH. W rzeczywistości jednak myślałem o Arii.

Gdy wróciłem na umówione miejsce, Lynette już na mnie czekała. Trzymała kilka dużych paczek. Powinienem był wiedzieć, że torebka w firmowym kolorze Tiffany'ego przyciągnie jej uwagę.

– Kupiłeś coś u Tiffany'ego?

Spojrzałem na torebkę.

– Tak. Dla przyjaciółki.

Nie skomentowała tego.

*

Po wyjściu z galerii pojechaliśmy do hotelu Grand America. Zjedliśmy lunch w eleganckiej Garden Café, a potem wybraliśmy się na oglądanie świątecznych dekoracji. Największą atrakcją spaceru był naturalnej wielkości domek z piernika, na którego upieczenie zużyto podobno prawie sześćset kilogramów mąki, czterysta kilogramów cukru i tysiąc pięćset jajek.

Cały czas czekałem na odpowiedni moment, żeby powiedzieć Lynette, że czytałem jej bloga i że był to prawdziwy powód mojego przyjazdu do Utah, ale taka okazja się nie nadarzyła. Dzień zakończyliśmy kolacją w restauracji, z której roztaczał się widok na efektownie oświetlony Temple Square. Potem poszliśmy na spacer po placu.

Było zimno, jednak powietrze nie było tak rześkie jak w Midway. Lynette przysunęła się do mnie i domyśliłem się, że chce, żebyśmy chwycili się za ręce. Ująłem jej dłoń, chociaż z jakiegoś powodu wydawało mi się to trochę nienaturalne.

Milczała. Oboje milczeliśmy. Przyjemnie spędziliśmy dzień. Było miło. A jednak coś mi się nie podobało. Może właśnie to, że było przyjemnie i miło, ale nic poza tym. Oczekiwałem czegoś więcej po spotkaniu z LBH – czegoś magicznego i żarliwego. A klimat naszej wycieczki był taki, jakbym spotkał się z dobrą znajomą. Albo siostrą.

Lynette odezwała się dopiero, kiedy dojeżdżaliśmy do wylotu z kanionu.

– Dziękuję za wspólnie spędzony dzień. Było bardzo miło.

– Mnie też. Dziękuję za zaproszenie.

Spojrzała na mnie.

– Szkoda, że wkrótce wyjeżdżasz.

– Ja też żałuję.

Znowu zapadła cisza. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Chciałbyś jutro zjeść ze mną lunch? – zapytała Lynette.

– Myślałem, że wyjeżdżasz.

– Tak, wieczorem. Ale jeśli masz już plany...

Nie miałem. Przynajmniej na razie.

– Nie mam. O której mam przyjechać?

– O drugiej?

– Dobrze, o drugiej.

Choć tęskniłem za Arią, musiałem spotkać się z Lynette. Była to ostatnia szansa, żeby jej powiedzieć, dlaczego tak naprawdę przyjechałem do Midway. Ostatnia szansa dla nas obojga, żeby się ujawnić.

*

Po powrocie do gospody sprawdziłem telefon, bojąc się, co zobaczę. W poczcie głosowej było sześć wiadomości – jedna od Nate’a, jedna od Dale’a i cztery od Arii. Poczułem gryzące wyrzuty sumienia.

Najpierw wysłuchałem wiadomości od Nate’a i Dale’a, żeby mieć ich już z głowy. Nate, w typowy dla siebie sposób, był zwięzły.

Tu Nate. Oddzwoń.

Dale nie był zwięzły.

Cześć, stary, tu Dale, oddzwaniam. Nie wiem, czego chciałeś. Może się ożeniłeś. Jeśli wybrałeś mój numer przez przypadek, to nie ma tematu. Ale i tak zadzwoń.

Zacząłem odsłuchiwać wiadomości od Arii. W pierwszym nagraniu jej głos był radosny, ale w każdym następnym stawał się smutniejszy.

9.17

Cześć, Alex. Widziałam, że dzwoniłeś wczoraj wieczorem, przepraszam, ale poszłam spać zaraz po powrocie do domu. Byłam bardzo zmęczona. Dzwonię, żeby się upewnić, że nadal jesteśmy umówieni na dzisiaj. Szkoda, że wczoraj się nie zobaczyliśmy... Cieszę się na dzisiaj.

9.56

Cześć, to znowu ja. Aria. Nie wiem, czy odsłuchałeś moją poprzednią wiadomość. Proszę, zadzwoń, kiedy będziesz miał okazję. Daj znać, co się dzieje.

12.16

Cześć, tu Aria. Nie wiem, co się dzieje. Jeśli cymś cię uraziłam, to przepraszam. Proszę, zadzwoń.

Kiedy nagrywała się po raz ostatni, jej głos był cichy i przygaszony.

16.36

Cześć, chyba chcesz się pożegnać bez rozmowy. Mam rację? Jest mi bardzo przykro. Bardzo polubiłam twoje towarzystwo. Nie wiem, czy coś zrobiłam, czy może zdałeś sobie sprawę, że nie chcesz ze mną być... Niedługo wyjeżdżasz, więc chciałam ci powiedzieć, że miło było cię poznać. Życzę ci wszystkiego dobrego.

W jej głosie było słychać smutek. Poczułem w sercu ukłucie bólu. Natychmiast do niej oddzwoniłem, ale nie odebrała. Chyba miała wyłączony telefon albo mnie zablokowała, bo nawet nie mogłem się nagrać. Byłoby trudno znaleźć większego głupca ode mnie.

Rozdział 31

Źle spałem. Śniła mi się Aria. To znaczy snów było kilka, ale zapamiętałem jeden. Przerażający. Lynette wkładała czarną torbę na głowę Arii. Zanim to zrobiła, Aria zwróciła się w moją stronę. Miała kamienne spojrzenie.

Nie wiedziałem, czy Aria pracuje, i nie chciałem jej budzić, jeśli nie pracowała, więc czekałem do dziewiątej, żeby do niej zadzwonić. Nie odebrała. Zadzwoniłem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Lynette przysłała SMS z pytaniem, jaki stek lubię.

Odpisałem.

Średnio wysmażony. Do zobaczenia.

Zadzwoniłem do Nate'a. Nie odebrał, więc pomyślałem, że pewnie jest w kościele. Zadzwoniłem do Dale'a. Odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, stary. Kiedy wróciłeś?

– Nie wróciłem. Nadal jestem w Utah.

– Nadal w Utah? Nie możesz jej znaleźć?

– Znalazłem. Ale jest problem...

– Jest mężatką. Jest facetem. Jest brzyzydka...

– Skończ już. Chodzi o to, że przyjechałem znaleźć jedną kobietę, a znalazłem dwie.

Dale milczał przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

– Przestań! – warknąłem. – Nie wszystko jest żartem.

– Przepraszam, stary. Nie śmieję się z ciebie, tylko z wszechświatem. To fantastyczna wiadomość.

– Nie jest fantastyczna. Mam problem.

– Zakochałeś się w dwóch kobietach w ciągu, poczekaj, jednego tygodnia?

– Nie, w Lynette zakochałem się wiele miesięcy temu. Ale jest jeszcze jedna kobieta...

Ona... Nie wiem, jak opisać Arię.

– Brak ci słów. Bardzo mi się to podoba. Poczekaj, mam rozwiązanie. Jesteś w Utah, a tam kręca ten serial *Trzy na jednego*[23]. Przywieź obie do domu.

– Przestań!

– Rozchmurz się, stary. Mówisz, jakbyś miał do rozwiązania naprawdę poważny problem, zadłużenie trzeciego świata albo głód w biednych krajach. Co może być lepszego od dwóch potencjalnych klientek walczących o twój towar? Po prostu wybierz tę, która da najwięcej. A przez „da najwięcej” rozumiem największy rozmiar biustonosza.

– Rozłączam się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam!

Rozłączyłem się. Przez chwilę siedziałem, a potem poszedłem po zasuszone szarotki, które dostałem od Raya. Rozejrzałem się za czymś, w co mógłbym je włożyć. Poza hotelowym workiem na brudną bieliznę nadawała się do tego tylko torebka od Tiffany'ego. Wyjąłem z niej wisior i schowałem go w walizce, a do torebki włożyłem szarotki.

Dziś wiem, że powinienem być mądrzejszy. A dałem popis męskiej głupoty.

*

W drodze do Lynette myśli przelatowały mi przez głowę szybciej, niż jechał mój samochód, co zresztą nie było takie trudne, bo jezdni była oblodzona jak w tundrze i musiałem

się wlec powoli jak emeryt z Miami, żeby nie zjechać do rowu.

Cały czas dręczyło mnie pytanie: jak ona zareaguje, kiedy się dowie, dlaczego przyjechałem do Midway?

Lynette uścisnęła mnie na powitanie.

– Bardzo się cieszę, że znowu cię widzę.

– Ja też.

Spojrzała na torebkę od Tiffany’ego, ale nic nie powiedziała.

– Wejdz, wszystko już gotowe.

Wszedłem za nią do jadalni. Potrawy stały na stole.

– Siadajmy i jedzmy – powiedziała Lynette.

Wszystko było smaczne. Jedliśmy w milczeniu.

– Jesteś dzisiaj mało rozmowny – zauważyła Lynette.

Uśmiechnąłem się.

– To dobry znak. Nigdy nie rozmawiam, kiedy jedzenie jest smaczne.

– Dziękuję.

W rzeczywistości rozważyłem możliwe sytuacje, z którymi wkrótce przyjdzie mi się zmierzyć. Jak Lynette zareaguje na wiadomość, że jej szukałem? Jak zareaguje na szarotki? Czy były tak ważne, jak pisała na swoim blogu? A jeśli przypisze im zbyt duże znaczenie? Jeśli uzna je za oświadczyń? Czy byłyby to oświadczyń? Zacząłem wątpić, czy dobrze zrobiłem, przynosząc jej te kwiaty. Ale przecież już widziała torebkę. Nie mogłem się wycofać.

– To gdzie wyjeżdżasz dzisiaj wieczorem? – zapytałem, żeby przerwać ciszę.

– Na obóz regeneracji duszy w Star w Idaho.

– Regeneracji duszy?

Kiwnęła głową.

– Obóz organizuje część grupy kobiet, do której należę, o nazwie Klub Dzielnych Dziewczyn.

– Jesteś dzielna?

– Staram się.

Gdy skończyliśmy danie główne, Lynette przyniosła babkę czekoladową i zaczęła ją kroić.

– Będziesz musiał zabrać resztę. Zepsułaby się do mojego powrotu.

– Podzielę się z Rayem.

– Na pewno się ucieszy. – Podała mi talerzyk z kawałkiem babki i popatrzyła na mnie, uśmiechając się pogodnie. Przyszła właściwa pora.

– Mam coś dla ciebie – powiedziałem, unosząc torebkę od Tiffany’ego. Jej twarz się rozpromieniła. Wyjąłem szarotki i jej podałem. Spojrzała na podarunek, potem znowu na mnie. Radość na jej twarzy ustąpiła miejsca zmieszaniu. A może rozczarowaniu.

– Dziękuję – powiedziała po chwili.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

– To szarotki alpejskie – wyjaśniłem.

Zawahała się, po czym dodała:

– Ładne.

– Ładne?

Roześmiała się.

– Tak, ładne. – I dodała: – Coś w tym złego?

– Nie. Tylko że spodziewałem się czegoś... więcej.

(Dziś jestem pewien, że ona myślała to samo).

- Przepraszam. To miłe. Zwłaszcza to, że przyniosłeś mi kwiaty. Patrzyłem na nią zdziwiony.
 - Czy ojciec nie powiedział ci kiedyś czegoś o szarotkach?
 - Mój ojciec? Nie. Skąd znasz mojego ojca?
 - Czy on jest Niemcem?
 - Nie, Francuzem. Bucher to francuskie nazwisko.
- Przez chwilę wpatrywałem się w nią, po czym powiedziałem:
- Wiedziałaś, że samotność powoduje obniżenie temperatury ciała? Teraz to ona patrzyła na mnie, jakbym stracił rozum. I może tak było.
 - Dlaczego mnie o to pytasz?
 - To nie ty – stwierdziłem.
 - Słucham?
 - Nie jesteś kobietą, dla której tu przyjechałem.
- Wyglądała na urażoną.
- Nic nie rozumiem. Przyjechałeś tu, żeby kogoś odnaleźć?
- Wstałem.
- Bardzo cię przepraszam. Popełniłem wielki błąd.

[23] Tytuł oryginalny *Big Love*. Serial opowiada o perypetiach poligamicznej rodziny z Utah.

Rozdział 32

W racając od Lynette, znowu zadzwoniłem do Aarii, ale nie odebrała. Skręciłem przez miasto do restauracji i szybko wszedłem do środka. Nie było tłumu gości, zajęte były tylko cztery stoliki, ale nigdzie nie widziałem Aarii.

Zauważyła mnie Valerie, starsza kelnerka, ale niespecjalnie spieszyła się, żeby mi pomóc. Skończyła rozmawiać z klientami, a potem, jakby od niechcienia, podeszła do mnie.

– W czym mogę pomóc? – zapytała ostrym tonem.

– Jest Aria?

– Nie ma.

– Pracowała dzisiaj?

– Nie.

– Wiesz, gdzie jest?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Rozmowa z nią przypominała zrywanie ostów gołymi rękami.

– No dobrze. Kiedy się z nią zobaczysz, przekaz jej, że tu byłem.

Milczała przez chwilę, po czym odparła:

– Nie przekażę.

– Słucham?

– Nic jej nie przekażę. Coś ci powiem o Aarii. To jedna z najcudowniejszych osób, jakie znam. Jest jak delikatna porcelana. To kruchy skarb. A facet z dużego miasta jak ty ma gdzieś takie rzeczy. Miała dzisiaj pracować, ale wczoraj wieczorem zadzwoniła, że jest chora. Nie pamiętam, kiedy ostatnio była chora. Słyszałam, że płacze. Zaczęłam się dopytywać i powiedziała, że wystawiłeś ją do wiatru. Może tam, skąd przyjechałeś, to jest normalny sposób traktowania kobiet, ale tutaj nie. – Zmrużyła oczy tak, że prawie je zamknęła, i dźgnęła mnie palcem. – Więc posłuchaj mnie dobrze, paniczku z wielkiego miasta. Jeśli jeszcze raz się z nią skontaktujesz, a mam nadzieję, że tego nie zrobisz, ale gdybyś to zrobił, to lepiej bądź dla niej dobry. Aria zna mnóstwo wielkich drabów z małymi mózgami, którzy z radością zrobią wszystko, żeby obronić jej honor. Jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

– Łapię. I nie popieram traktowania kobiet w ten sposób. Wydarzyły się pewne rzeczy, na które nie miałem wpływu. Chcę ją znaleźć i przeprosić.

– Lepiej, żebyś przeprosił. I oglądaj się za siebie. My, ludzie z małych miast, mamy swoje sposoby.

W jednym zdaniu przeszła od *Stalowych magnolii* do *Uwolnienia*.

*

Pojechałem prosto do Aarii. Jej jeep stał przed domem, ale w środku było ciemno. Walnąłem pięścią w drzwi.

– Aria!

Nie zareagowała. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale znowu bez skutku. Zacząłem łomotać.

– Aria!

Po kilku minutach usłyszałem kroki wewnątrz domu. Drzwi otworzyły się powoli na szerokość łańcucha. Aria spojrzała na mnie przez szparę.

– Czego chcesz?

– Bardzo cię przepraszam. Próbowałem się dodzwonić. Dzwoniłem w piątek wieczorem.
Jak tylko odsłuchałem twoje wiadomości.

Nic nie powiedziała.

– Możemy porozmawiać?

– Nie.

– Mogę się wytłumaczyć?

Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym powiedziała:

– Masz minutę.

– Tutaj?

– Gdzie byłeś w sobotę?

– Bardzo cię przepraszam. Musiałem skończyć poszukiwania. Te, dla których tu przyjechałem. Myślałem, że ją znalazłem.

– I znalazłeś?

– Tak myślałem. Ale to nie była ona. Pomyliłem się.

– Gdyby się okazało, że to LBH, nigdy byś do mnie nie przyjechał.

– Oczywiście, że bym przyjechał. Nie mogłem przestać myśleć o tobie. Przysięgam. Chcę z tobą być. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Nadal chcę ściąć z tobą choinkę.

– Sobota była moim jedynym dniem wolnym.

– To pojedziemy, jak skończysz pracę.

– Jutro wyjeżdżasz.

– Przedłużę pobyt.

Spojrzała na mnie ze złością.

– Po co?

Jej słowa mnie zapiekły. Oniemiałem. Nie mogłem uwierzyć, jak szybko zepsułem coś bardzo pięknego. W końcu wydusiłem:

– Przepraszam. Myślałem, że może będziesz chciała, żebyśmy zostali dłużej. – Wziąłem głęboki oddech. – Bardzo mi przykro. Nawet nie wiesz jak bardzo. Jesteś dzielna i wspaniała. Bardzo się cieszę, że cię poznałem. Miałem nadzieję poznać cię lepiej. – Znowu wziąłem głęboki oddech. – Dam ci spokój. – Odwróciłem się i zszedłem z ganku.

– Dostałeś zezwolenie? – zawołała Aria.

Odwróciłem się.

– Co takiego?

– Trzeba mieć zezwolenie na ścięcie drzewka.

– Nie.

– To je załatw. Jutro. – Zamknęła drzwi.

– Okej – powiedziałem do zamkniętych drzwi. – Załatwię.

Rozdział 33

Gdy tylko wróciłem do gospody, poszedłem do recepcji przedłużyć pobyt. Pokój Szekspira był zarezerwowany na dwudziestego szóstego, więc przeniesiono mnie do pokoju Jane Austen. Było mi wszystko jedno.

Wróciłem do pokoju i od razu położyłem się do łóżka. Czułem, że w ostatnim tygodniu zakłóciłem życie większej liczbie osób niż w ostatniej dekadzie w Daytona Beach. Było mi strasznie głupio, że w ten sposób rozstałem się z Lynette. Zasługiwała na coś lepszego. Pomyślałem, że kiedyś powinienem wyjaśnić jej całą sytuację, wątpiłem jednak, czy kiedykolwiek zechce ze mną rozmawiać. Ale przynajmniej jechała na spotkanie Dzielných Dziewczyn, czy jak to się nazywało. Byłem pewien, że jej koleżanki będą miały wiele do powiedzenia na temat zasuszonych szarotek w torebce od Tiffany'ego.

Niewątpliwie odegrała ważną rolę w moich poszukiwaniach. Uświadomiłem sobie, że przestało mi zależeć na odnalezieniu LBH. Byłem wdzięczny, że Aria dała mi drugą szansę.

*

Rano spędziłem prawie czterdzieści minut, zmieniając rezerwacje lotów powrotnych do domu. Potem ubrałem się i szedłem zjeść lekkie śniadanie – owsiankę na mleku z brązowym cukrem i orzechami włoskimi. Następnie pojechałem po zezwolenie na ścięcie drzewka. Czułem lekki stres, bo Ray powiedział, że będę musiał udać się do biura pani burmistrz. Na szczęście nie zapytał mnie o Lynette. Nie wiedziałbym, jak mu wytłumaczyć całą sytuację. Było mi głupio, bo osobiście za mnie poręczył. Miałem nadzieję, że moje zachowanie nie zaszkodzi ich znajomości. A przynajmniej jego comiesięcznym masażom.

Kiedy wszedłem do biura, pani burmistrz mnie poznała.

– To znowu pan.

– Chciałbym dostać zezwolenie na wycięcie choinki. Czy jestem we właściwym miejscu?

– Chciałby pan dostać zezwolenie na zabicie jednego z naszych drzewek.

– Tak, proszę pani... burmistrz.

– Nie zabił pan żadnego z moich wyborców?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Przyglądała mi się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Wydam panu stosowny dokument. – Pochyliła się i napisała coś na formularzu, potem spojrzała na mnie. – Należy się dziesięć dolarów.

Podąłem jej pieniądze, a ona wręczyła mi zezwolenie, paragon i kartkę z zasadami wycinki drzew.

– Miłego dnia – powiedziałem.

– Wzajemnie, panie Gruszka.

Nie wiedziałem, czy ze mnie żartuje, czy pomyliła mnie z jednym z podejrzanych o morderstwo w grze planszowej Clue.

Po wyjściu z biura pojechałem do Heber po ozdoby choinkowe. Jedynym miejscem, w którym je znalazłem, był sklep spożywczy noszący nazwę Spożywczy i Budowlany.

Kupiłem kilka paczek lampek, bombek i lamety. A także gałązki jemioly, licząc, że się przydadzą do rozładowania napięcia. Albo, w najgorszym razie, zastąpią wiekowe badyle wiszące w restauracji, gdzie pracowała Aria.

Drew, sprzedawca, bardzo się zaangażował w przygotowanie mnie do ścięcia drzewka.

Może wyczuł, że potrzebuję wskazówek, albo – co bardziej prawdopodobne, ponieważ byłem jedynym klientem – bardzo chciał sprzedać towar. Nie odstępował mnie na krok.

Sprzedził mi czerwono-zielony stojak na choinkę, piętnaście metrów nylonowego sznura do przywiązania drzewka do samochodu i bardzo drogą piłę ręczną. Kiedy jednak zaczął namawiać mnie na plandekę chroniącą auto przed zabrudzeniem drzewkiem, stanowczo odmówiłem.

Sprzedawca potrafi docenić innego dobrego sprzedawcę. DREW był dobrym sprzedawcą. Nasze darmowe drzewko stawało się coraz droższe.

Kiedy skończyłem zakupy, było kilka minut po dwunastej. W drodze do restauracji byłem dość zdenerwowany. Nie wiedziałem, jak Aria się zachowa. Trudno powiedzieć, żebyśmy przez uchylone drzwi odbyli długą rozmowę. Nawet nie widziałem jej całej twarzy. Owszem, przeprosiłem ją, ale nie wiedziałem, czy wybaczyła mi wszystkie winy. Miałem nadzieję, że nie zmieniła zdania. Nie miałbym jej za złe, gdyby zmieniła, liczyłem jednak, że tego nie zrobiła.

Wszedłem do restauracji przy płynących z szafy grającej dźwiękach *I'll be home for Christmas* Carpentersów. Jęknąłem w duchu, bo w recepcji stała Valerie. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiech na jej twarzy natychmiast ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia.

– Dzień dobry, Valerie.

Obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem i burknęła:

– Powiem jej, że przyszedłeś.

Chwilę później z kuchni wyszła Aria. Nie potrafiłem nic wyczytać z jej twarzy. Nie objęła mnie. Ale, co też muszę przyznać, nie spoliczkowała.

– Cześć – przywitałem się.

– Cześć.

Nerwowo kołysałem się na poduszkach stóp.

– Dostałem zezwolenie. I kupiłem ozdoby. Bombki, lampki i lametę. I piłę. I rękawice.

I sznur...

Z ulgą zobaczyłem, że Aria się uśmiecha.

– Mam piłę.

– To oddam swoją – powiedziałem. – Była droga.

– Zjadłbyś lunch?

– Ja...

– Po prostu powiedz „tak”.

– Tak. Chętnie.

– Twój boks jest wolny. Idź i usiądź, zaraz podejść.

Wziąłem kartę dań i poszedłem do boksu. Po chwili zjawiała się Aria.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytałem.

– Lepiej. Dobrze, że wczoraj przyjechałeś. Bardzo cierpiałam.

– Naprawdę mi przykro.

– Wiem. Byłeś słodki. I czarujący.

– Pamiętaj, że było mi przykro.

– Pamiętam. I rozumiem. A co mam ci przynieść do jedzenia?

Zamówiłem kanapkę Rubena i porcję zupy warzywnej na wołównie. Rzykując, że narażę się Thelmie, odmówiłem tarty z brzoskwiniami. Przed wyjściem zapytałem Arię, kiedy kończy pracę.

– Miałam pracować do dziewiątej, ale Valerie powiedziała, że weźmie moją zmianę, więc kończę o trzeciej.

Zdziwiłem się, a nawet stałem się trochę podejrzliwy.

– Valerie chce wziąć twoją zmianę, żebyś mogła wyjść ze mną?

– Zgadza się. Powinieneś jej podziękować.

– Daruję sobie. Valerie nie jest moją fanką.

– Oczywiście, że jest. Ona tylko się z tobą droczy.

– Nieprawda. Trochę się jej boję.

Aria się uśmiechnęła.

– Boisz się Valerie?

– Trochę.

– Zapłaciła za twój lunch.

Popatrzyłem na zamówione potrawy, potem na Arię.

– Jesteś pewna, że go nie zatrzała?

– Nawet go nie dotknęła.

– Skomplikowana kobieta – stwierdziłem. – Przyjadę o trzeciej. – Wstałem, żeby wyjść, ale jeszcze dodałem: – Aria, zrób coś dla mnie.

– Co takiego?

– Zaczekaj na mnie w środku.

Uśmiechnęła się, pocałowała mnie w policzek i odeszła. Rozejrzałem się i natrafiłem na Valerie. Spiorunowała mnie wzrokiem. I palcem wskazała wyjście. Bardzo skomplikowana kobieta.

*

Podjechałem pod restaurację tuż przed trzecią. Aria stała na zewnątrz, ale tylko dlatego, że zobaczyła, jak wjeżdżam na parking. Miała na sobie kurtkę z kapturem, wysokie botki i czerwoną czapkę świętego mikołaja.

– Gotowy? – zapytała, wsiadając do mojego samochodu.

– Wiesz, to jedna z tych rzeczy, które zawsze chciałem zrobić. Od dziecka marzyłem, żeby samemu ściąć drzewko. W reklamach kawy to zawsze wyglądało jak wielka frajda.

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się.

– Dokąd jedziemy?

– Najpierw tak jak do cieplicy. Pamiętasz, jak tam dojechać?

– Chyba będę potrzebować pomocy.

Pamiętałem drogę, jednak w jednym miejscu Aria musiała mi pokazać, gdzie trzeba skręcić. Minęliśmy cieplicę, którą było łatwo zauważyć z powodu unoszącej się pary. Nie zdziwiłbym się, gdyby Cal obserwował nas przez lornetkę. Albo celownik strzelby.

– Czy te ziemie są własnością tego twojego ranczera? – zapytałem.

– Ta część tak, ale nie teren, na który jedziemy. Gdyby tak było, nie potrzebowalibyśmy zezwolenia.

– Dlaczego po prostu nie weźmiemy jednego z jego drzewek?

– Nigdy tego nie zaproponował.

Jakiś kilometr za cieplicą zaczęliśmy się piąć krętym duktem na szczyt góry, którą Aria określiła jako wzgórze. Im wyżej jechaliśmy, tym pokrywa śniegu po obu stronach drogi stawała się grubsza, ale sama droga była przejezdna. W końcu Aria powiedziała:

– To tutaj.

Zaparkowałem na poboczu i wysiedliśmy. Zapomnieliśmy pojechać do Arian po jej piłę, więc musiałem rozpakować swoją nowo zakupioną, przez co nie nadawała się już do zwrotu. Ale przynajmniej miałem pamiątkę po tym dniu.

Wierzchołek góry – właściwie cała góra – był porośnięty drzewami. Większość z nich była za duża jak na nasze potrzeby. Aby znaleźć odpowiednie drzewko, musieliśmy brnąć w wysokim po kolana śniegu prawie pół godziny.

Musieliśmy przestrzegać zasad. Mogliśmy wyciąć tylko jodłę górską, *Abies lasiocarpa*, nie wyższą niż sześć metrów. Nie miałem pojęcia, jak wygląda jodła górską, i oczywiście nie wiedziałem, czym się różni od świerka, ale na zezwoleniu było napisane, że można ją rozpoznać po igłach, które nie są ostro zakończone i zaginają się ku górze. Na szczęście Aria nie potrzebowała opisu, żeby znaleźć odpowiedni gatunek drzewka. Dokładnie wiedziała, czego szukamy.

Wybraliśmy dwumetrową, zgrabną jodłę. Miała co prawda jedno łyse miejsce, ale Aria powiedziała, że obróci drzewko tą stroną do ściany.

Butem strząsałem śnieg z pnia i wyjąłem piłę. Starłem się, żeby piłowanie wyglądało na łatwe. Nie było łatwe. Aria cierpliwie przyglądała się, jak piluję i piluję, i piluję. Klasnęła w dłonie, kiedy drzewko w końcu upadło. Zaciągnąłem je do samochodu, pozostawiając za sobą prawie stumetrową koleinę w świeżym śniegu.

Przywiązaliśmy jodłę piętnastometrowym nylonowym sznurem do bagażnika na dachu mojego forda i pojechaliśmy do Aarii, gdzie ją odwiązaliśmy i wnieśliśmy na werandę. Nie musiałem otrząsać drzewka ze śniegu, bo odpadł podczas jazdy.

Wniosłem jodłę do domu, a Aria postawiła stojak w rogu pokoju dziennego. Nie od razu udało się nam umieścić drzewko w stojaku, ale po kilku próbach stanęło prosto zwrócone łysym miejscem do ściany. Wyglądało tak ładnie, że usiedliśmy na podłodze, żeby je podziwiać. Potem przyniosłem z samochodu ozdoby. Najpierw zawiesiliśmy lampki, potem bombki.

Zaglądając do torby z ozdobami, Aria znalazła paczkę z gałązkami jemioli.

– Po co to?

Spojrzałem na nią niewinnie i wzruszyłem ramionami.

– Tajemnica.

– Jemiołowa tajemnica. – Wyjęła jedną gałązkę i włożyła ją we włosy. Potem chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła na kanapę. Ubieranie choinki skończyliśmy dopiero kilka godzin później.

Rozdział 34

– Wiem, co powinniśmy zrobić jutro – powiedziała Aria, odsuwając się ode mnie. W pokoju było ciemno, rozświetlały go tylko migoczące lampki na choince.

– Więcej tego, co teraz.

– Nie, to znaczy tak, oczywiście, ale nie możemy tego robić cały dzień.

– Masz cały dzień?

– Jutro mam wolne.

– Mówiłaś, że pracujesz.

– Praca nie zajac, a jak często mam ciebie?

Zacząłem ją znowu całować, ale, uśmiechając się, odsunęła mnie.

– Chwileczkę. Uważam, że skoro jesteś w Utah, jutro powinniśmy pojechać na narty.

– Śnieżne?

Przewróciła oczami.

– Nie, wodne.

– Nigdy nie jeździłem na nartach. Na Florydzie jest mało okazji.

– Więc?

– Nauczysz mnie?

– Nie. Ale zapiszę cię na kurs i pójdę z tobą, żeby się ponabijać.

– Już się nie mogę doczekać.

– To jesteśmy umówieni.

*

Nazajutrz rano podjechałem po Arię o ósmej. Wstąpiliśmy do restauracji Pod Jemiołą na kawę, bułeczki i jajka, a potem ruszyliśmy do Deer Valley, w którym było trochę drożej niż w Park City, ale za to mniej tłocznie.

Wziąłem dwugodzinną lekcję razem z grupą dzieci (oprócz nastolatka z Jamajki byłem jedynym, który miał więcej niż siedem lat), a potem poszliśmy na stok. Nie imponowałem stylem, ale na oślej łączce upadłem tylko dwa razy, a pod koniec dnia zjechałem z Arią ze średnio trudnego wzniesienia i się nie zabiłem. W wykonaniu Aarii zjazd wyglądał na łatwy i uznałem, że jest ekspertem.

O szesnastej byliśmy wykończeni – a przynajmniej ja – więc oddaliśmy moje narty, a potem zaprosiłem Arię na obiad w schronisku.

Po złożeniu zamówień zapytałem:

– Zjeżdżałaś kiedyś czarną trasą narciarską?

Kiwnęła głową.

– Owszem, ale nie lubię aż tak bardzo się męczyć.

– Często jeździsz?

– Rzadko.

– Dlaczego?

Popatrzyła na mnie, jakby się dziwiła, że tego nie rozumiem.

– Jestem dziewczyną o skromnych dochodach.

W tej chwili przypomniałem sobie wisiorek od Tiffany’ego, który kupiłem w Salt Lake City.

– Mogę dać ci coś na Gwiazdkę?

Uśmiechnęła się.

– Tak. Jeśli ja też mogę ci coś dać.

– Zgoda.

– Wiem, czego chcę – powiedziała. – Jeśli cię na to stać.

– Przekonaj się.

– Chcę spędzić z tobą Boże Narodzenie.

*

Po obiedzie wróciliśmy do Midway. Pojechaliśmy do Arii. Zrobiliśmy kawę i usiedliśmy na kanapie przed choinką. Aria milczała przez chwilę, po czym odstawiła filiżankę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Mówiłeś, że przestałeś szukać LBH. I że się pomyliłeś.

– Tak.

– Co się stało?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Okej. Znasz kobietę o nazwisku Lynette Hurt?

– Tak, ma salon masażu niedaleko domu kultury. Chodziłam do niej, kiedy naciągnęłam sobie bark. – Zamyśliła się. – Lynette Hurt. Lynette Bucher Hurt. LBH. Pomyślałeś, że to ona.

– Tak. Ray też myślał, że to ona. To on mi o niej powiedział. Kiedy do niej pojechałem, dowiedziałem się, że wyjeżdża, więc miałem ostatnią szansę, żeby się przekonać, czy to ona.

Aria przekrzywiła głowę.

– Przekonać się?

– Podczas rozmowy.

– Jest ładna – powiedziała Aria.

– Nie zauważyłem.

– Akurat. – Upiła kolejny łyk kawy i zapytała: – Jak się przekonałeś, że to nie ona?

– Dałem jej szarotki alpejskie.

Ku mojemu zaskoczeniu wyraz twarzy Arii gwałtownie się zmienił. Po chwili zapytała:

– Dałeś jej szarotki?

– Tak. Ale nic dla niej nie znaczyły. Znaczyłyby dla prawdziwej LBH.

Niespodziewanie oczy Arii napełniły się łzami.

– Dlaczego płaczesz? – zapytałem cicho. Kiedy nie odpowiedziała, dodałem: – Przepraszam, ale dla mnie to nie było nic ważnego. Po prostu musiałem wiedzieć, czy to ona...

Po policzkach Arii płynęły łzy. Nagle mnie olśniło, jakby opadła kurtyna. Zrozumiałem.

– To ty jesteś LBH.

Patrzyła na mnie. Wyglądała na wystraszoną.

– Aria...

Nic.

– Aria, kim jest LBH?

– Nie wiem.

– Aria, powiedz mi.

– Nie wiem! – krzyknęła.

Czułem, jak robię się czerwony na twarzy.

– Co przede mną ukrywasz? Kim jest LBH?

– Kobieta, o której powiedziałaś, że ci na niej zależy.

– Aria!

Spojrzała na mnie i krzyknęła:

– Lonely Broken Heart[24]! Zadowolony?

Wstałem. Jej słowa otworzyły jakąś przegródkę w mojej podświadomości. Poczułem, jak robi mi się gorąco. Uruchomił się mój wewnętrzny alarm, jak wtedy, kiedy znalazłem kartkę od Clarka w spodniach Jill.

– Okłamywałaś mnie. Wiedziałaś, że szukam ciebie. Od początku o tym wiedziałaś.

– Nie, nie od początku. Zorientowałam się dopiero, kiedy powiedziałaś, że szukasz LBH. Byłam już wtedy w tobie zakochana.

– Powiedziałaś, że nie wiesz, kim ona jest.

– Zapytałeś, czy znam kobietę o tych inicjałach. Nie znam. Powiedziałam prawdę.

– Nie, nie. Wiedziałaś, o co naprawdę pytam. Wiedziałaś, ale mnie oszukiwałaś. Tak samo jak Jill. – Dotknąłem ręką czoła i odszedłem na bok. Czułem się, jakbym zwariował. Właściwie byłem wariatem. Jakby moje najgłębsze lęki zawładnęły moim mózgiem. – Przez ostatnie pięć lat byłem karmiony kłamstwami i tajemnicami. Od ciebie pragnąłem tylko uczciwości. Zakochałem się w LBH, bo była uczciwa. A od ciebie usłyszałem kłamstwa.

– Proszę, nie każ mi płacić za to, jak potraktowała cię żona. Co miałam zrobić?

Obróciłem się do niej gwałtownie.

– Powiedzieć mi prawdę! Czy miałem zbyt wielkie oczekiwania?

Zaczęła łkać.

– Chciałam. Ale się bałam. Że mogę cię stracić.

– Z powodu prawdy? To nie prawda, ale twoje kłamstwa są szkodliwe. Tak samo jak wtedy, kiedy skłamałaś policji o ojcu!

Pożałowałem tych słów, jeszcze zanim wyszły z moich ust. Aria znieruchomiała. Jakbym ją walnął z całej siły w brzuch. Chyba nawet zrobiłem coś gorszego. Przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie mogła złapać oddechu. Zaczęła dygotać i osunęła się na kolana, obejmując się rękami. Nie patrząc na mnie, powiedziała:

– Proszę, wyjdź. Proszę, zostaw mnie. Proszę, nigdy nie wracaj.

*

Zrobiło mi się niedobrze. Wiele bym dał, żeby cofnąć swoje słowa, ale było za późno. Powiedziałem za dużo. Zepsułem zagrywkę i zostałem wyoutowany. Patrzyłem na Arię przez chwilę, potem odwróciłem się i wyszedłem. Co ja najlepszego narobiłem?

[24] *Lonely broken heart* (ang.) – samotne złamane serce.

Rozdział 35

Dwudziesty trzeci grudnia to dzień największego ruchu podróżnych przed świętami i drugi najruchliwszy dzień w roku. Znalezienie wolnego miejsca było koszmarem. Najpierw próbowałem zarezerwować lot do Daytona Beach – bezskutecznie. Potem na Florydę. Potem szukałem jakiegokolwiek lotu z Utah. Każde miejsce w każdym samolocie wylatującym z lotniska międzynarodowego Salt Lake City było sprzedane. Powinienem był to przewidzieć. Nie mogłem wybrać gorszego momentu na zdemolowanie swojego świata.

*

Może i los zatrzymał mnie w Utah, ale wcale nie musiałem zostawać w Midway. Nie mogłem tam zostać. Czułem, jakby powietrze się rozrzedziło. Bliskość Arii była nie do zniesienia. Nazajutrz wcześniej rano znalazłem wolny pokój w hotelu blisko lotniska. O dziewiątej zszedłem z walizką do recepcji, żeby się wymeldować. Zauważył mnie Ray, który siedział z gośćmi w jadalni. Natychmiast zerwał się z miejsca i podszedł do mnie szybkim krokiem. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Alex, opuszczasz nas?

– Tak.

– Myślałem, że zostajesz z nami przez całe święta. Liczyłem, że spędzę z tobą więcej czasu.

– Miałem taki plan. Ale... coś mi wypadło.

Przyjrzał mi się uważnie i na jego twarzy zobaczyłem, niczym w lustrze, cierpienie i smutek.

– Przykro mi, że nie znalazłeś tego, czego szukałeś – powiedział.

– To nie tak. Problem polega na tym, że znalazłem.

Położył dłoń na moim ramieniu.

– Nie, przyjacielu. Z całą pewnością nie znalazłeś tego, czego szukałeś.

Popatrzyłem mu w oczy i powiedziałem:

– Dziękuję za wszystko. Miło było cię poznać.

– Polubiłem cię, młody człowieku. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Wrócił do jadalni.

Podszedłem do recepcji. Lita uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Przykro nam, że pan wyjeżdża, panie Bartlett. Mam nadzieję, że był to niezapomniany pobyt.

– O tak, niezapomniany. – Podałem jej klucz od pokoju. – Dziękuję za wszystko.

– Wesołych świąt. Miło było pana gościć.

– Dziękuję. Wesołych świąt.

Jak najszybciej wyjechałem z Midway. Po przyjeździe do Salt Lake City zameldowałem się w hotelu i pojechałem na lotnisko oddać samochód. Cieszyłem się, że oddaję, a nie wypożyczam. Kolejki w wypożyczalni były koszmarne długie. Wszędzie były koszmarne długie kolejki, jakby ludzie zmówili się przed świętami. Po raz kolejny zachowywałem się inaczej niż reszta ludzkości.

===LUIgTCVLIA5tAm9PfEp9TX5PbwRIF3gUfRNyXChdL1w3VhZ5S2UVeQ==

Rozdział 36

W końcu załatwiłem sprawę, wzięłem taksówkę i wróciłem do hotelu, choć znajdował się tylko półtora kilometra od lotniska. Nie chodziło jednak o odległość, lecz o to, że pieszym nie wolno chodzić po terenie portu lotniczego. Kierowca był w kwaśnym humorze, którego mój kurs za minimalną stawkę wcale mu nie poprawił. Dałem mu dwudziestodolarowy napiwek, żeby przestał narzekać.

Podczas półtorej godziny, które minęły od mojego wyjścia, do hotelu przybyli kolejni goście. W holu kłębiły się tłumy. Jak na ironię, właśnie wtedy, przeciskając się wśród mnóstwa osób, znowu dopadła mnie moja kochanka Samotność. Możliwe, że nigdy mnie opuściła, ale byłem zbyt zajęty poszukiwaniem LBH, żeby zauważyć jej cichą obecność czy usłyszeć jej dobrze znany szept. Teraz usłyszałem go wyraźnie: „Nie martw się, że nie masz nikogo, Alex. Masz mnie. Zawsze będę z tobą. Nigdy cię nie opuszczę...”.

Skąd oni się biorą? – pomyślałem, patrząc na tłumy gości. I od razu zdałem sobie sprawę, że powtórzyłem słowa z postu LBH. Zabawna rzecz – w myślach nadal oddzielałem Arię od LBH, jakby moje serce jeszcze nie przyjęło do wiadomości, że to ta sama osoba. Pewnie tak było bezpieczniej dla moich uczuć.

Zabrałem walizkę ze stojaka i poszedłem do pokoju. Ponownie sprawdziłem loty. Nie znalazłem bezpośredniego połączenia do Daytona Beach, ale następnego dnia był lot o 8.17 do Atlanty, a potem, po czterogodzinnej przerwie, do Jacksonville, położonego o półtorej godziny od Daytona. Było mi wszystko jedno, ile zapłacę za taksówkę. Chciałem wrócić do domu.

*

Kiedy byłem w drugiej klasie, koleżanka przyniosła na lekcję jajko drozda wędrownego, które znalazła na podwórku. Nasz nauczyciel postawił obok niego kartkę z napisem „NIE DOTYKAĆ”. Miałem siedem lat, więc oczywiście musiałem go dotknąć. Ku mojemu przerażeniu jajko się stłukło. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie widział, i szybko wróciłem do swojej ławki, żeby nikt mnie nie skojarzył ze stłuczonym jajkiem. Teraz było tak samo. Chciałem być jak najdalej od zamieszania, którego narobiłem w Utah.

Rozdział 37

N azajutrz obudziłem się o szóstej. To, że nastawiłem dwa alarmy, jeden w telefonie i drugi w zegarze w pokoju, było wymowne. Nie chciałem ryzykować, że spóźnię się na samolot. W Utah mógł mnie zatrzymać tylko atak terrorystyczny.

Po wejściu na pokład sprawdziłem połączenia w telefonie. Choć tliła się we mnie nadzieja, że Aria zadzwoniła, ucieszyłem się, że tego nie zrobiła. Nie byłem na to gotowy. To niewiarygodne, co wymyśla nasz mózg, żeby chronić nasze ego. Aria kłamała! – krzyczał. – Postąpiłeś właściwie. Jedno kłamstwo prowadzi do drugiego. W końcu byłoby jak z Jill. Jak wtedy, kiedy próbowałeś udawać, że kłamstwa nic nie znaczą.

Zauważyłem, że mam jedną wiadomość głosową. Nie rozpoznałem numeru, ale kierunkowy wskazywał na Daytona Beach albo okolice. Nacisnąłem odtwarzanie.

Cześć, Alex, tu Jill. Pewnie jestem ostatnią osobą, którą byś się spodziewał usłyszeć, ale po prostu chciałam ci życzyć wesołych świąt. Byłam u ciebie, ale chyba nie było cię w domu. A może byłeś, ale się przede mną ukrywałeś. Nie miałabym ci tego za złe. Ale przecież idą święta, prawda? Jeśli dasz mi znać, kiedy będziesz, to przyjadę jeszcze raz. Mam coś dla ciebie. Drobną prezent gwiazdkowy. [pausa]. Okej, no to trzymaj się. Pa!

Czego chciała? Wyłączyłem telefon. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Jako posiadacz diamentowego medalionu[25] byłem niemal automatycznie uprawniony do pierwszej klasy, a przynajmniej do wygodnego fotela, jednak nie tym razem. Podczas czterech godzin lotu do Atlanty nie miałem nawet przyzwoitego miejsca. Siedziałem pomiędzy dwoma otyłymi mężczyznami i bezpośrednio za płaczącym dzieckiem. Byłem pewien, że w ten sposób wszechświat wymierza mi karę za to, co zrobiłem.

Kiedy nareszcie wylądowaliśmy w Atlancie, poszedłem rozsiąść się w crown roomie[26]. Mimo to oczekiwanie bardzo mi się dłużyło. Nie włączyłem telefonu. Wciąż nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, że wróciłem.

W samolocie do Jacksonville umieszczono mnie w pierwszej klasie, co jednak nie miało tak wielkiego znaczenia, bo lot trwał niecałą godzinę. Po wylądowaniu czekałem czterdzieści minut na odbiór swojej walizki i pół godziny na taksówkę.

Przez całą półtoragodzinną drogę kierowca słuchał bożonarodzeniowych piosenek. Aż dziwne, że za oknem nie było widać śniegu.

Z powodu różnicy czasu przyjechałem do domu po północy. Zapłaciłem za kurs i ruszyłem w stronę mieszkania, kiedy kierowca zawołał:

– Hej!

Odwróciłem się.

– Wesołych świąt!

– Tak, tak – mruknąłem.

Pieprzone wesołe święta.

Stało się dla mnie jasne, dlaczego podczas świąt rośnie liczba samobójstw.

[25] Pakiet największych przywilejów przyznawany pasażerom najczęściej korzystającym z danej linii lotniczej.

[26] Luksusowa poczekalnia dla stałych pasażerów Delty.

===LUIgTCVLIA5tAm9PfEp9TX5PbwRIF3gUfRNyXChdL1w3VhZ5S2UveQ==

Rozdział 38

N azajutrz obudziłem się około południa. Pierwszy dzień świąt. Przez ponad godzinę leżałem w łóżku przy spuszczonej roletach. Świat zewnętrzny nie miał mi nic do zaoferowania. Dziwnie się czułem po powrocie do domu – surrealistycznie, jakbym się obudził ze snu. A właściwie z koszmaru.

Nic mnie nie obchodziło, że było Boże Narodzenie. Mocniej przeżywałem to, że wkrótce przypadała pierwsza rocznica mojego rozwodu. Dokładnie dwudziestego siódmego grudnia. Ciekawe, czy właśnie dlatego zadzwoniła Jill.

Czułem się, jakby przez moją klatkę piersiową przejechała ciężarówka z naczepą. Zresztą nie tylko przez klatkę piersiową – przez całe moje ciało. Bolały mnie plecy i kark. Czułem ból nawet w stopach. Jak depresja może wywołać ból stóp?

Byłem tak obolały, że poszedłem po butelkę Jacka Daniel'sa, ale się nie napiłem. Nie z rozsądku czy powściągliwości, ale z powodu nienawiści do samego siebie. Jakim prawem chcę uciec od tego, co na siebie ściągnąłem? Zasłużyłem, żeby cierpieć! – krzychałem w myślach.

Nadal obwinałem Arię, jednak w głębi ducha znałem prawdę. Ray powiedział, że Aria to migoczący płomyk, który niedługo zgaśnie. Jak ją nazwała Valerie? Kruchym skarbem. A ja zdławiłem ten płomyk. Zniszczyłem kruchy skarb. Zasłużyłem, żeby zapłacić za swoje czyny. Nie wiedziałem tylko jak.

*

Następne dwa dni spędziłem w łóżku. Nie włączyłem telefonu, jakbym w ten sposób mógł uciec przed odpowiedzialnością za swoje czyny. Nie myłem się. Nie goliłem. Popadłem w całkowity marazm.

Późnym wieczorem w sobotę, dwa dni po Bożym Narodzeniu, do moich drzwi zapukał Nate. Nie wiedziałem, że to on, usłyszałem tylko, że ktoś wali z siłą atakującego barana. W rzeczywistości Nate uderzał końcówką swojej laski. Potem usłyszałem, jak krzyczy:

– Stary, otwórz! Wiem, że jesteś w domu!

Zdziwiłem się, bo z zewnątrz nie było widać żadnych oznak życia. Kiedy nie spałem, obejrzałem wszystkie pięć sezonów *Breaking Bad*. Byłem gotów uciec do Nowego Meksyku i zacząć produkować metę.

Otworzyłem drzwi.

– A więc żyjesz – stwierdził. Przyjrzał mi się uważnie. – Chyba.

– Nie jestem w nastroju do rozmowy.

– Widzę. Właśnie dlatego musimy pogadać. – Wszedł do środka, skierował się do pokoju telewizyjnego i usiadł na kanapie. Poszedłem za nim i usadowiłem się w fotelu naprzeciw niego.

– Kiedy wróciłeś?

Westchnąłem ciężko.

– W Wigilię.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– I nie zadzwoniłeś? Co jest grane? Dale mówił, że znalazłeś tę blogerkę.

– Tak myślałem.

– Więc jej nie znalazłeś?

– Znalazłem.

– Coś bredzisz, chłopie.

– Podczas poszukiwań zakochałem się w Arii...

– Tak ma na imię? Aria?

– Tak.

– Ładne imię – stwierdził Nate.

Nie chciałem tego słuchać.

– Okazało się, że Aria to w rzeczywistości LBH – powiedziałem.

– Przypadkowo wpadłeś na kobietę, której szukałeś?

– Tak.

– Niewiarygodne.

– To nie jest niewiarygodne. Aria wiedziała, że jej szukam, ale się ze mną bawiła.

W jego spojrzeniu nie dostrzegłem współczucia.

– Bawiła się z tobą? Jak?

– Okłamała mnie. Udawała, że jest kimś innym.

– Kogo udawała?

– Nie LBH.

– I teraz jesteś na nią zły?

– Oczywiście.

Nate zamyślił się na chwilę.

– Powiedziałeś jej wprost, o co ci chodzi? – zapytał.

– Skądże. Spłoszyłbym ją.

Spojrzał na mnie, jakbym był idiotą.

– A nie przyszło ci do głowy, że właśnie to zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem.

Nate pochylił się w moją stronę.

– Posłuchaj, stary. To był twój wariacki pomysł, nie jej. Czytałeś jej bloga i poznałeś jej skryte myśli, zanim się spotkaliście. Czy również ona nie miała prawa poznać cię lepiej?

Znowu nie odpowiedziałem.

– Bądź szczery. Jak miała się zachować?

Nie wytrzymałem.

– Uczciwie!

Nate nawet nie drgnął. Pewnie w porównaniu ze strzałem z moździerzy czy eksplozją miny pułapki mój wybuch był niczym.

– W normalnych okolicznościach miałbyś rację – przyznał spokojnie. – Tylko że okoliczności nie są normalne, prawda? Poleciałeś do Utah odnaleźć nieznaną ci kobietę bez ujawniania, po co przyjechałeś. Sam przyznałeś – to było wariactwo. A zwariowani ludzie robią zwariowane rzeczy. Ta kobieta byłaby głupia, gdyby ci powiedziała, kim jest. Bądź szczery. Walczysz z nią czy z Jill? Bo ona nie jest Jill i zasługuje na szansę, zresztą tak samo jak ty. Przeszłość jest lekcją, nie wyrokiem. Odetnij się od niej.

– Nie rozumiem, dlaczego bierzesz jej stronę. Nawet jej nie znasz.

Patrzył na mnie z uśmiechem rozbawienia.

– Myślisz, że biorę jej stronę? – Nie odpowiedziałem, więc ciągnął: – Masz rację, nie znam jej. Nie rozpoznałbym jej, gdyby tu stanęła w grupie innych osób. Nie robię tego dla kogoś, kogo nie znam, tylko dla ciebie.

– Skąd wiesz, co jest dla mnie dobre?

– Bo pamiętam, co powiedziałeś przed wyjazdem. Że głos wewnętrzny mówi ci, że musisz ją odnaleźć.

Opuściłem wzrok.

– Myliłem się. Mój wewnętrzny głos się pomylił. To było tylko myślenie życzeniowe. Po prostu chciałem wierzyć, że czeka mnie coś dobrego.

Nate przyglądał mi się przez chwilę, po czym zapytał:

– Opowiadałem ci, jak doszło do tego, że tak się okaleczyłem?

– Wjechałeś na minę pułapkę.

– Zgadza się. Dwa razy. Uważasz, że miałem pecha?

– No chyba.

– Mylisz się. Jestem największym szczęściarzem pod słońcem. Kiedy drugi raz wjechałem na minę, byłem na pięćdziesiątej dziewiątej misji. Przyleciałem do Sulaymaniyah w pobliżu terenu zajmowanego przez Kurdów. Kiedy wyładowaliśmy, dostałem rozkaz natychmiastowego stawienia się u dowódcy po rozkazy. Dowódca miał opinię agresywnego skurwiela. Przed każdą misją wyzywał się na jakimś pechowcu, żeby utrzymać wszystkich w gotowości. Biegając do namiotu dowódcy, nagle poczułem silną potrzebę wstąpienia do polowej kaplicy. W każdym obozie jest namiot przeznaczony do celów religijnych. Są w nim obrazy i inne przedmioty sakralne. Nigdy do takiego namiotu nie wchodziłem. Byłem niewierzący. Uważałem, że religia jest jak kula do podpierania się, a marines nie potrzebują żadnych kul. To inni z naszego powodu muszą się wspierać na kulach. Albo idą do grobu. Uwierz mi, nie miałem złudzeń, że po śmierci czeka na mnie jakaś fajna impreza. Wbił nam to do głowy na szkoleniu nasz sierżant. Powtarzał: „Pójdziecie do piekła. Przyzwyczajcie się do tej myśli. Możecie się tylko pocieszyć tym, że już je znacie, więc to żadna wielka rzecz”. Po tym, co zrobiłem, byłem pewny, że nie jestem na liście przyjaciół i rodziny Pana Boga. No ale wszedłem do tego namiotu. Pomyślałem, że chyba mi odbiło, ale czułem się tak, jak nigdy wcześniej. Nie wiedziałem, jak się zachować, więc zrobiłem to, co uważałem, że powinienem zrobić. Ukłęknałem i zacząłem się modlić. Nie wiedziałem jak, więc po prostu mówiłem. Zupełnie straciłem poczucie czasu, Kiedy spojrzałem na zegarek, okazało się, że spędziłem w namiocie trzydzieści minut. Trzydzieści minut! Byłem pewien, że dowódca ukręci mi głowę i wepchnie mi ją do gardła. Poderwałem się, żeby wybiec, ale na stole zauważyłem mały metalowy przedmiot – krzyż celtycki. Wtedy nie wiedziałem, że tak się nazywa, wiedziałem tylko, że to krzyż z kółkiem w środku. Ten sam głos, który kazał mi wejść do namiotu, szepnął: „Weź go”. Pomyślałem: „Nie mogę go wziąć, bo należy do wyposażenia namiotu”. Ale głos powtórzył: „Weź go”. Zawahałem się. Kompletnie mi odbiło, pomyślałem. Gadam sam do siebie. Skierowałem się do wyjścia, ale głos powiedział: „Nie wychodź bez krzyża”. Możesz myśleć, że to była moja podświadomość, ale przysięgam, że sam do siebie nigdy nie mówiłem tak kategorycznie. Słowa, które usłyszałem, brzmiały jak rozkaz. Chwyciłem więc krzyż, wepchnąłem go do kieszeni i wyszedłem. Tak jak się obawiałem, dowódca już na mnie czekał. Zjechał mnie przed całym oddziałem. Powiedział, że zatrzymałem wojnę na czterdzieści minut i że jeszcze wyciągnie konsekwencje, kiedy wrócę. A potem wysłał nas na pole walki. Dwie godziny później w małej wiosce wjechał na minę. Nasz humvee[27] rozleciał się na kawałki. Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na wznak i byłem cały zakrwawiony. Miałem złamany kręgosłup i szeroką ranę na biodrze. Moi koledzy też wylecieli w powietrze. Jeden z nich leżał obok mnie i miał drgawki. Wróg strzelał do nas z pobliskiego budynku pociskami raketowymi i z broni maszynowej. Nie mogłem się ruszyć. Byłem przekonany, że to koniec. Kiedy tak leżałem i czekałem na śmierć, nagle poczułem w kieszeni krzyż. Wyciągnąłem go. Był zalany krwią. Przyłożyłem go do klatki piersiowej, czekając na ostateczny cios wroga. W pewnej chwili kątem oka zobaczyłem zmierzającą w naszym kierunku chmurę kurzu. Nie miałem pojęcia, co to jest, ale nie spodziewałem się niczego dobrego. Nagle chmura zaczęła strzelać, ale nie do nas. Po chwili okazało się, że to M1 Abrams. Amerykański czołg. Stał pomiędzy nami a pozycjami wroga. Zabił wszystkich

żołnierzy nieprzyjaciela. Leżałem i słuchałem odgłosów strzelaniny, a po moich policzkach płynęły łzy, ale wcale nie z bólu, tylko z niedowierzania. Przecież nie mieliśmy wsparcia. W pobliżu nie było wojsk pancernych. Ten czołg przyjechał znikąd, żeby nas ocalić. Kiedy ustał ogień, uklęknął przy mnie żołnierz. Obejrzał mnie, po czym wziął do ręki krzyż, który trzymałem. Zapytał: „Skąd wiedziałeś?”. Przywódcy czołgów nadają swoim pojazdom nazwy i malują je na lufach. Czołg, który nas uratował, nosił nazwę Krzyż Celtycki. Miał rysunek dokładnie tego samego krzyża, który miałem przy sobie. Później dowiedziałem się, że czołg został odłączony od swojego oddziału i wracał do obozu. Żołnierze usłyszeli wybuch miny, na którą najechaliśmy. Gdybym nie wszedł do polowej kaplicy i wyjechalibyśmy zgodnie z rozkazem, ten czołg nie przejeżdżałby w pobliżu. Wszyscy byśmy zginęli. – Oczy Nate’a zasły łzami. – Opowiedziałem ci to, bo jestem przekonany, że słyszałeś głos. Powiedział, żebyś odnalazł tę kobietę. Więc jedź do niej.

Przeczesałem włosy palcami.

– Za późno, stary – powiedziałem. – Wszystko zepsułem. Kompletnie.

Ku mojemu zaskoczeniu Nate się uśmiechnął.

– Nie, nie jesteś aż taki mocny, żeby przeciwstawić się przeznaczeniu. Więc wracaj i skończ to, co zacząłeś.

– Aria pojutrze wyjeżdża.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– No to lepiej się pospiesz.

[27] High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle, wielozadaniowy pojazd kołowy o wysokiej mobilności.

Rozdział 39

P o świętach nie było problemu z rezerwacją lotu. Kupiłem bilet na następny dzień, wyleciałem z Daytona Beach o wpół do drugiej po południu i przesiadłem się w Atlancie. Cały czas myślałem o Arii, ale do niej nie zadzwoniłem. Nie miałem odwagi. Mogła kazać mi iść do stu diabłów, zanim dotrę na miejsce. Jednak przylecieć taki kawał drogi z powrotem do Utah – to musiało coś znaczyć.

*

Wylądowałem w Salt Lake City tuż po szóstej wieczorem. Znowu padał śnieg. Jakżeby inaczej. Wypożyczyłem samochód i pojechałem prosto do Arii.

Światła się nie świeciły, a przed domem nie było jej auta. Zajrzałem przez okno. Meble nadal stały na swoim miejscu. To chyba znaczyło, że nie wyjechała.

Pojechałem do restauracji. Wbiegłem do środka, gdzie natrafiłem na Valerie.

– Jest tu Aria?

Valerie patrzyła na mnie pogardliwie.

– Jest tu Aria? – powtórzyłem.

– Nie.

– Wiesz, gdzie jest?

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Bo jesteście przyjaciółkami.

– I właśnie dlatego nie powiedziałabym ci, nawet gdybym wiedziała. – Zacisnęła zęby i pogroziła mi palcem. – Ostrzegalam cię. Mówiłam, żebyś zostawił ją w spokoju. A ty co zrobiłeś? Zadałeś jej cios prosto w serce.

– Nie mam teraz czasu na utarczki. Po prostu powiedz, kiedy ma następną zmianę.

Zaśmiała się szyderczo.

– Chłopcze, ty jakiś wyjątkowo głupi jesteś. Aria nie ma już żadnych zmian. Odeszła z pracy. Po tych wszystkich latach. Nie wiem, co jej zrobiłeś, ale ją zniszczyłeś.

Zakręciło mi się w głowie.

– Wyjechała już z miasta?

– A skąd ci przyszło do głowy, że chciała wyjechać z miasta?

– Napisała, że chce wrócić do ojca.

Valerie wykrzywiła twarz i zmrużyła oczy.

– Myślałam, że już nie mogę bardziej cię nienawidzić, a ty mówisz takie rzeczy – wycodziła ze złością.

– Jakie rzeczy?

Pokręciła głową z obrzydzeniem.

– Do ojca, mówisz. Gdybyś naprawdę ją znał, wiedziałbyś, że jej ojciec odebrał sobie życie, kiedy była mała.

Oślupiałem.

– Trzymaj się od niej z daleka i od tego miejsca też. Nie jesteś tu mile widziany. Przysięgam, że jak cię tu jeszcze raz zobaczę, poleje się krew. – Odwróciła się i odeszła.

*

Stałem oniemiały. Przypomniałem sobie słowa z bloga Arii. To, co LBH – co Aria –

napisała o powrocie do ojca, nagle nabrało sensu. Straszego, makabrycznego sensu. Wszystko było jasne, tylko tego nie widziałem. Nigdy nie napisała, że chce wrócić do Minnesoty, tylko że do domu. Minnesota nie była jej domem.

 Nie napisała też, że chce mieszkać z ojcem. Napisała, że chce z nim być.

 Kiedy powiedziała, że chce opuścić „to miejsce”, żeby „być z ojcem”, miała na myśli odebranie sobie życia. Świeca się w końcu wypaliła. A jeśli to już się stało?

Rozdział 40

P ojechałem z powrotem do domu Arii, gnając tak szybko, że aż zarzuciło tył auta na wjeździe w ulicę, przy której mieszkała. Wyskoczyłem, wbiegłem na werandę i zacząłem walić w drzwi.

– Aria, otwórz! Aria!

Zrobiłem krok w tył i kopnąłem drzwi, modląc się cały czas w duchu: „Proszę, niech nie będzie za późno. Proszę, Boże, niech nie będzie za późno. Proszę”.

– Aria!

W kącie werandy dostrzegłem łopatę i natychmiast po nią poszedłem. Już miałem wybić nią okno, gdy usłyszałem za sobą jakiś dźwięk. Odwróciłem się. Na chodniku stała Aria.

– Co robisz z moją łopatą?

Zastygłem.

– Jeszcze tu jesteś.

– Co ty tu robisz?

Podbiegłem do niej.

– Wróciłem do ciebie. Pomyliłem się. I bardzo cię przepraszam. Z całego serca cię przepraszam. Proszę, wybac mi. Proszę. Kocham cię.

Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym weszła na werandę, przyjrzała się drzwiom w miejscu, gdzie je kopnąłem, i otworzyła je kluczem. Obróciła się do mnie.

– Wchodzisz? – I zniknęła w środku.

Szybko wbiegłem po schodach. Gdy tylko przekroczyłem próg, Aria zarzuciła mi ręce na szyję i przywarła ustami do moich ust.

– Co?!

– Po prostu mnie pocałuj.

Kiedy odsunęliśmy się od siebie, zapytałem:

– Naprawdę mi wybaczasz?

Miała oczy wilgotne od łez. Oboje mieliśmy łzy w oczach.

– Wiedziałaś, że wrócisz.

– Skąd?

– Siadaj.

Usiedliśmy obok siebie na kanapie. Aria wytarła policzki.

– Kiedy ojciec powiedział mi o szarotkach, o tym, żebym czekała na mężczyznę, który mi je przyniesie, dodał też: „Pamiętaj, Aria, ludzie popełniają błędy. Nawet mężczyzna, który znajdzie dla ciebie szarotki, może się potknąć i zabłądzić. Ale jeśli jego miłość będzie głęboka, znajdzie do ciebie drogę. Jeśli będzie cię naprawdę kochał, przyniesie ci szarotki”. – Patrzyła mi intensywnie w oczy. – To ty. Zerwałeś szarotki. Przyjechałeś z bardzo daleka, nie mając nic oprócz wiary i odwagi. Błądziłeś i się potknąłeś. Ale w końcu wróciłeś.

Przez chwilę nie byłem w stanie wydobyć z siebie słów.

– Ale nie przyniosłem ci szarotek – powiedziałem w końcu.

Na jej twarzy pojawił się piękny, szeroki uśmiech.

– To ja jestem szarotką.

Epilog

Pół roku później pobraliśmy się na plaży kilka kilometrów od mojego mieszkania. Druga ceremonia ślubna odbyła się w Midway. Oczywiście Pod Błękitnym Dzikim. Nie przyjechali na nią Dale ani Nate, więc, co rozumiałe, moim drużbą został Ray.

Nate i Dale nadal się spierają, czy Nate przegrał zakład i jest winien Dale'owi tysiąc dolarów. Gdyby było odwrotnie, Dale by zapłacił. Nie dlatego że jest bardziej honorowy – po prostu jest znacznie drobniejszy.

Wieczorem w dniu naszego ślubu dałem Arii wisiołek. Dopiero kiedy go pokazałem, zrozumiałem, dlaczego wszechświatowi tak zależało, żebym go kupił.

– Wiesz, co to jest? – zapytała, uśmiechając się.

– Ekspedientka u Tiffany'ego powiedziała, że nazywa się Szlachetna Gwiazda.

– To inna nazwa szarotki.

*

Mieszkamy teraz na Florydzie, ale od czasu do czasu zaglądamy do Midway. Przyjeżdżamy na Dni Szwajcarii. Kiedyś wpadłem na Lynette. Sytuacja była niezręczna.

Kupiliśmy domek zimowy jakieś półtora kilometra od Pod Błękitnym Dzikim. Zimowy! Niewiarygodne. Aria stwierdziła, że zimno dobrze mi robi. Nigdy nie pojmę, jak mnie namówiła na ten zakup. Muszę jednak przyznać, że coraz lepiej jeżdżę na nartach.

Brat Dale'a jest partnerem w dużej kancelarii prawnej w Miami. Odnaleźli Wade'a, byłego męża Arii, i przenieśli na niego znaczną część spłaty kredytu. Resztę spłaciłem sam.

W końcu poznałem Thelmę, mistrzynię tart. Wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Zakładałem, że skoro ma na imię Thelma, to jest leciwą babcią, która piekła tarty, zanim zaczęto sprzedawać masło w kostkach. Okazało się, że jest młodsza ode mnie o rok. Oczywiście na weselu w Midway nie podaliśmy tortu, tylko tarty. Ray zabrał do domu resztki tej z pekanami.

Wierzcie lub nie, ale Valerie i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi. Jakżeby inaczej. Wiele nas łączy. Kochamy tę samą kobietę. Dosyć, żeby o nią walczyć. Poza tym oboje uwielbiamy Eagles. Kapelę, nie drużynę. Może to nic wielkiego, ale zawsze coś.

*

Dużo myślałem o rozmowach z Arią podczas moich poszukiwań. Pamiętam, jak na naszej pierwszej randce w gospodzie rozmawialiśmy o znaczeniu jej imienia. Sprawdziłem i wiem, że imię to ma jeszcze inne znaczenia. Aria pochodzi od greckiego imienia Arianna, które znaczy „bardzo święta”. Uważam, że pasuje do Arii. Jednak najbardziej podoba mi się włoska definicja, według której imię mojej ukochanej znaczy „powietrze”. Właśnie tym ona jest dla mnie. Tym, czym oddycham. Może nasze imiona rzeczywiście wpływają na to, kim jesteśmy.

*

W dniu naszego ślubu Aria opublikowała ostatni post na swoim blogu. Pokazała mi go:

Drogi Wszechświecie,

dziękuję. Wszystko pomyślnie się ułożyło.

Jestem kochana.

Jak mówiłem na początku, jest to opowieść o moim skoku. Po drodze przeżyłem kilka

trudnych chwil, ale nie cofnąłbym niczego. Boimy się skoczyć, ponieważ boimy się upaść. Boimy się bólu. Mimo to musimy skakać, bo tylko wtedy możemy mieć nadzieję, że ktoś nas złapie.

Restauracja Pod Jemiołą

Zwycięzcy konkursu na przepis

Cathy Austin

Kostki domowej roboty z czekolady i masła orzechowego

Robię je według przepisu mojej babci. Używam czterolitrowego garnka z grubym dnem.

4 szklanki białego cukru

1 szklanka mleka skondensowanego z puszki

1 szklanka wody

4 łyżki kakao

2 łyżki syropu kukurydzianego light

szczypta soli

2 łyżki masła plus 1 do wysmarowania blachy

3 czubate łyżki masła orzechowego

Do garnka wsypać cukier, kakao, sól, po czym wlać mleko, wodę i syrop kukurydziany i wszystko wymieszać. Podgrzewać na średnim ogniu, mieszając. Doprowadzić do wrzenia. Kiedy masa zacznie bulgotać, podgrzewać nadal, ale już NIE MIESZAĆ – to ważne. Gotować, aż masa zgęstnieje, to znaczy do chwili, gdy kropla masy wlana do zimnej wody utworzy miękką kulkę. Zdjąć garnek z pieca i dodać masło oraz masło orzechowe. Energicznie mieszać drewnianą łyżką, aż masa straci połysk i kropla po kapnięciu zachowa kształt. Wylać masę na wysmarowaną masłem blachę o wymiarach 22 × 32 cm. Gdy zastygnie, pociąć na kostki. Teraz można delektować się przysmakiem domowej roboty.

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13
Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział
21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28
Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział
36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Epilog Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

The Mistletoe Secret

Copyright © 2016 by Richard Paul Evans

Copyright © for the translation by Hanna de Broekere

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na okładce

Copyright © Viktoria Haack / Trevillion Images

Copyright © Bokeh Blur Background / Shutterstock.com

Opieka redakcyjna

Monika Kucab

ISBN 978-83-240-5642-2



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Czasem trzeba odważyć się na szaleństwo,
by wreszcie być szczęśliwym

RICHARD PAUL

EVANS

TAJEMNICA
POD JEMIOŁĄ

znak *litera
nova*